

DNIEJA

WYDAWCTWA MOCZNYCH

WYDAWCTWA MOCZNYCH

Wydanie prawne za przyzwoleniem matki autora, bez którego nikomu nie wolno dzieł tych przedrukowywać.

152500 LTP



DZIEŁA
MAURYCEGO MOCHNACKIEGO

WYDANIE JEDYNIÉ PRAWNE

OGŁOSZONE Z WIEDZĄ MATKI AUTORA.



TOM V.



POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1863.

304403

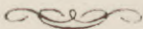
**O LITERATURZE
POLSKIEJ**

W WIEKU DZIEWIĘTNASTYM

PRZEZ

MAURycego MOCHNACKIEGO.

In magnis voluisse sat est.



POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1863.

O LITERATURZE

POLSKIEJ

W WIEKU DZIEWIĘTNASTYM

WYDANE W WARSZAWIE

POZNAŃ

WYDAWCA: KSIĘGARNIA POLSKA W WARSZAWIE

1851

PRZEMOWA.

O LITERATURZE POISKIÉJ

MAURYCEGO MOCHNACKIEGO.

Improvizowaliśmy najpiękniejszą piosnkę Mary-
szygi Przemysł! Życie nasze jak jest pałczy-
Zgryzła cypis i hołk dzieł. — Ten bodzie odrod-
niez rym i ta melodia.

Nie literatura polska, ale polski kraj, są-
roki, bujny a wesołym jedym wrotem, z łosami
i stepami. Taki jaki był przed wielkimi nie-
choj, nie przedrozczyskami zapanie. Nie widać
smutku czyżnikow! Ciężę się z tego. Ozy-
tam przed rewolucyą wydanie niniejszego dzieł-
ka. W piśmie rozszerzyło się nad baroń-
twa, tak że dwa tomy całosc składają naszą, a
Drug wieś tedy wypisze tom drugi. Z dwunastem
w sercu drugiej ręką kruszkiem ostatnie strona.

O LITERATURZE POLSKIEJ

MAURYCEGO MOCHACKIEGO.

PRZEDMOWA.

Czas nareszcie przestać pisać o sztuce. Co innego zapewne mamy teraz w głowie i w sercu. Improvizowaliśmy najśliczniejsze poema *Narodowego Powstania!* Życie nasze już jest poezją. Zgiełk oręża i huk dział. — Ten będzie odtąd nasz rytm i ta melodia.

Nie literatura polska, ale polski kraj, szeroki, bujny z wszystkim ludem swoim, z łąkami i stepami. Taki jaki był przed wiekiem, niechaj nas przedewszystkiem zajmuje. Nie wielu znajdę czytelników! Cieszę się z tego. Ogłosiłem przed rewolucją wydanie niniejszego dziełka. — W piśmie rozszerzyło się nad zamiar Autora, tak że dwa tomy całość składać mają. — Bóg wie kiedy wyjdzie tom drugi. Z drzeniem w sercu drzącą ręką kresliłem ostatnie stronnice

tego pierwszego tomu na dni kilka przed 29 Listopada! Były to chwile niepewności. Okowy brzęczały w słuchu moim. Samotność więzienia (mnie tak dobrze znanego) jak mgła szerzyła się w mojej duszy. Niebo to wszystko odmieniło na lepsze! — Skończywszy pierwszą część, wszystkie exemplarze mojego pisma na to skazuję, żeby butwiały w księgarniach, póki nieodzyskamy bytu politycznego.

Pisalem w Warszawie dnia 14 Grudnia 1830 r.

Maurycy Mochnacki.

Jako Matka Maurycyego weszłam niespodzianie zrana do jego pokoju. Wiedziałam, że syn mój pracuje nad wydaniem jakiegoś dziełka. Lecz niewiedziałam o mającej w tych dniach wybuchnąć rewolucyi. Z rozczuleniem patrzyłam na syna, który właśnie kończył ostatnie słowa. Wzniósł ręce do góry, załżał się łzami. I rzekł mi: — O Matko moja! Pobłogosław twemu Synowi.....

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Założenie autora.

Chcącemu teraz w dostatkach piśmiennych jakiegokolwiek narodu rozeznąć jego myśl własną, toż charakter, postać moralną i kształt cywilizacji, trudnem staje się to przedsięwzięcie, jeżeli nie niepodobnem ku wykonaniu. Za dawnych czasów, — nie mówię w zapadłej starożytności, ale w Europie chrześcijańskiej, — umiejętność szła innym strychem; w ciaśniejszych mieściła się szrankach, niżeli teraz; kładzono ją pod pewną linię i modłę, żeby nie chybiła ani na tę, ani na owę stronę. To prawda! Lecz wtenczas duch ludzki zawodził na głębią; w głębi przenikał do jasności i szukał gruntu. Dzisiaj we wszystkim więcej postawy, niż wątku. Bydź może, że teraz więcej umiemy od poprzedników naszych; ale zapewne przechodzą oni nas treścią i mocą swych pojęć. Umiejętność terazniejsza nie zna żadnego wędzidła; nieukrócona żadną przeszkodą, żadną wątpliwością, jako potok wezbrany z granic występuje. Płynie szeroko, rwistym pędem, na wszystkie rozlewając się strony; ale na swoim nie jest tak umocniona, i tak daleko jak pierwój nie zachodzi. Dzisiaj, że tak powiem, w szersz i podług rozmiaru na długość moc pojęć naszych się roznosi; przedtém zaś umysł ludzki albo bujał w przepa-

ściстых otchłaniach, albo śmiałym lotem wzbijał się w przeciwną stronę, do wysokości już dla nas niedościgłej, i ledwo nie ku wyżynom zawrotu. Tam szukał prawdziwej chwały!

A przecież z tego tylko wyrozumieć można człowieka, w tém jedynie przeniknąć do jego ducha, co on sam głęboko pojął, zrozumiał, uczuł. Któż bowiem zgadnie istotę nie niepojmującą? Toż samo z narodem się dzieje. Dzielność jego poznawań na jaśnią się wyrwa w wiedzy rozpostartej, w umiejętności; a siła jego fantazyi w sztuce. Uczucie w pieśni się maluje.

Rzućmy okiem na dzisiejszą statystykę nauk. Co za ogromne drzewo drzewo wzrosło z pierwotnego szczepu! Jak wybujało, jak się rozgałęziło! Jak szeroko teraz ziemię zalega cieniem swoim! I coraz to nowe puszcza odrośle. Ledwo nie codziennie, w porządku wiadomości naszych, mnoży się liczba działów, i mnożyć się nie przestaje. A za lat sto, za lat dwieście, któż wie, czy potomkowie nasi przez całe życie swoje do szkół, jako żaki, chodzić nie będą musieli dla nauczenia się, przynajmniej z rejestru abecadłowego nazwisk tylu umiejętności, tylu rozmaitemi pochrzczonych tytułami? Każdą rzecz radzibyśmy obrócić w umiejętność; z lada fraszki stworzyć naukę. Cóż z tego, kiedy w tém wszystko się z szczerą istotą wytrawia, wszystko na wierz wychodzi!... Jakże wyrozumieć naturę umysłu publicznego, gdzie nie ma ani gruntu pod sobą, ani wewnątrz ujęcia? Cóż wreszcie wyrozumieć z blichtrów w mowie i pisaniu?..... Przedtém któżby był pomyślił, że na przykład o samej sztuce kucia koni, albo o zaprawie mularskiej i cementach będziemy mieli liczne pisma, uczone wywody, i ledwo nie całą literaturę? — Inaczej to kiedyś bywało. Ludzie nie tak wiele pisali o budowlach i cementach, a trwalsze, ozdobniejsze stawiali gmachy. Zkądże to pochodzi? Dla czego pamiątki stare taką

okazałością jaśnieją? Czemu tak zdrożały w naszym własnym mniemaniu? Rzecz naturalna. Bo już się na nic takiego zdobyć nie możemy. Bo zmaleliśmy w rozerwaniu naszym; bo pierwój myśl ludzka nie była jako warsztat rękodzielniany, gdzie, w miarę podziału pracy na coraz drobniejsze zatrudnienia, otrzymujemy coraz doskonalsze wyrobki.

Ten mechanizm tak pożyteczny w ręcznych robotach, wielkie szkody zrządził w nauce. Moc ducha na jedności zależy; w podziałach słabnie, rozprasza się. Umiejętność szerząca się mechanicznymi środkami poniża rozum ludzki. W tej mierze mam na względzie nietylko nas samych w Polsce, ale całą Europę. Wszyscy teraz, jak widać, z jednego źródła czerpiemy; tak samo wszyscy czujemy, myślimy, piszemy. Czyż to nie jest widoczny skutek powszechnego mechanizmu pojęć, mechanizmu myślenia? W tej jednostajnej cywilizacji, zacierającej właściwość indywidualną i wszystkie pierwotne cechy, jakże trudno odkryć i wyłączyć istotę naszego narodu w rodzinnej jego osiadłości? Też same wszędy formy zewnętrzne i rzecz ta sama; te same widoki, wyobrażenia. Rodzicielstwa znamie na dziełach uczonych, w utworach sztuki, w poezyi, we wszelakim misterstwie dowcipu, niegdyś tak wydatne, tak rażne, tak bijące w oczy, coraz wątpliwsze staje się. Przyjdzie ku temu, że go i znać nie będzie. Przenoszą się mniemania z jednego kraju do drugiego; jednego trzymają się porządku; w jednych kłukach zawarte. Mają tę samą moc i niemoc; tę samą prawdę i nieprawdę. A jeżeli gdzie jaką różnicę postrzeżesz, to tylko w zewnętrznym kroju, na zwierchniej szacie myśli; w gruncie żadnej prawie odmiany. Niżeli o kosztowne perły i diamenty trudniej teraz o nowość w myślach. Nie jestże to znakiem, żeśmy upadli na sile?

Ustała światłość pierwotnej, anielskiej natury człowieka! Ustała owa dzielność poznawań. Zdrobniały po-

jęcia; osłabła usilność do wielkich rzeczy w zamęcie potocznych spraw społeczeńskiego życia, w nieprzebranem mnóstwie wiadomości, a najbardziej rozstrzeleniem się nauk i umiejętności na niezliczone działy. Jakież mniemanie zaważmie o nas daleka potomność? Powie-li, żeśmy wszyscy jeden naród bratni, jedną rodzinę, spólnym rządzącą się rozumem składali w Europie? Czy też przypisze niemocy, albo lenistwu, że tak różne plemiona, różne mowę, postawą, językiem, obyczajem, w różnych zamieszkałe siedliskach, miały przecież jakby jedną głowę, jedną moc ducha, jedną imaginacyą, i jedną siłę natchnienia?... Zaiste, obróciwszy myśl ku upłynionym czasom, łatwiej rozwikłalibyśmy charakter idealny któregośkolwiek ludu bądź w starożytności, bądź w wiekach pośrednich z ułamków, z spleśniałych resztek jego cywilizacyi, jak dzisiaj z ogromnego stosu ksiąg drukowanych i przechowujących się w całości.

Nie będę roztrząsał pism uczonych Polaków, ani dzieł polskich artystów, dla oceny ich wartości; bo to właściwie do krytyki należy. Zamiarem moim jest: zbadać ducha i przeniknąć do istoty polskiego narodu w ojczyściej literaturze.

Całą usilność moją w to położę, żeby czytelnik wyrozumiał: jaki jest umysł ogólny w Polsce pod względem artystowskim i naukowym? Gdyż sztuka i umiejętność są to dwa najpiękniejsze pierwiastki dzisiejszej europejskiej cywilizacyi.

Prócz wzmiankowanych przeszkód, utrudzających wyrozumienie umysłu publicznego, czyli ogólnego, tudzież wyciągnięcie na jaśnią istoty moralnej któregośkolwiek bądź w dzisiejszych czasach narodu (co szczególnie nas samych się tyczy, którzy tyle przejeśliśmy od

obcych), i to także co następnie powiem zdaje się być godne uważania:

Wszyscy estetycy radzi powtarzają, jedni za drugimi: że literatura powinna być obrazem narodu. Nic nadto pewniejszego. Ale obraz narodu, jest także obrazem czasu. Czas zaś, jakizto ruchomy element! Czas nigdy nie *jest* rzeczywiście. Zawsze *staje się*. Trudno więc położyć granicę nieprzeszkoczną między upłynionym a przyszłym czasem.*) Tę główną trudność w rzeczy samej spotykam w piśmie mojem. Każda upłyniona chwila w przeszłość zapada: każda następna, nawet kiedy to piszę, do przyszłości należy. Któraż godzinę, którą minutę, sekundę uważać jako nieruchomy punkt między temi dwoma, jeżeli tak rzecz godzi się, biegunami czasu? Między przeszłością i przyszłością? — Niejest-li terazniejszość złudzeniem? Kto w to pilniej wejrzy, powie: *nie-masz terazniejszego czasu*.

Czas był, albo będzie. Nigdy nie jest. Zawsze się rozwija. A przecież żądamy od społecznych dziejów pisarza, a szczególnie od historyka społecznej literatury obrazu terazniejszości. Żądamy więc tego, czego nikt dokazać nie może; bo ten sam historyk co chwila, za każdym uderzeniem pulsu, należy w połowie do minionego, a w połowie do przyszłego czasu..... Jakże uchwyci zarysy tej mieniającej się co chwila fizyognomii wieku? Jak odmaluje obraz, gesta, wejrzenie ruchomej twarzy? Portret osoby niecierpliwéj, niespokojnéj, która za każdym pociągnięciem pędzla wstaje z miejsca i odbiega od artysty; a potem znowu wraca i odchodzi z odmiennem co chwila wejrzeniem to pochmurnego, to rozjaśnionego lica; która jest ustawnie to w smutku, to w we-

*) Tę samą myśl umieściłem był w artykule Kuriera Polskiego: *Czas terazniejszy* (Nr. 130). Cały ten artykuł w Kuryerze Polskim co do słowa prawie wypisany z niniejszego dziełka.

selu; która jest wszystka z duszą i z ciałem w grze na-
miętności: — portret takiej osoby będziej jój podobny?

A jednak żądamy wiernego portretu od spółczesnych
dziejów pisarza! — W takim samym przypadku i ja się
znajduje. Trudny zawód, — może trudniejszy, niżeli
inne literackie przedsięwzięcia. Z tój przyczyny położy-
łem na tём piśmie godło: *in magnis voluisse sat est.*

Co rozumieć potrzeba przez literaturę?

Natura wszędzie prawie stawia przed oczy człowieka naśladowane obrazy pierwotnych kształtów swoich i postaci. Nie masz podobno jawiska na świecie materialnym, któreby tym sposobem zdania nieszego nie oszukiwało. Wszystko się tu na dwoje roznosi. Drzewa i kwiaty na ziemi, sama ziemia z swojemi stworzeniami, słońca, księżyc i gwiazdy w wodzie się ukazują. Massy niezmierniej wielkości odbija drobny kryształ, rozłam świecącego metalu, częstokroć jedna kropelka płynu. Też same przedmioty rozścielają cienie kształtów swoich na płaszczyznach poziomych, pochyłych i t. d. A cienie rzeczy bywają to większe, to mniejsze od nich samych. Nawet dźwięk głosu powtarza się w miejscach górzystych. Echo jest jako obraz, jako cień, a może jako zwierciadło dźwięku.... Obłoki w powietrzu, — otóż niby fantastyczne myśli ziemi. Patrząc na te górne krajobrazy, na te urwiska skał, na te przepaści, grody, lasy, na tych jeźdźców harcujących po mglistem błoni, rzekłbyś, że ziemia duma i zawiesza wysoko nad nami sense kształty swojej fantazyi. Co zdziałała na powierzchni, albo co zdziałał dowcip człowieczy, toż samo unosi w po-

wietrze, osadza niby dla rozrywki na tle ruchomém, na obłoku, i kłamliwe rysuje postacie. — A jeżeli pójdziemy do mniej znanéj krainy: czyż sen nie jest cieniem życia ludzkiego? Czyliż we śnie, — w tem fantastykiem przeobrażeniu tego co się działo na jawie, — nie rozmawiamy? Nie rozumiemy i na głębokie się dowcipy nie zdobywamy?... Idźmy jeszcze dalej, w te strony, z kąd, jak mniema Hamlet, żaden wędrowiec nie powrócił: śmierć czemże będzie? Tylko cieniem snu, zwierciadłem nocnem tego kłamliwego obrazu życia.

Istota, cień marny i zginienie, otoż trzy pierwiastki bytu. Rzeczywistość, sen i śmierć trzy rozdziały w księdze jestestw, — jakby trzy zwroty jednéj pieśni, jednego hymnu pochwalnego, w którym pełno zgody i harmonii, choć tak różne zdarzenia wyraża.

Taka jest poezya natury. Napróżno szukalibyśmy właściwego nazwiska w polskim języku dla téj osobliwości. Trudno to krótko powiedzieć. Cóż znaczą owe porozrzucane świadectwa widomych kształtów, owe omylne postacie? Jak rozumieć tę dwoistość bytu, to dzielenie się, i zacieranie? Tę naśladowczą umiejętność w przyrodzeniu? Kto rad na małym przestaje, niechaj się uczy optyki i akustyki, — a snadno pojmie przyczynę odbijania się głosu, lub ukazywania przedmiotów w wodzie, i na innych ciałach przezroczystych. Ale podobno te nauki ciekawszego umysłu nie zaspokoją. Z doświadczenia wiedzieć, że to lub owo takim a nie innym trybem dzieje się w naturze, nie jestto jeszcze: *wszystko* wiedzieć. Pewne jawiska w przyrodzeniu mają zakryte rozumienie; mają tajemną stronę nieznaną fizyce eksperymentalnej. A porównaćby je można z dekoracyami widowisk teatralnych, które tylko w perspektywie, na scenie zamierzony skutek czynią, kiedy się zacznie rzecz poematu i gra aktorów. Najpiękniejszy fenomen roze-

brany i tłómaczony wedle przepisów martwój nauki, jest jako teatralna dekoracya za kulisami.

W wieku pośrednim, — w tój epoce dziwów i fantazyi, za dni Componelli i Paracelsa, nauka przyrodzenia była sztuką magiczną, czarnoksiężkiem misterstwem. Natenczas uczeni i nieucy wierzyli w zakryte własności — *qualitates occultæ*. Czyż teraz żadne tajemne rozumienie, żaden dziw naszego serca nie opanuje? Tę myśl gdzieindziej obróciwszy postrzeżemy: że owo podrzeźnianie w naturze, nie na same kształty się rozciąga i zewnętrzne postacie. Wszędy takie analogije spotykają uwagę naszą. Tę dwoistość bytu prawdziwego i omylnego widzimy także w ludzkim społeczeństwie. Historia to jasno pokazuje. Czytajmy dzieje niektórych ludów w czasach zapadłych i nowszych. Jak szeroko rozsiały po ziemi jestestwo swoje! Oto panują na lądzie i na morzu; mają liczne miasta; mają skarby, potęgę, dostatek wszystkiego. Rozkazują im mądrzy w przełożenstwie, dzielni bohaterowie. Mąż wielki, jeden po drugim, idzie z nieprzerwanego następstwa. Przywdziewają zbroje, przodkują bitnym szykom i bratnią sławę u kończyn świata rozpleniają. Lecz to nie trwa długo. Czemże jest historia? Snem ludów, cieniem ich jestestwa. Owe plemie, skutkiem poprzednich powodzeń, zawichrzone niezgodą, lub rozpieszczone niewieścią miękkością znika z placu. Moc, dostatek, biegłość w sprawach, świetne przewagi, dostojne imie, wszystko rozprószone, jako mgła mija. Wtenczas na karki pogńębionych następują silniejsi, dzicy światoburcy; depcą po nich, z dawniej okazałej spaniałości dumnie się natrzęsając; krwawym bułatem nowe rządy na ziemi gruntują, i głośniejszą jeszcze surmą obwieszczają przyszłym wiekom swój ród i imie. Cóż się stało z ludem zwyciężonym? — Jest jeszcze; jeszcze się jego jestestwo w nic nie rozwiało; przechodzi dopiero drugą kolęj, drugi rozdział bytu. Zwie-

dzionemu, strąconemu z widowni działań, ironija losu zakreśliła ciaśniejszą sferę na omylnym obrazie, w cieniu prawdziwego życia, — niejako we śnie politycznym. Tak może przetrwać kilkaset lat. Z czasem atoli i te ostatki jestestwa ulegną zagładzie. Bo ze snu niemocy przechodzi naród do ciemniejszych jeszcze krain... Jeżeli tedy ten lud w powodzeniu swoim, za dni szczęśliwszych nie miał żadnego mędrca, żadnego dziejopisa, żadnego wieszca, lub artysty, zaginie niepochybnem zatraceniem pamięć jego imienia, — zginą szczątki szczątków.

Wszędzie natura przemawia do człowieka. Pełno tych znaków w przyrodzeniu. Możliwość jeszcze to rozpoznanie się na dwoje uważać jako słabą, i niejako instynktową dążność natury do *refleksyi*; a przynajmniej owe igrzyska natury, owe fantastyczne przeobrażenia zdają się być godłem władzy intelektualnej człowieka, którą *reflexyą* zwiemy, która sprawuje: że możemy mieć *uznanie samego siebie w naszym jestestwie* *).

Rzecz ta zostaje w związku nierozdzielonym z przedmiotem, który będą roztrząsał. Jest zawikłana, a le-

*) „*Mieć uznanie samego siebie w swoim jestestwie*“ — W polskim języku nie masz lepszego i dobitniejszego, zdaniem mojem, wyrażenia na oznaczenie tego co łacinnicy rozumiają przez: *Conscientiam sui*, a Niemcy przez słowo także złożone *Bewusstsein*. Dotąd nazywano to u nas *przeświadczeniem*; ale *przeświadczenie* nie maluje rzeczy. Idzie tu o to, żeby wyrazić: że wiemy iż jesteśmy, czyli: *wiemy się w jestestwie naszym*. Zaś *przeświadczenie*, (wyraz przez wszystkich znajomych mi pisarzy polskich używany w omylnem rozumieniu) znaczy tylko: że wiemy, iż wiemy; a zatem wyraża tylko *principium cogitandi* a nie *principium cogitandi et essendi*. Co innego wiedzieć się w myśli, czyli wiedzieć, znać myśl swoje, a co innego pojmować się i w myśli i w jestestwie zarazem. Wreszcie po co stwarzać dla filozofii polskiej (jeżeli ją kiedykolwiek będziemy mieli mimo nasz odwieczny wstręt ku wszelkiej filozoficzności) wyraz nowy, kiedy jest stary nierównie lepszy? To *uznanie samego siebie w jestestwie swoim* zna-

dwo tknięta piórem polskiem: czyż zdołam moją myśl jasno i zrozumiale dla każdego czytelnika wyrazić?

„Natura przychodzi do reflexyi.“ To przedsięwzięciem okazać.

Kiedy myśląc wiemy myśl swoją, i uważamy wszelkie jej poruszenia, tak, iż wszystko co się wewnątrz nas dzieje, jest nam dobrze znajome, i z tego co chwila zdać sobie sprawę możemy: uwaga ta wewnętrzna jest *reflexyą*. Przynajmniej takie znaczenie przywiązujemy do wyrazów: „zreflektuj się, — rozważ co myślisz, — przyjdź do siebie.“ Są to prawie jednoznaczne wyrażenia w polskim języku.

Jakże natura przychodzi ku téj reflexyi?

W pierwszym poruszeniu, w początkowych tworach nie ma ona uznania saméj siebie. Jest, a nie zna swego jestestwa. Działa, a nie zna działań i poruszeń swoich. Jednak statecznie ku temu zmierza. Iskrę ognia, błysk światła zawarła w twardym kamieniu; dźwięk w metalach. Światło, dźwięk są niejako duszą rzeczy; materialność tych istot dwuznaczna, wątpliwa. — Jestto najpierwsza, najodleglejsza reprezentacya pewnego *intellektualizmu* w przyrodzeniu.

lazłem w Skardze, Birkowskim i innych znakomitych pisarzach, którzy ucierając się z kacerstwem w Polsce, samym trybem polemicznych rozterek bardzo głęboko zabrnęli w subtelności teologiczne. Szczęśliwie oni nakłaniali mowę ojczyzną do wykładu pojęć wysokich, oderwanych, cienkich. Ztąd korzyść dla języka nie mało ważna; byłeśmy tylko z niéj rzetelny pożytek wyciągnąć umieli. Wiele takich wyrazów znaleźć można w jednym n. p. traktacie X. Jabłonowskiego. Ale my wolimy stwarzać wyrazy rzeczom opaczne dające rozumienie, niżeli przenikać do szczeréj istoty polskiego języka w dziełach, pod tym względem nieoszacowanych, starych pisarzy naszych. Podobni w tym nieumiejętnemu ziemianinowi, który dobrą, żyzną rolę lichem zasiewa ziarnem. — Rzecz dziwna i godna z wielu miar uwagi: że nawet w języku polskim owe *principium essendi et cogitandi* wyszło za naszych czasów i z używania i rozumienia Polaków.

W naturze widzimy postęp nieprzerwany od bezwładności do życia; a w samym życiu ileż odmian, ile modyfikacyi!

Długi szereg jestestw rozdziela nieme głazy od rozumnego człowieka. Ale tę całą przestrzeń jedna linija przebiega. Ten cały przestwór zapełniony. Niemasz żadnej przerwy; żadnego skoku. Żadnego ogniwa w tym łańcuchu nie braknie.

Przeto: „*między tem co jest, i tego że jest niewie,*“ a tem „*co jest, i wie że jest*“ zachodzi ścisły związek. — A zatem: natura przez stopnie pośrednie przechodzi od martwój materji do *pojęcia*; od punktu na którym nie ma jeszcze *uznania samój siebie w jestestwie swoim*, do punktu na którym sama siebie *rozumie*, z którego *pojmuje* działania swoje, — naostatek: w którym *uznaje się w swoim jestestwie*.

Jako cień drzewa rozciela się na płaszczyźnie, i jak się obraz tego drzewa maluje w ruchomym strumieniu, — tak cała natura z wszystkimi stworzeniami swemi, biegami, siłami, odbija się w ostatniej mocy, w ostatniej potędze swojej, — *w myśli człowieka*.

Rzeczy i ich naśladowane postacie, niechby się tysiąc-krotnie na omylne i coraz omylniejsze kształty to w mgłę powietrznej, to w wodzie rozbijały; gdyby w naturze nie było jestestwa mającego *pojęcie*: nigdyby samój siebie ani pojąć, ani zrozumieć nie zdołała. *Pojęcie* tego jestestwa jój samój służy; tak jak głos służy słowu. W tej mocy sama siebie uznaje. Myśl nasza: jestto strojny dzwiczny akkord, brzącać zgodnością wszystkich razem pierwotnych sylab, rozrzuconych w przyrodzeniu. Promienista istota, w nas utajona, niewidzialna, na wszystkie strony się rozlewająca, nakształt fali poruszonej wody, i wszędzie rodząca czucie widzenia!.. Ale niechaj lepiej wyjaśni to rozumienie moje porządek *reprezentacyi* w widomem przyrodzeniu, — tak jako go uważają, za dni naszych,

filozofowie natury, których mam we czci i poważaniu, choć ich obłożono zarzutem mistycznego szarletanizmu. Najwyraźniej to pokazują stateczne i nigdzie nierozzerwane związki świata anorganicznego, czyli nieorganicznego z organicznym. Nic powabniejszego nad tę teorię powinno wactw, i związków natury nie mającej uznania we własnym jestestwie, natury martwej z ożywioną, wreszcie powoli zmierzającą do myśli i rozumienia. Że tym jednym tylko zastawie się przykładem: po złamaniu lub rozbięciu niektórych minerałów, na wewnętrznej powierzchni okrytej drobnymi cząstkami ich masy, postrzegamy blaszki połączone z sobą, nakształt listków korony w kwiecie. Nazywa się to w mineralogii odłamem blaszkowym, co bym wolał nazwać odłamem kwiatowym. Symetryczny często układ tych blaszek, około jednego punktu osadzonych na kształt listków, czyż nie zdaje się przepowiadać, w świecie martwych kamieni, roślinnej natury? I tak jest w rzeczy samej, jeżeli na sam kształt wzgląd nasz obrócimy. Granit, — to *maximum*, ta największa wyniosłość anorganicznej natury, jak go nazywa Szubert sławny naturalista w Niemczech, z trzech części jest złożony: z kwarcu, feldspatu i miki. W tym składzie całe reprezentuje przyrodzenie! I tak: zamiast miki w granitowej skale znajduje się niekiedy *szeryl* (*turmalin*), czarnym kolorem, kształtem, masą złożoną z igiełek, jakby włóknistą, podobny węglom ziemnym. Poniekąd więc przypomina młodsze państwo roślin.*) *Syenit* od wielu Geognostów nazwany młodszym granitem, dla tego, że ze wszystkich pierwiastkowych skał najpóźniej został utworzony, składa się z ziarn *feldspatu* i *amfibolu* (hornblendy); ten ostatni ciemno-zielonym kolorem, postacią i większą miękkością, lepiej jeszcze niżeli *szeryl* roślinną

*) *Handbuch der Geognosie* Szuberta; oraz: *Ansichten von der Nachtseite der Naturwissenschaft*; tegoż.

wyobraża naturę. — *Werner* na oko pokazał przejście granitu przez *gneys*s i góry łupkowe do piaskowca i węgla ziemnego, — a tem samem do wegetacji. Wreszcie: zważywszy przejścia *miki*, panującej w składzie łupka mikowego, a w łupku glinianym, który stanowi dalsze tegoż utworu ogniwo, zbliżającej się we własnościach swoich do łupku ałunowego, zawierającego węglík; rzechy można, z niemałym podobieństwem do prawdy: „*że mika reprezentuje w granicie, i jest niejako hieroglificznym prorokiem działu roślin.*“ Dalej. Spat skalisty *) czyli *feldspat*, — druga część składowa granitu, — mający także odłam blaszkowy w kształt listek, powiększej części jest białawego, cielistego i czerwonego koloru. Co, jak się podoba rozumieć *Szubertowi*, ma być oznaką postaciową, niejako *figurą* krwi zwierzęcej w świecie anorganicznym. Gdziekolwiek w późniejszych formacjach, okrywających skały granitowe, *feldspat* znika, tam pospolicie znajdują się warsty wapna, w większych coraz rozciągające się *massach*. Ta okoliczność, oraz, że *feldspat* w składzie swoim wapno zawiera, **) naprowadzają na wniosek: jakoby takowe było tylko przemianą *feldspatu*. A że od najdawniejszych formacji wapienia do najpóźniejszych, powiększej części złożonych z zabytków istot zwierzęcych, przejścia są ciągłe i nieprzerwane; ztąd zaś przez stopnie pośrednie do działu zwierząt, które w częściach swoich składowych wapno zawierają; przeto: „*feldspat uważaćby można w granicie jako reprezentanta, czyli przestannika, i hieroglificznego proroka państwa zwierząt.*“ Naostatek: kwarc, trzecia część składowa granitu, stateczną niezmiennością swoją we wszystkich innych stosunkach, dział minerałów reprezentuje.

W tym to ciekawym składzie granitu, czyż nie zdaje

*) *Ibid.*

**) Według rozbioru *Vauquelina* składa się *feldspat* z 64 części krzemionki, 20 glinki, 2 wapna i 14 potażu.

się: jakoby natura anorganiczna ustanowiwszy pierwotne ogniwa, i początki wszystkich swoich utworów, niejako tellurecznym przeczuwała instynktem co potym nastąpi? I jako się w wyższym i daleko doskonalszym porządku ukształca życie, organizacya? — Krótko mówiąc: czyż te istoty, które najczynniej działają w organicznej naturze, nie są także najpotężniejszymi działaczami w anorganicznej, czyli nieorganicznej — i przeciwnie? — Ciepło rozszerzone w całej naturze nieorganicznej, jest także w roślinach i ciałach zwierzęcych. Czyż nie bliski i nierozdzielny związek? Płyn elektryczny pod ziemią, na ziemi i w powietrzu rozlany, nadaje sprężystość muskułarnemu systematowi, i drażliwym włóknom roślinnym. Według nowszych postrzeżeń: nie jest rzeczą niepodobną, żeby się w oku naszym światło rozwijać nie miało. Rośliny wyciągają największą część swojej *substancyi* z wody wszędzie rozpostartej; a główne części istot zwierzęcych mieszczą się w powietrzu atmosferycznym. Człowieku! Imię twoje ziemia! Z ziemi ciało twoje, — choć z czterech stron świata przyniesionej, wschodu, zachodu, północy i południa. *) W ziemi mieszkanie twoje, czyż się w ziemię nieobrócisz? Czyż nie ma ziemi w naszych kościach? Czyż we krwi naszej nie płynie żelazo, — metali tak głęboko w łonie ziemi gniazda swoje mający? A złoto i inne kruszce, czyż nie są dla nas lekarstwem, trucizną? Czyż zioła i rośliny ziemskie, z różnych nas nie wyleczają niemocy? Czyż źródła cudownemi uzdrawiający skutkami nie sączą się z skalnych zdrojowisk? — Jakież kres położyć tym związkom z każdej nie ledwie strony, z każdego względu?..... Górnik prowadzony płochą chęcią przedziera się do głębokich pokładów; często-

*) *Quatuor literis Adam, quatuor terrae partes contineri: orientem, occidentem, septemtrionem et meridiem* — wyrazy Ś. Augustyna.

kroć strach wielkooki obejdzie go w koło, kiedy posepnym blaskiem swojej latarni mignie w tajniach nigdy niezwie-dzonych złego ducha. Czegoż szuka? Skarbu, — mar-nego zysku, najczęściej nie dla siebie, dla innych, za małą nagrodę. Co innego uczony mineralog. Filozof ten przenika do szczerzej istoty, i rzetelnego rozumienia krusz-ców, kamieni. Jest to podziemny Astrolog. Wedle ba-łamutnej gwiazdziarskiej nauki, nieraz się górne konstel-lacye na los biednego zaszepiały człowieka. Nie raz się mięszały ku zgubie wielkich mężów starego wieku, szyki niebieskie, biegi, ruchy, — toż wikłały potajemne siły, — gasły światła. A jeżeli wzrok nasz z téj wysokości w zie-mię zapuścimy: — czyż kamienie, metale małoważny wpływ na ród ludzki wywarły? Po wieleż razy z ciemnej dali gro-ziły nam pod ziemią konstellacye? Po wieleż razy w obiegu czasów uwodziły nas zdradzieckim uśmiechem, to znowu odłożeniem, rozbiciem najśmielszych życzeń, najpiękniej-szych nadziei! Po wieleż to razy złorzeczyliśmy i błogo-sławili tym mocom, tym dzielnościami podziemnym, tel-lurycznym? — Kruszec z otchłani, bity i cechowany z na-pisem czyż nie jest *primum mobile*, i zarazem hamulcem wszystkiego na świecie? Czyż nie ruszył ziemskiej wła-sności, i czy jój z rąk do rąk czyżym nie przenosi obie-giem? Czy nie zmienia wszystkich między ludźmi i na-rodami stosunków? Czyż nie wprawił w obrót i ruch tego, coby się może nigdy było nie ruszyło z swego miejsca? Ten metal, prędko jak widzenie, przekupił sta-tek, zachwiał cnotę, rozpałił wszystkie pożądliwości, uprzętnął wszystkie przeszkody, porównał wszystkie z zie-mią, z błotem, z którego jest wzięty i oczyszczony; roz-czarował wszystkie powaby, rozbił urok wszystkich po-nęt, — ostudził, oziębził zapał, którego żaden brzęk ani srebrny, ani złoty nie zasili! Rozum mędrców i ludzi stare lata mających podbił pod posłuszeństwo swoje, — z nieba daleko w przepaść, w ziemię ich wrzucił. Wy-

ostrzył dowcip; udoskonalił rachmistrzostwo; ale zwojował moc ducha. Niechaj, jako kto chce tę myśl, która mnie tak daleko uniosła, rozumie; ja wierzyłem i wierzyć będę w *podziemną astrologią*, — w związki czarnoksięskie, moralne i chemiczne, w powinowactwo, żadną mocą nie rozerwane, natury anorganicznej z organiczną, — w związki i powinowactwa kamieni, metalów z istotami rozmyślającymi, — a bardziej jeszcze *dumającymi*.

Tak zapewne! mechanizm nic nie pojmujący w wykładzie i rozumieniu zagadek przyrodzenia, nie zrówna wspaniałej umiejętności *Szuberta*, albo *Nowalisa*. Jakto? może się kto zapyta, — więc rzeczywiście zostajemy w tak bliskim związku z temi malarskimi postaciami anorganicznego świata? Z temi oto skałami tak wysoko zawieszonemi w powietrzu? Te massy nieregularne, to cieniowanie rozliczne światła o ich białosc się rozbijającego, te zrozmaicone barwy, ta wielosc prawie nieskończona, mniejszych większych przedmiotów, które rozrywają, myślą naszą uwagę, — cóż nas obchodzą, cóż mają z nami spólnego? A przecie każda dzika okolica ciągnie nas taką ponętą ku sobie. Dla czegoż tak wspaniale, tak ślicznie się wydają rwiste potoki, prędkie strumienie? W górach sytuacye niektóre podnoszą umysł do wysokości, czasem aż za ów błękitny przestwór, gdzie jest niebo, jako mnie ma prostota z prawdą w sercu, z szczerością w duszy. A przynajmniej, że go na jakiś czas odrywają od ziemi i rzeczy ziemskich. Tu i owdzie, zdaje się, jakoby zrobione były dla rozweselenia wędrowca. Gdzieindziej jego radość i pociechę w smutek odmieniają. Sympatyczne uczucia łączą nas z ogromami spiętrzonych mass, które natura w przestrzeni poksztąpiła. Cóż znaczy to dziwotworne budownictwo? W innych znowu miejscach ten podrózny, sam nie wie co ma czynić, czy się cieszyć, czy smucić. Z rozrzewnieniem tylko ogląda na około siebie, dziwi się, wielbi stwórcy. Widoki takie za-

chęcącą; — z kądże to pochodzi? Daleka niechaj będzie odemnie wszelka affektacya, czyli zmyślane, sztucznie naciągnięone upodobanie w pięknościach przyrodzenia. Natura ma tyle wdzięków, że ją bez affektacyi kochać można. Bądźmy jako dzieci, kiedy się ku niej zbliżamy. Przechodząc z równin w miejsca górzyste, któż nie doznał kiedy tego na sobie, jak odmienne, coraz rozmaitsze są myśli i uczucia nasze?... Nie tylko w wewnętrznym składzie swych utworów, n. p. granitu, jako się wyżej rzekło, ale także ze względu na postać zewnętrzną swoich mass, zamyka natura geologiczna uderzające podobieństwa, skazówki, godła wyższego organicznego porządku. Od pierwotnego, kulistego kształtu, przeciężając ciężkość, *) zmierza w napowietrznój wysokości ku podłużnej formie *stupa*. Ten wedle zasad dzisiejszej filozofii natury, ma być symbolem magnetyzmu, — czyli w ogólności odskoku, **) przeciwieństwa. Zatem: twórcze przyrodzenie w anorganicznym świecie, zewnętrznymi nawet kształtami olbrzymich brył, które do takiej wysokości podniosło, zdaje się wieszczym, że tak powiem, instynktem naprzód zgadywać figury okrągłosłupiste drzew w naturze roślinnej, tudzież początkowe formy zwierząt; o ile takowe w głazach naśladowane być mogą. Jaśniej się to jeszcze w innym względzie postrzegać daje. Kryształy *szerlu* na powierzchni podłużnie narzynane, kształt zaokrąglony igiełek rozsianych w jego macicy, ścięcie, sklinowanie bocznych krawędzi, — czyż to nie wyraźne zbliżenie do postaci roślin? Lecz najwidoczniej odbijają się kształty organicznej natury w metalach. Tu szukać trzeba przejścia od kamieni do roślin i zwierząt. Najśliczniejsze farby, od szkarłatnej, krwistej granatu, od różowej, karminowej

*) *Ansichten v. der Nachtseite d. Naturwissensch.*

**) Czyli tego co Niemcy wyrażają słowem: *Gegensatz*.

rubinu w niezliczonych odcieniach do pięknej zieleności smaragdu, są rezultatem cząstek metalicznych wchodzących do składu wzmiankowanych kamieni. *) W massie wielu metalów są blaszki nakształt listków osadzone, które zdają się niejako składać tkanę komórkową, podobną zwierzęcej. — Jakże to wszystko rozumieć? W dalekiej starożytności utrzymywało się mniemanie, że kamienie silny wpływ wywierają na umysł człowieczy. Pisali o tém Aristoteles, Dioskorides, Galenus i Pliniusz. Żydzi, osobiłwie sprawujący wysokie urzędy w starożytnem kapłaństwie, od czasów niepamiętnych przykładali do piersi dyamentami wysadzone tarcze, godząc przepych z wiarą w jakieś czarodziejstwo drogocennych kamieni. Za naszych czasów wydobyto tę starożytną opinię z zapomnienia. Jeden z sławnych dzisiejszych naturalistów utrzymuje: że między minerałami a duchem ludzkim, rzeczywiście bliskie zachodzą stosunki. Zdanie to umocowały w rozumieniu wielu innych naturalistów mnogie przykłady i doświadczenia. Czytelnicy nasi niechaj przypomną sobie: że w r. 1829 pisma warszawskie ogłosiły prospekt na dzieło pod tytułem: „Jasnowidząca z Prewost“ — które następnie wydał Dr. Kerner sławny z biegłości w swój sztuce. Czytałem to dzieło. Jestto, że tak powiem, wywód słowny, zamykający opis jawisk magnetyzmu i somnambulizmu, zdziałany przez świadków godnych wiary, podczas słabości *Fryderyki Hauffe*, którą potem nazwano *Jasnowidzącą z Prewost*, od wioski tego nazwiska, gdzie się urodziła, gdzie ojciec tej nadzwyczajnej, ale nieszczęśliwej kobiety był leśniczym.

*) Granat, podług rozbioru: Klaprota, składa się z 35, 75 części krzemionki; 27, 25 niedokwasu żelaza, i 0, 25 niedokwasu manganu. A rubin podług rozbioru Vauquelina składa się z 82, 47 części glinki, 8, 87 magnezyi, 6, 18 kwasu chromicznego. *Mineral. Drzewins.* — Czyż to niepokazuje zbliżenia się do roślin zawierających pierwiastki farbujące?

Wioska Prewost leży w górzystej okolicy miasteczka Le-
wenstein w Wirtemberskiem. *Fryderyka Hauffe* po-
ruczona została lekarskiemu staraniu Dra *Kernera* roku
1826. Nieznośne boleści z kurczów żołądka pochodzące
były początkiem jój długich cierpień, zaledwie na kró-
tką ustawających chwilę dobroczynnym skutkiem magne-
tyzmu, którego środka użyto, kiedy już wszystkie inne
zwyczajne daremnemi się pokazały. Dwa lata trwała
kuracya. Pomijam wszelkie inne fenomena podczas tego
jasnowidztwa; lecz nie od rzeczy wspomnieć, jaki wpływ
wywierały na pacjentkę różne minerały, które trzymała
w ręku. *Kerner* zapisywał każde jój słowo; bacznie uważał
każde poruszenie. — „Kryształ skalny“ — mówiła jasno-
widząca, — „ma przyjemny zapach.“ Ale gdy ten ka-
mień przyłożono do jój serca, natychmiast otrętwiała.
Całe jój ciało od szyi do stóp było wyprężone; mówiła
od rzeczy. Tenże skutek za każdym ponawiał się przy-
łożeniem skalnego kryształu. Rubin wielkości ziarnka
grochu wzniecił zrazu boleść w ramieniu pacjentki; czy-
nił ją potem wielomowną, niespokojną; przyczem, jak
mówiła, zimno rozpostarło się w jój całym ciele. Magnes
wznawiał kurcze i gwałtowne sprawował zatrząśnienia.
— „Kamień ten“ — są słowa jasnowidzącej, — „czyni
mnie chromą, ale wesołą.“ — Ze wszystkich metalów
platyna najsilniejszy wpływ na nią wywierała. Równy
moralny i fizyczny skutek sprawiały rośliny. Wawrzyn
(*bacca lauri*) wprawiał ją w sen magnetyczny. Usypiała
za każdym dotknięciem laurowej gałązki, albo listka.
Rośliny jadowite, blisko niój położone, sprawiały odu-
rzenie, mdłości. Szczególniejszy skutek, jaki u wszy-
stkich jasnowidzących wawrzyn sprawia, czyż nie tłóma-
czy przyczyny: dla czego niegdyś w kościele delfickim
wieszczka laurowe potrzasała drzewo i laurowe gałązki
składała na trójnogu, przed roztrzygnięciem czynionych
sobie zapytań?... Dla czegoż teraz kamienie na ludzi

zdrowych nie działają w ten sposób? Dla czego stan słabości zwanój jasnowidztwem, wznawia te, jak się zdaje, rozerwane tylko stosunki natury anorganicznej z człowiekiem? Czy zatarła się ta własność początkowa kamieni i metalów? Czy téż my sami podpadliśmy takiej zmianie we względzie naszej natury fizycznej i moralnej, że teraz tylko najstraszliwsze trucizny roślinne i mineralne, działając na nas mogą? To jest: dopiero za dotknięciem i przyłożeniem do ciała. — A gdzież się moc *słowa* podziela, którą, — jak niosą starożytne podania, — tym niemym rozkazywaliśmy istotom? — Gdzież się podziela owa pierwotna dzielność woli ludzkiej, którą niegdyś i bez mowy, bez dźwięku, podbijaliśmy pod posłuszeństwo swoje najpotężniejsze mocy w naturze? Tak zaiste: przeciąg między nami a ludźmi starego wieku, bardzo wielki. Jakżeśmy go przeminęli? Na to niechaj historia odpowie. Powinnością jest głosu oznajmić słowo myśli naszej; ale ten głos utracił dawną siłę; myśl zemdląła, i słowo przestało być cudotworne. — Ten sam *Kerner* czyni z tego względu uwagę: że coraz bardziej odstępując od natury, wyszliśmy z powinowactwa, jakie niegdyś łączyło ściślejszym związkim człowieka z innemi jestestwami organicznymi i nieorganicznymi. Powiada on: że przez magnetyzm te rozerwane związki, znowu się u pewnych osób odradzają. I w rzeczy samej, ku temu przyszło: że te osoby więcej widzą we śnie, niżeli my na jawie w zupełności sił i najczystszej zdrowia. Że teraz rozrządzamy siłami przyrodzenia, że ztąd tak wielką gospodarską korzyść odnosimy, nie to nas nie zbliżyło do natury. Owszem zdaje się, jakoby tym mocniej przeciwko nam się obwarowała, i tym trudniejsze, a prawie nieprzełamane stawiała przeszkody, że tak chciwie swoje ku niej ręce wyciągamy, że tak usilnie i gorąco pragniemy zniewolić to musem, to fortem wszystkie jej własności, biegi, mi-

sterstwa, praktyki, aby *tylko* domowej potrzebie naszój służyły. Natura jest otwartą księgą mającą za naszych czasów więcej miłośników, niż czytelników. Za odstąpieniem od przyrodzenia wygaśł instynkt z wszystkimi swemi cudownemi przymiotami; słabnie władza, niegdyś tak dzielna *przezuwania*, przenikania natury, i zgadywania jój nawet zamiarów, — jój trybu postępowania. Znikły cudowne dary wielu ludzi; szukać ich teraz potrzeba za granicą terażniejszej kultury, między dzikimi, albo w stanie niezleczonój jakiejś niemocy. Dzisiejsza cywilizacya coraz usilniej, pod czczym pozorem mistycyzmu i zabobonów, zaciera, zatarła wszystkie wrodzone zdolności pojmovania natury bez doświadczeń i sztucznych aparatów, tóż rozkazywania jój najmocniejszym siłom samem chceniem, lub uskramiania takowych niechceniem. Owe pierwotne związki ludzi z naturą zastępuje teraz nauka, która, jako się później przekonamy *nauką nie jest*. Nauka, umiejętność, — wielkie słowo! Życie w ogóle wszystkich razem stworzeń zaczyna powoli ustawać. A pole naszych empirycznych wiadomości jest nakształt ogrodu zasianego pożytecznemi warzywami; *) piękniejsze, spanialsze kwiaty w tym kuchennym ogrodzie zdają się bydź z pod obcego nieba przeniesione, i w roślinnej hodowane cieplicy. Licho się tóż krzewią.**)

*) Wyrażenie *Steffensa*.

**) Wzmiankę o *Jasnowidzącej Prewost* uczyniłem był w Kurierze Polskim (Nr. 216.); z tego powodu nadmieniam: że pewien doktor Filozofii, wydawca „Pamiętnika umiejętności i literatury” umieścił w swem piśmie artykuł o tój *Jasnowidzącej* z dziennika francuzkiego *Revue Encyclopedique*. Artykuł, w którym się cała czczość maluje, „nie wielu już w zastępie swoim stronników liczącej francuzczyzny osiemnastego wieku. *Kurier Polski* w roku bieżącym zarzucił uczonemu wspomnionego *Pamiętnika* wydawcy *horrorem meditationis*. Zacny filozof nie wyszedł jeszcze z tego obwinienia. Iści się to na obecnym przykładzie. Z mojej strony muszę go tu obłożyć cięższym jeszcze zarzutem, całe nie przypadającym do miary z szum-

Bądź co bądź, wszystko to mnie ntwierdza w rozumieniu: że natura przez stopnie pośrednie przechodzi od martwej materji, od pierwotnych kształtów do *pojęcia*. Czyli innemi słowy: od punktu na którym *nie ma uznania samej siebie w jestestwie swoim*, do punktu, z którego sama siebie i wszystkie swoje *rozumie* działania. Jest związek niezaprzeczony, oczywisty między naturą nieorganiczną i organiczną; jest postęp ciągły, jest nieprzerwany od mchu, porostu do palny, będącej najwyższym wierzchołkiem działu roślin, jako granit jest największą wyniosłością w świecie anorganicznym i t. d.

Nie masz w tem żadnej trudności, żadnego zawikłania. — Zmierzam dalej do kresu, rozumując jako następuje:

Przypuścmy, że w hierarchii stworzeń niemasz ani jednego *rozeznawającego* co się w niem samem dzieje, — *wiedzącego* nie tylko rzeczy zwierzchne, ale i *siebie*. Gdyby tak było, któżby pojął naturę? I ku jakiemuż końcowi toby się wszystko chyliło? Komuż świeciłyby górne koła, od tylu tysięcy lat nieomylnie w biegu swoim? Dla

nym tytułem wydawanego przezeń pisma, — które nazwał *Pamiętnikiem umiejętności i literatury*. Muszę bowiem powiedzieć: że zany doktor ma *horrorem scientiae*!! Co jest rzeczą daleko boleśniejszą. Godziłoż się mu w terażniejszym stanie wiadomości pod względem magnetyzmu, przełożyć tak źle pomysłany, tak źle napisany artykuł, i częstować nim swoich czytelników? Toż własnem dowcipowaniem dalekiem od Filozofii, której jest doktorem, podszywać się pod cudzy płaski dowcipek? Godziłoż się mu nie wiedzieć tego że dziennik *Revue Encyclopedique* choć bogaty w rozliczne wiadomości, przez samych jednak światlejszych Francuzów obwołany został za rozmnożyciela i patrona wszystkich opinii tehnących obskurantyzmem pod względem i estetycznym i naukowym? Wydawca tak filozoficznego dziennika, nie jest przecież *najfilozoficzniejszy* w wyborze przedmiotów, któremi zapełnia pismo swoje. To przyznać potrzeba, *cela va sans dire*. Jestto stek zwietrzałych maxym. Zapewne w duchu tych maxym odsyła wydawca tych wszystkich, „którzy się dowoli naczytali jasnowidzeń wieszczki z Prewostu i już się

kogo strzegłoby morze granic swoich? Jakiż wreszcie kres naznaczylibyśmy drogom mlecznym i niezliczonym orszakom niebieskich ciał? ... Dla natury trzeba jasności. Tą jasnością, tym świecznikiem przyrodzenia, tą lampą światów jest myśl człowieka-aniola. Cała natura w niej się maluje, jak obraz nadbrzeżnych kształtów w ruchomym strumieniu, — jak cień rzeczy na zwierciadle. Wszystkie ku temu zmierzają przeciwieństwa, wszelka tosamłość, wszystkie siły i poruszenia. Jeśli naturze odejmemy tę *myśl* — cóż pozostanie? Martwy *niepojęty od nikogo* porządek. Co byż nie może. Bez tej myśli, natura nie miałaby ani gruntu pod sobą, ani wewnątrz ujęcia, i byłaby jako obwód bez środka, albo jako grób ciemny, gdzie znikąd światło nie wpada.

„Nie bądźmy“ — mówi pismo, — „jako oczy, które na wszystko patrzą, a same siebie nie widzą.“ — Otóż pierwszy początek wszelakiej filozofii! Od tego zaczyna się wszelkie rozumowanie. Jest światło wszystko rozjaśniające około siebie, a wewnątrz ciemne. Takim światłem byłyby myśl ludzka, gdyby samą siebie nie *wie-*

ważnością różnych z tych wniosków przejęli“ — do dzieła Doktora Hilberta *o widmach*, które jako skuteczny *antidot* zaleca. Zaleca także wydawca zapowiedziane dzieło Waltera Skota: *Historią demonologii i czarnoksiężstwa*. Nareszcie powiada: „że podobnego rodzaju przedmioty dają się także *popularnie obrabiać*(?); „widzieliśmy to w narodowej powieści *Panna Floryanna*, która była także jasnowidząca z wieku XVI.“ — A trzeba wiedzieć (może myślę się w zdaniu mojem) że tę powieść pod tytułem *Panny Floryanny* sam wydawca napisawszy, umieścił w swoim *Pamiętniku umiejętności*!! Zachodzi teraz pytanie: do jakiego działu *ścisłych umiejętności* należy ta *Panna Floryanna* XVI. wieku? Do jakiego działu literatury i sztuk pięknych? Czy do satyry? (może na rozum samego autora) Czy do epigrammatu? — Ale wołę *demonologią* Waltera Skota, wołę doktora Hilberta, wołę nawet, gdyby wybierać przyszło, ów przedmiot „*popularnie obrabiany*” to jest powieść o *Pannie Floryannie*, niżeli całą Filozofią i Estetykę wydawcy *Pamiętnika umiejętności*.

działa. I przeciwnie: światło jakiegokolwiek, *wiedzące* ze jaśnieje, byłoby *myslą*, — *pojęciem*; byłoby słońcem, — duszą świata. Myśleć i to wiedzieć, i w tem myśleniu się rozumieć, jestto „*bydź*.“ „Bydź“ — jestto tylko bydź *przedmiotem, obiektem* dla samego siebie. Kto nie może bydź przedmiotem dla samego siebie, i w tem się bezprzestannie uznawać, — ten nie jest. Cała różnica między człowiekiem i kamieniem, i metalem, którego cząstki we krwi jego płyną, i ziemią, która się w jego kościach znajduje! Kto tego, że jest nie wie, jest tak, jakby go nie było. Jest, ale dla kogo innego, nie dla siebie... Jestestwo nasze w myśli się odbija. Odbijając się w myśli, rozdziela się na dwoje. *Mysł* jest istotą naszą; nosi na sobie nasz cień, nasze podobieństwo, nasz obraz. Ten cień wewnątrz nas się rozpościera. W myśli mamy grunt *pod sobą*; mamy wewnątrz nas *wjęcie* samych siebie, — toż środkowy niejako punkt całej sfery bytu naszego. Mysł jest jako czyste zwierciadło; co ukażesz, to się też w niej ukarze. Patrząc wewnątrz nas, widzimy samych siebie; wiemy samych siebie; dla samych siebie stajemy się przedmiotem *widzenia*, i niejako rzeczą oddzielną.*) — Póki nie przyjdziemy ku temu *rozdwojeniu*, póty nie mamy jestestwa. Bydź dla samego siebie przedmiotem widzenia, jestto myśleć. Myśleć jestto żyć. Życie nasze od tego punktu się zaczyna. Nie wtedy, kiedy się w brzemienu macierzyńskim społy nasze członki, nie wtedy kiedyśmy się na świat narodzili, — ale kiedy *wiemy siebie*, dopiero wtenczas przychodzimy do jestestwa. Otóż najpierwszy warunek bytu!

„Ale“ — powie kto, — „natura nie myśli, więc nie ma uznania saméj siebie, — więc podług tego, co się wyżej rzekło, *nie jest*“ — To mylny wniosek. Natura jest

*) Toć jest co wyraża owa formuła szellingianizmu: — „*das beständige-sich-selbst-Object-werden-des subjectiven*.“

— bo myśl, duch jest częścią natury. I natura z tej tylko *jest* przyczyny. Prawdziwa umiejętność przyrodzenia zmierza do tego, żeby okazać: jaki związek zachodzi między *tem co jest i tego że jest nie wie, a tem co jest i wie że jest.* A zatym: od widomego do niewidomego. Tak jak dawna *ars separatoria segregatoria*, — (dzisiejsza chemija,) — zacząwszy poszukiwania swoje od najcięższych *substancji*, od metalów, przeszła z czasem do *inponderabiliów*, do badań ze względu powietrza, światła magnetyzmu, elektryczności. W rzeczywistej nauce przyrodzenia, której *metoda*, czyli tryb postępowania jest filozoficzny, umiejętny, niemasz innej dążności tylko: *od natury widomej do ducha*; jakby od dźwięku zewnętrznego głosu słowa, do wewnętrznego rozumienia, które ten głos wyraża. Teoryą natury nie jest encyklopedyczny słownik nazwisk i doświadczeń podzielonych na rozdziały; ale jest tą teorią: systema praw, podług których natura tworzy i działa. Zewnętrzne niejako fenomena nikną, rozpraszają się; zostają tylko formy, biegi, siły poruszenia, — matematyka, *spekulacja*. — „Optyczne“ fenomena — słowa wielkiego Szellinga, założyciela w naszych czasach prawdziwej umiejętności przyrodzenia, ugruntowanej nie na doświadczeniach, (których pewność względna tylko, i warunkowa być może,) ale na zasadach mających za sobą oczywistość niewątpliwą, powszechną, bezwarunkową, — „optyczne fenomena, niczem innym nie są, tylko geometryą, której linie w świetle się rozbiegają, a to światło jestże materyalne? Z tego względu zostajemy jeszcze w wątpliwości. W jawiskach magnetyzmu nikną już wszelkie materyalne ślady; a fenomenów *grawitacji* pojąć nie zdołamy bez przypuszczenia bezpośredniego niematerialnego wpływu.“ — Tak wszystko się uduchowienia w naturze; wszystko zmierza ku temu *co żadną nie jest rzeczą*, i przedmiotem rozbioru, analizy być nie może, — *do myśli do pojęcia, które same siebie pojmuje, ro-*

zumie. Patrzymy na świat: któż przodkuje wszystkim jestestwom? — Człowiek. — Któż jest człowiek? — Ostatnie ogniwo łańcucha stworzeń. — Przeto jest częścią natury; częścią jednéj całości. Człowiek ma myśl, ma pojęcie. Zatem i natura tę myśl mieć musi — z saméj konieczności i konsekwencyi loicznej tego rozumowania. Myśli ona naszą myślą, i sama siebie naszem pojmuje rozumieniem. W człowieku, jako cząstce całości swojej przychodzi *do refleksyi*. Tu się uznaje w swoim jestestwie. W nas w środkowym punkcie istoty naszej staje się natura przedmiotem dla saméj siebie. — Są-li to czcze słowa? Nikt nie zada nieprawdy temu rozumowaniu, kto pojmuje stosunek części z organiczną całością. A zatem:

Skoro przyznano, że jest ciągle i nieprzerwane stopniowanie w naturze;

Że między bezwładnością nieorganicznej materyi, nie znającej swego bytu, a myślą, która sama siebie pojmuje i tem pojęciem wszystko ogarnia, — że między temi dwiema kończynami, między temi dwoma biegunami kreacyi jest związek nierozdzielny, ścisły, statecznie trwający; naostatek:

Ponieważ myśl jako część naszego jestestwa, a samych siebie jako część natury uważać powinniśmy; przeto:

Myśl nasza koniecznie częścią natury być musi, — w takim samym stosunku, w jakim duch względem ciała zostaje. — (Z czego zarazem wynika musiem nieodpartéj konieczności: że umiejętność przyrodzenia z dwóch części składać się powinna, jednéj materalnej, a drugiéj duchowej, — *intelektualnej*.)

Ale jakże to wszystko przypada do miary z polską literaturą? — Może się nie jeden zapyta czytelnik tego pisma. Odpowiadam: kto chce baczniejszy, nie powierzchowny tylko wzgląd rozciągnąć na literaturę jakiegokolwiek narodu, powinien z dala upatrywać cel swojego pisma; a przedewszystkiem zdać sprawę: jakim rządzi

się mniemaniem w tój mierze? Toż rozwinąć widoki, pod które wszystko podciągnąć przedsięwziął, żeby się potem nie wahał i nie przeciwiał samemu sobie. Konsekwencya jest duszą takiego pisma. Nigdzie od niej odstępować się nie godzi. Któż da wiarę temu co powiem następnie, jeśli się zawczasu nie wypowiedam: jak widzę rzeczy i z wierzchu i wewnątrz, i do czego się mają? — Literatura wyciągnięciem jest na jaśnią myśli narodu. W niej, że tak rzekę, czujemy się jak potężnie. Więc z tą *myslą* rozwieść się musiałem, wszystko ku niej ciągnąc w całym przyrodzeniu. — Polska niesie przypowieść: kto do cudzego domu wnijdzie, gospodarskiej woli dogadzać musi. Tak samo kto to pismo weźmie do ręki, niechaj zinną rozumuje. Tą proźbą zamykam przemowę do czytelnika; rzecz moją tak dalej prowadząc ku końcowi:

Znać siebie i mieć uznanie samego siebie w jestestwie swoim, mieć wewnątrz ujęcie i grunt pod sobą — owoż niezaprzeczone, niezatracone prawo w rodzie ludzkim, i najdosłójniejszy przymiot człowieka! — Lecz tój własności rozwiniętej i udoskonalonej na świat z sobą nie przynosimy. Człowiek rodzi się, nie wiedząc tego. Przez długi czas żyje w niemowlęctwie, — zamknięty, ograniczony jako *monada*, z której nic ani na zewnątrz wynijść, ani wewnątrz do niej przeniknąć nie może. Wszystkie władze, zdolności, rozumienia, *ideje* drzemają uspięone w zarodku. Ciche, bierne życie najpodobniejsze *vegetacyi*! I w rzeczy samój: zdaje się, że natura w każdym człowieku wznawia i niejako powtarza process powszechny formacyi wszystkich dzieł swoich, przebiegając, przez stopnie i schody pośrednie, tę samą drogę, od początku ku końcowi. Tryb postępowania jednaki; toż w przyrodzeniu, toż w człowieku, toż w historii. Od bezwładności do pojęcia! Od punktu, na którym jesteśmy nie wiedząc tego, do punktu, gdzie mamy *uznanie* nas samych we własnem, *oddzielonem* jestestwie. Patrzymy się na dzieci

nie nie wiedzące o sobie, kiedy jeszcze żadna podnieta zatajonéj iskry w nich nie roznieciła, i żadna *reflexya* nie wniosła rozerwania, niepokoju do ich niewinnego, błogiego jestestwa. Czyż wtenczas nie są nakształt roślin, albo drzew, których obraz w wodzie się maluje? Enigmatyczne, dziwne stworzenia! Przedmioty na około siebie w zamieszaniu, w wątpliwem postrzegają światło. Różliczne coraz nowe wrażenia płaczą się, wikłają w ich duszy. Bojaźń, nadzieja prędko, silnie zajmują dziecię; dla tego chwieje się wśród mienionych coraz kształtów, postaci, obrazów. Ułuda, omamienie, pusta wesołość, strach i smutek niecone lada fraszką, mijają, i znowu wracają w téj porze ufności, szczęścia. Takie pojęcie, takie uczucie. Dzieci ani dzielić, ani odosabniać nie umieją. Nie rozrywają tego, co na jedności zależy. Wielkie też masy w najprostszych widzą zarysach; i choć samych siebie nie pojmują, powielekroć przecie w rzeczach bardzo trudnych, zakrytych i napozór niedostępnych ich pojęciu, z podziwieniem naszym dalej przenikają, jak ludzie stare lata mający, żartkiego dowcipu, bystrego rozumu. Ścisłym związkiem niżeli my połączone z całą naturą, zostają pod ową porę w zgodzie wszystko ogarniającej wszech rzeczy; ku czemu nikt potym nie przyjdzie ani usilną chęcią, ani biegłością w nauce, ani wiadomością rzeczy przeszłych, — ani tęsknicą! — Gdy zaczynają własnej mocy doświadczać, natenczas przechodzą drugą kolę bytu; a téj odpowiednią moglibyśmy znaleźć w dziale zwierząt. Tu jeszcze rządzą się naśladowstwem; za przykładem starszych czyniąc co starsi czynią. Nie długo potym dają słabe oznaki wyższego pojęcia; następnie coraz jawniejsze, dobitniejsze. Wreszcie duch zaczyna się wyrażać na ciele. Z dziecinnych lat wyrasta młodzieniec swawolny, bujny, — potem nieukrócony, burzliwy, — namiętny i tkliwy, i pełen uniesień. Z całości się wyrывa; z powszechnéj wydziera się zgody we wszech rzeczy je-

stestwie. A potem zabrzmiał, zabrzmiał mąż jako dźwięk, jako ton szczególny, rozstrojony, fałszywy w ogólnej tonie. Jest natenczas *osobą*,*) jest szczegółem, indywidualną istotą, — samolubem, — „ja.“ — Jeden raz na życiu swoim, każdy z nas był w raju, nim wyszedł z lat dziecińczych; w przeciągu między brzaskiem, świtem, jutrzanką, — w rozdziale między wschodem i południem lat męzkich! Nim zaufał własnej sile, i zaczął oddzielnie exystować w sobie dla *siebie*! Nim zaczął być osobą. Cóż sprawuje te zmiany? Oto obwarowana, dotąd nierozdzierniona, nierozszczepiona *monada*, rozwierać się powoli zaczyna. Niepokój w duszy się szerzy; wzrasta w sercu. Młodzieniec mężniejąc wie dzie przeciwieństwo z całym światem, naturą, społecznością, z którymi dotąd w zgodzie i jedności zostawał, — i myśl się jego na zewnątrz wydziera z boleścią, jako się dziecięce zęby boleśnie z dziąseł wyrzynają. Przyszedłszy ku swój zupełnej sile, wyosobniony ze wszech rzeczy jestestwa, wszystko znajduje przeciwko sobie; bo jest *osobą*, bo jest *sobą samym*. Już nie jest w naturze, ale zewnątrz natury, z pewnego względu za jej okresem. Natura zaczyna być dla nas *przedmiotem*, czyli *rzeczą oddzielną*. Człowiek *wiedzący siebie*, myśl swoją, i wolę swoją, postrzega gdzie jest, po co? na co? i co go otacza? Pierwszy wszystkich nauk i doświadczeń początek! Teraz dopiero bada, rozumie, dzieli, łączy, mierzy, waży, obserwuje i nad wszystko się wynosi, i wszystko pod swoje podbija posłuszeństwo.... Jedna linija przez wszystkie lata życia naszego się rozciąga; z początku w ciemnych nikać punktach, jak we mgle, i w mroku, — dalej coraz jaśniejsza,

*) *Osobą!* Ten wyraz w polskim języku zawiera filozoficzne wyobrażenie. Znaczy zaś: „jakoby tylko był *sobie*, *w sobie*, a nie komu innemu;“ albo: jakoby był *osobno*, nie razem.“ Kamiński mówi: *persona* — per-se-stat.

wyraźniejsza; naostatek samą jest *jasnością*, promieniem, światłem, — wewnątrz obróconą żrenicą — widzeniem siebie okiem ducha, — „uznaniem samego siebie w oddzielnem jestestwie.“ — Otóż niedościgła zagadka naszego bytu!... Pierwszy człowiek, jak wszystko *żywiące*,*) z łona natury jeszcze *niewyłoniony* spał snem twarzym we śnie niewypowiedzianego szczęścia. Powoli zaczął się budzić z tego *snu na jawie*; i wychodzić duszą, myślą z wszech rzeczy ogółu. Nakoniec został szczegółem istotą *rozumną*, — jednostkom dumającą! Ta jest wielka jestestwa naszego tajemnica. Cóż go dotąd zaszczyca po tylu wiekach obłądnej kolei? Co w nim najpiękniejszego? Oto tęsknica na duszy i boleść na sercu, która je uciska po stracie nieskazitelnego mienia! Oto chęć wyjścia tą samą promienną myślą z ciasnego koła, z okresu *jednostki*, egoizmu, samolubstwa, — chęć rozszerzenia się, rozprzestrzenienia miłością płomienistą, wszystko obejmującą od końca do końca, we wszech rzeczy jestestwie, w nierozdzielonym całej natury porządku, — w téj harmonii, téj cudotwornej tonice całego świata!... Temi oto słowy skreśliłem początek, następstwo, treść, szyk i koniec dziejów rodu ludzkiego. Toż samo bowiem słowo w słowo ziściło się w historii wszystkich ludów, co się na każdym człowieku, przez wznowienie téj samej przyrodzonej kolei, codziennie przed naszymi iści oczyma. Jest rdza, która wszystko pożera, — nawet blask dawniejszej wielkości, i piękności natury ludzkiej. Są uroki, co niemoc zadają oczom naszym, że jak oczy sobie przeciwko słońcu nie w przeszłości nie widzą, prócz téj wypłowiałej szaty, jaką dzisiaj nosimy. Toć jednak prawda zapisana jasnemi, i bardzo czytelnemi literami w naszym sercu: *że kiedyś inaszemi byliśmy*. Bez tego nawet przypuszczenia ani pojąć nie można terażniejszości. Czas obecny *stał się* —

*) Wyrażenie biblijne. Przekład Wujka.

jest tylko *produkt*em. Historia uczy: jako się stał? Umiejętność historyczna jest *konstrukcją* czasu. Pierwsza w dziejach epoka anorganiczną przypomina naturę. Ma ten sam kształt i podobieństwo. Tam w dali niedościgłej postrzegamy kolosalne postacie, pierwszych synów ziemi, — malarskie figury, grupy patryarchalne. Wielki był człowiek w początkach. Są to niejako skały pierwiastkowej *formacji* w porządku historycznym. A dalej, następujący okres: czyż nie przypada do miary z wegetacją w naturze organicznej? Czasy poetyckiego natchnienia, zapału? Nie sen-li to rzeczywiście? Fantazja włada w tym świecie, i jako duch nad ziemią się unosi po uskromieniu burzliwych żywiołów. Stwarza, czaruje! Fantazja w historii rozpościera się i mija niby sen, albo mgła w świetle księżycy, kiedy gwiazdy rzęsisty blask sieją na ziemskie obszary. Nie jestto ani jasność słońca w południu, ani ćma nocna, — ale blask miły, który nie razi oka, i środkuje między tą i tamtą. Wszystkie tu kształty ponętne mają wejrzenie. Więcej we wszystkim poezyi i dumania, niżeli rzeczywistości, rozumu. Co atoli brać potrzeba w znaczeniu przenośnem. Dopiero w trzeciej (naszej) epoce czysty rozum rządzi światem. Czyż ta epoka nie przypada do miary z wyższym porządkiem w naturze i doskonalszą organizacją? Trzy są działy w przyrodzeniu, trzy w dziejach okresy. A porządek, następstwo niewątpliwie takie: na początku *spół-istnienie* we wszech rzeczy jestestwie i życiu wszystkich razem stworzeń. Harmonia światów Platona! Rajskie mienie, bez wiedzy, bez uznania, w tonice i powszechnej zgodzie. To pierwszy okres! Przed wywołaniem z niebieskiej ojczyzny, kiedy jak aniołowie jednym wszystko rozumieliśmy wejrzeniem, i w jednym oka mgnienu świat wszystkim przebiegali, i naukę zaraz mieliśmy od stworzenia swego, — bez syllogizmu, mędrkowania i wniosków, tych szcudeł roztargnionej potem natury wielkiego geniuszu,

w którym przedtem była i zgoda i harmonija i jedność nierozdzielna, i moc *pojmwania* wszystkiego bez czasu, i *pojęcia* samego siebie!! — Dalej: odwrót opacznej woli; odstępstwo człowieka od porządku ogólnego, — wydarcie się ze wszech rzeczy jestestwa. Czas tworzydeł fantazyi, wiary, uniesień, — smutku, melancholii. Wysoka poezya człowieka, — mrok w blasku posepnym, i łagodnem świetle xiężyca. Prawdziwa romantyczność! Człowiek jest tylko snem, cieniem w tój pięknej epoce, którój w naturze wegetacya roślin odpowiada. To wiek pośredni między boskiem *natchnieniem* pierwszego, a rozumem, albo raczój *umem* ostatniego. Ten tedy jest drugi okres! Nareszcie *jasność* południa, pojęcie samego siebie, doskonała *reflexya*. Czas egoizmu, rozumowania, filozofii; w tym czasie my żyjemy. To trzeci okres! Cel historyi taki: „*Bądźmy jako dzieci*,“ ale w *umie*, rozumie, w uznaniu siebie samych w jestestwie naszym.... Powtarzam raz jeszcze, czego dostatecznie wypowiedzieć nie mogę: — myśl, że kiedyś, w początkach świata człowiek był inny, pojętniejszy, szczęśliwszy, choć tego nie wiedział; myśl tak zwanego złotego czasu; myśl raj; myśl błogich chwil, bliższego z naturą powinowactwa, ściślejszego związku z stwórcykiem nieba i ziemi; myśl ta, — albo raczój: to jako mgła snujące się, dalekie wspomnienie, tkwi pod rozlicznemi postaciami w każdym systemie poetyckim, w każdym układzie pojęć religijnych, w każdym porządku filozoficznych wyobrażeń, ledwo nie wszystkich ludów starożytnych. Świadectwa godne uważania. To pierwszy okres. Dalej: — myśl późniejszój, nigdy niewybadanój rewolucyi w moralnej naturze człowieka, za wiadomością złego i dobrego, a zatem przez rozróżnienie jednego od drugiego, a zatem przez *wiedzę*, a zatem przez „*się*,“ jako mówi genialny spół-ziemianin nasz *Nepomucen Kamiński* tak głęboko częstokroć przenikający do szczerój istoty, a potajemnych i zakrytych

rozumień w języku polskim; myśl téj okropnej, tajemniczej, ale koniecznej rewolucyi, która zburzyła jedność w naturze, zgodę wielką w umyśle, szczęście, prawdę w porządku moralnym; która wyrwawszy człowieka ze wszech rzeczy związku nierozdzielnego, z samym sobą uczyniła sprzecznym, niezgodnym, nie teraz *niepojmującym bezpośrednio*, dla tego, że pierwój siebie *pojąć* musi, żeby pojął cobądź innego; myśl ta poważna, stara jak świat, wypełnia historiją tylu rozsianych po ziemi plemion; jest treścią, osnową ich dziejów. To drugi okres. Toć właściwie początek historyi, — co do czasu. Historya zaczyna się od *rozdwojenia*, a raczej rozstrojenia wewnątrz nas.*) Od tego punktu: kiedyśmy sami dla siebie zaczęli być przedmiotem *widzenia*. Od reflexyi. Przed *reflexyją* nie było czasu; bo czas (a zatem historya) rodzi się z następstwa myśli, przez rozumowanie. Pięknie tedy, i nie bez głębokiego w tę rzecz wejścia ktoś powiedział: „iż w tem, że rozumować i myśleć możemy, najoczywistszy dowód naszego zboczenia, upadku.“ — Naostatek: myśl, że człowiek dąży do *odzyskania* owego stanu, to jest: „żeby,“ — jako pismo mówi, — „*gołębią prostotę z węzową łączył chytrością*,“

*) *Rozstrojenia!* Dla czego? — *Kamiński* to pięknie, i z bardzo filozoficzném rozumieniem języka naszego wytlómaczył w swem nieoszacowaném piśmie (Patrz *Haliczanin* Tom I. na str. 97.) Oto są jego słowa: — „moje ciało jest ciałem; ale moje *ja* duch; *ja* się duchem widzę, a patrzę ciałem; a kiedy *pa-trzę*, wtenczas szukam przez *trzy* w czasie: przez swoje *Ja*, przez *się*, i przez *to* czém patrzę; przez moje *ciało* (zmysły).“ — „*Ja* kiedy *pa-trzę*, wtenczas szukam tego co już we mnie było, com już *wiedział*, czego miałem wid, ideę z idej, z Boga w którym *byłem*, bom z niego.“ — Wielkie w tém rozumienie *Kamińskiego*, bo jak wiadomo „uznanie samego siebie“ jest *dryadą*. Najprzód jest myśl; powtóre jest wiedza téj myśli, czyli wewnętrzne poznanie, *objawienie*, (wyjawienie się tego *ja* wewnątrz), a potrzecie *rezultat* dwóch poprzedzających: „uznanie.“

czyli innemi słowy, co na jedno wypada z tego przenośnego rozumienia: żeby *umem*, rozumem, żartkością i przenikliwością swego dowcipu, toż głębokiem a jasnym samego siebie *pojęciem*, ze wszystkimi dary i dzielnościami cywilizacyi, które z tego *pojęcia* wypływały, był tak dobry, tak niewinny, tak cichy i natchniony, jak ów pierwszy człowiek przed wywołaniem i tułactwem swoim, kiedy go Stworzyciel nieba i ziemi posadził ręką swoją w raju, — kiedy poraz pierwszy w świecie pierwszej różanej jutrzemki ujrzał spaniałe dzieła natury, i wszystkie razem dziwy na ten widok serce jego oparowały, — kiedy Bóg dziewosłębł pierwszej parze; — myśl, że tego dążenia niezatarte ślady postrzegać się dają w sprawach, klęskach, i powodzeniu wszystkiego rodu ludzkiego; myśl opatrności prowadzącej człowieka *za rękę* ku temu dalekiemu jeszcze celowi, — jest myślą największych filozofów, historyków, terażniejszego wieku. To trzeci okres. — Te trzy rozległe pojęcia: pierwotnej wielkości, odwrotu opacznej woli i *odzyskania*, czyli powstawania z dźwigania się z upadku (w ciągłym ku temu kresowi postępie rodu ludzkiego) są nicią wątkową historii, — są odmotaniem wszystkich zagadek nierozdziernionej żadnym innym przypuszczeniem plątaniny.

Ta jest teoria *uznania samego siebie w swoim jestestwie*, którą z wielu stron i pod wielką roztrząsałem względami.... Atoli nie wszyscy ludzie tę kolęj przechodzą. Niektórzy zastanowiwszy się na wpół kresu, trwają do ostatka w niemowlęctwie źle rozwikłanej myśli. Tak się i z całemi dzieje narodami. Zaiste! Nie mała to rzecz byź musi *uznanie samego siebie* w jestestwie swoim kiedy przeto jedynie człowiek staje się *reflexyą* natury reprezentantem całego przyrodzenia i wszystkich na świecie stworzeń. Ale ten tytuł zaszczytny służy tylko *myślącym*, rozumującym ludziom, w których myśli zgro-

madzone są wszystkie po całym przyrodzeniu roztrącone błyski to życia, to rozeznawań. Ci co nie myślą, albo myśląc myśli swoich nie wiedzą, co nie przyszli jeszcze ku temu rozdziałowi, iżby sami dla samych siebie byli niejako zewnętrznym przedmiotem uwagi i baczenia: ci żadnego prawa do téj wysokości chwały nie mają. Nie znając samych siebie, czyż mogą znać drugich i innym przodkować stworzeniom? Tacy w niższym mieszczą się rzędzie. Mają myśl, ale nie *swoją*; bo jój sobie nie przywłaszczyli. Mają pojęcie, ale niem nic nie pojmują. Są, *ale dla drugich*, nie dla siebie. Oni żadnego zgoła nie mają jestestwa. Nieme posągi na scenie życia! Pospolicie téż rządzą się instynktem nie rozwikłanym w jasność rozumu, cudzą radą, albo zwyczajem. Co jest złego na świecie, poszło z takich ludzi. Nieszczęśliwi.

W bystrzej, żartkowej myśli, w opatrnej radzie, w poważnym słowie maluje się godność duszy ludzkiej. Te zalety zdobią męża; niemi jaśnieje; w nich ma uznanie samego siebie w swoim jestestwie.

W rozważnym działaniu, w mądrej sprawie, w silnym wyrażeniu ducha, w śmiałym wyciągnięciu na jasną spólną myśl, maluje się godność i dostojność wielu takich mężów.

Ci wszyscy razem zebrani w całość składają jeden naród, mający jedne prawa, jedną spólną ojczyznę.

Jeden człowiek, gdy myśleć zacznie, przychodzi ku uznaniu samego siebie; tak samo i cały naród w myśli swojej też uznanie samego siebie w jestestwie swoim mieć musi.

Jak myśl jednego człowieka zamyka w sobie, że tak powiem, istotę jego istoty; tak zebranie w całość wszystkich razem myśli *reprezentuje* istotę narodu.

Ścisłe rzecz biorąc: naród, nie jestto zbiór ludzi zamieszkałych na przestrzeni, określonej pewnymi granicami. Ale raczej istotą narodu: jestto zbiór wszystkich

pojęć i uczuć odpowiadających religii, instytucjom politycznym, prawodawstwu, obyczajom; a nawet: będącym w ścisłym związku z położeniem jeograficzném, klimatem i innemi warunkami empirycznego bytu.

Że jedne narody giną i śladu po sobie nie zostawiając, a drugich pamięć przechowuje się w dziejach, z kądżeto pochodzi? — Co sprawuje tę tak ważną różnicę? Oto, że ostatnie za dni swoich przyszły ku uznaniu siebie w massie swych myśli i wyobrażeń; a jestestwo pierwszych zasadzało się jedynie na zmiennych, przemijających warunkach bytu, to jest: na pewnej liczbie indiwiduum, które mieszkając w przestrzeni określonej pewnemi granicami, nigdy samych siebie w jestestwie swoim nie uznały; *uznania* tego świadectw ani piśmiennym dostatkim, ani w dziełach sztuki potomności nie przekazały; — a tém samém żadnej *reprezentacyi* czy to w moralnym, czy umysłowym, czy estetycznym świecie mieć nie mogły. Takie zbiory indiwiduum, są nakształt cząstek materyi, zostających między sobą w słabym związku mechanicznym, który środki *mechaniczne* łatwo rozrywają i niszczą.

Niechaj naród raz tylko, i choć na czas najkrótszy: na to *uznanie samego siebie w swoim jestestwie*, a już pamięć jego nie zaginie. Wyrazi się bowiem; wyjawi, zasłynie. Będzie miał poetów, sztukmistrzów, dziejopisarzy, mowców. Uczucie to bowiem, kiedy się naród w swoim jestestwie nierozdzieloném czuje jak po tętnie,*) jest tak piękne, tak szlachetne, że się koniecznie wstytek w niem wyjawiać musi, wyrwać na jaw, wynurzyć, — swoje „ja“ na oko pokazać.

To wyrażenie ducha, to wyciągnięcie myśli spólnej na jaśnią, ta ogólna massa wszystkich razem wyobrażeń

*) Stary wyraz polski znaczy *puls*.

i pojęć, cechujących narodu istotę, „*stanowią literaturę tego narodu.*“

Do tego zmierzały poprzednie rozumowania. — Zajmując pod jeden widok to wszystko co się dotąd rzekło, wyznaję:

Że naród jedynie tylko w literaturze ma swoją *reflexę*;

Że jedynie tylko w *massie* swoich wyobrażeń i myśli ma wewnątrz ujęcie, ma grunt pod sobą, i uznanie samego siebie w *jestestwie* swoim.

Ważna prawda! — Jest więc literatura z pewnego względu jako *sumienie* narodu. Z czego wypada: że naród nie mający własnej, oryginalnej literatury, to jest, nie mający wyciągnionej na jaśnią powszechniej *massy* wszystkich swoich wyobrażeń, pojęć i myśli, jest tylko zbiorem ludzi, zamieszkałych na przestrzeni określonej pewnemi granicami, którzy jeszcze *moralnego* ogółu nie składają.... Nie dosyć na tém, że *jesteśmy*; potrzeba to jeszcze *wiedzieć*. Im lepiej to wiemy, tém bardziej rozszerzamy się, umacniamy w *jestestwie* naszym. Kto jest, — powtarzam to raz jeszcze, — a nie ma uznania samego siebie, czyli: kto tego że jest, nie wie, ten jest tak, jakby go wcale nie było. Jest, ale tylko dla *drugich*, nie dla samego siebie.... Nie dosyć na tem, że wiemy, *jak* jesteśmy *teraz*. Jeżeli tylko w *obecném* uznajemy się *jestestwie*: czyż to *uznanie* będzie kiedykolwiek doskonałe? Na co się wreszcie przyda taka wiedza? Cóż z tego, że z dnia na dzień żyjemy jako żebracy, tułacze jałmużną się utrzymujący, którzy nie wiedzą, gdzie głowę swoją skłonić mają ku wieczorowi? Śliskie myśli nasze i byt nasz śliski: pamięć nie trwała, a w utrapieniu ledwo się sama czuje. Przecież trzeba mieć *wsporę* na czémś. Wszelki lud *rodowity*, historyczny, w *historią* świata zachodzący, jest jako roślina w *patryarchalnej* osiadłości; z nasion na ojczystym

rozkwita gruncie, a potem za błogosławieństwem nieba w wysokie, cieniste drzewo wyrasta. Stoi mocno i bezpiecznie na pniu to drzewo jeśli ssie pokarm z ziemi, jako z piersi macierzyńskich. Korzeniem jego jest przeszłość historyczna. A wszystkie dzieje tego pnia rokrocznie wyrzynające się na nim pierścienie szeroko rozpowiedzą! Tam w pośrodku spostrzeżesz zdrzeń, — życie rośliny, z którego się pierwotne rozwinęły listki; naokoło w coraz szerszych kregach postrzeżesz późniejsze lata i wieki, — każdy oddzielnie, a jednak wszystkie razem najściślej z sobą związane, zrosłe, — z których każdy jeden w drugi zachodzi, jak koła ząbione zachodzą za siebie, i jedno drugie, choćby ich było i najwięcej, porusza, obraca. Wszystko to razem zewnątrzna okrywa kora, spaja w całość. Takie jest życie ludu!

„Nie obcym ja przybyszem, ani w obcej ziemi,

Łączę się z wami bracia tu mojemu.

Kość z kości ojców naszych, ród jeden składamy,

I jednym wszędzie duchem oddychamy.

Gniazdo nasze tak stare jak morze i rzeki

Którym imiona daliśmy przed wieki. I t. d. *)

Jakże ci się mylą, którzy wszystko zasadzają na tem co jest *teraz*, a co przeminęło na złe wykładając, albo jawnie sromocą, albo jeśli nie mogą, w opaczne przywodzą mniemanie! Życie historyczne wszelkiego ludu, jest, zdaniem mojem, nie co innego tylko ciągły, nigdy nie przerwany proces *uobecniania* się samemu sobie, od początku, od kolebki, przez wszystkie pośrednie czasy. Jestto pojmowanie, czucie samego siebie w całym przestworze rodowitego bytu. Poczujmy się we wszystkich czasach swoich, żebyśmy mieli wszystkie ko-

*) Lech Woronicza xięga druga.

lejne wieki naszego bytu w każdym momencie przytomne, tak, żeby za każdym uderzeniem pulsu, i w każdym nieledwo tchnieniu naszego życia, wywijało się z zapadłej niepamięci minione, zatracone narodu jestestwo. Tym tylko sposobem doskonale pojąć się zdołamy. Taki tylko naród jest nakształt drzewa poświęconego, które wiekami zielenieje, i bezprzestannie kwitnie; — w burzy, w pogodzie, bez przerwy. Na to wychodzi „rozumienie samego siebie w przeszłości i terażniejszości.“ Od zawiązków, od ziarna nasiennego do korony rozłożystej cienistego klonu, jaworu, albo modrzewia!

Gałązka odcięta od szczepu, którą wiatr daleko unosi na pustynię, gdzie uschnąć musi, — albo którą prędki strumień czasu pociągnie na głębią, w toń zatacania: to naród dawnych czasów w swojej nie mający pamięci! Prawda, powinnością jest każdego czasu stworzyć coś swego, coś sobie tylko właściwego. Ale także i to wątpliwości żadnej nie podpada, że ten czas jest przeszłych czasów utworem. Nie wszystko upada od niemocy, nie wszystko ginie starością. Wieki przeszłe mają swoich dziwowidzów, mają swoich chwalców terażniejsze. Jak jedni tak drudzy bardzo potrzebni ludzie. Reprezentują całość z wielu części złożoną. Wszystko co było, co jest, niechaj się odbije w literaturze, tem ruchomym zwierciadle dawniejszych i dzisiejszych pojęć; żebyśmy samych siebie w drugiej ujrzeni postaci. Biada ludowi, gdy choć na moment wyjdzie z tego rozumienia samego siebie! Jeżeli nie jest ustawicznie w tém jasném widzeniu! Jeżeli literatura jego pokazuje jakąś omylną, obcą postać w szacie łatanej z różnych kawałków, niejednego postawu.

Od pozorniej *reflexyi* w krainie złudzenia i omamień, w fantastycznych przeobrażeniach, w roznoszeniu się jestestw na dwoje, i ukazywaniu omylnych kształtów rzeczy to na wodzie, to w cieniach, to w obłokach, to w sen-

nych postaciach, — od tego cudownego misterstwa w przyrodzeniu, przyszedłem do *reflexyi* rzeczywistej i jasnej, którą Bóg stworzył dla natury w myśli człowieka. Tę myśl uważałem jako istotę promienistą, i jako strojny akord, wyrażający harmonię świata. W tej myśli szukałem związku człowieka z przyrodzeniem. W tej nakoniec myśli rozwikłanej, wyciągnionej na jasnią i odbitej w literaturze znalazłem ogólną *reflexyą* dla ludzi zostających w związku społecznym.

Summa całego wykładu jest to: że przez literaturę potrzeba rozumieć *systema tych nauk, tych umiejętności, tych wszystkich razem tworów ludzkiego umysłu; a raczej systema tych działań i poruszeń myśli które mają najbliższy i bezpośredni związek z cywilizacją i duchem narodu.*

A zaś przez cywilizacją rozumieć należy: *moc, dzielność i stateczne, bezprzestanne objawianie się i wyrażanie tego ducha we wszystkich nawzajem umiejętnościach, we wszystkich tworach ludzkiego umysłu; krótko mówiąc: w powszechnym systemie działań i poruszeń myśli całego narodu.*

Znaczenie przestronne i wiele ogarniające. — Tę miarę wzięwszy do ręki, i pod tym tylko względem uważać będę naszą ojczystą, polską literaturę.

Jaki jest stan terazniejszy tej literatury? Co ma w sobie właściwego, pierwotnego, prawdziwie polskiego? Czém się różni od innych postronnych? — Jeżeli napomnienia, widoki urywkowe, myśli ogólne tę rzecz rozjaśnić zdołają, położę w to staranie moje; — zawsze jednak z ostrzeżeniem czytelnika: *in magnis voluisse sat est.* Niechaj raczej uważa to pisemko moje jako zarys, plan obszerniejszego dzieła, a nie za same dzieło.

Z poprzednich uwag wynika, że nazwisko *pięknej literatury* i tytuł honorowy a wielce wygodny *belletrysty*,

który u nas jeszcze gdzieś popłaca, w mniemaniu autora tego pisma żadnego znaczenia mieć nie może. Bo któż jest *belletrysta*? — Nie jest nim uczony z powołania; nie jest poeta z natchnienia; nie jest sztukmistrz, ani badacz dziejów, — ani wreszcie filozof. Jakiż jego zawód, jakie zatrudnienie? Znać się na wszystkim, a nie gruntownie nie umieć? Kochać język ojczysty, nauki i sławę, a nawet nie mówić po polsku, (jak najczęściej czynią *amatorowie*, *dyletanci*), a nie przykładać starań, żeby im się dobrze działo, żeby się w kraju rozszerzały i kwitły? — Osobliwie w Polsce, cóż nad to godniejszego politowania? Toć prawdziwie literackie *nic*, pozór tylko na osłonę niedbalstwa, czy obojętności w rzeczach wielkiej wagi, z dobrem powszechném nierozdzielnie złączonych. Od utworzenia się filozoficznej estetyki ustała tak zwana *piękna literatura*; wiersze nie są poezją; na rymach teraz sztuka nie zależy: niemasz przeto i *belletrystów*. Jest tylko jedna literatura, nosząca na sobie obraz i podobieństwo moralnej istoty narodu. Są, powinni być jedni ludzie, myślący, pracowici, którychby chęci energiczne, i wytrwałość w przedsięwzięciach tę literaturę wspomagały, zbogacały. Jedna ziemia, jedno powietrze, jeden duch! Przeto życzyłyby należało, aby ustał ów płonny tytuł. Policzmy go do zwietrzałych zaszczytów; jak kładziemy i przechowujemy w osobnych komnatach, często tylko dla osobliwości, dawniej czci oznaki, jakimi się niegdyś dworscy ludzie w wysokie o sobie podnosili rozumienie, — albo ostatki staroświeckich ubiorów, któremi się przed wiekiem, niepokaźna a chępliwa uroda oczom świata wysługiwała. *Et haec et talia*. — Niwa nauk ojczystych rozległa, bujna, nieprzejrzana okiem; tu każde ziarnko stokrotny owoc wyda; a robotnik rzadki, a ci co szczerze, co ochotnie pracują możeby się i dzielić nie chcieli zarobkiem z trzpiotami, dworakami literatury gotowalnianej, niewieściej, którzy, — kiedy myślić

i *działać* potrzeba, szukają rozrywki w marnym dyletantyzmie.

Wreszcie: z samej potrzeby daleką przestrzeń olbrzymim niemal krokiem przebieść powinniśmy. Polska w dziewictwie jest jeszcze, tak zdaje się, dla literatów sławy, toż ze względu dostatków literatury, którą spólnymi chęciami pomnażać należy. Tu najpiękniejsze, dotąd nieuszczknione wieniec rosną. O cały wiek ubiegli nas postronni w sztuce, umiejętności, we wszystkich działach poznawań ludzkich. Niezmierne pole myśli otwiera się przed nami, którego ani ulotny dowcip, ani dyletantyzm nie ogarnie. Ileż rzeczy stało się w świecie duchów, o czym z cudzej ledwieśmy wieści słyszeli? — Wszystko to przekonywa, że nam trzeba teraz poważnych rozmyślaczów, a nie *belletrystów*, pracowitych pisarzy, a nie motylego owadu, co z kwiatu na kwiat przelatując z samych zawiązków ssie słodycz.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Zastosowanie do rzeczy polskich teorii „uznania.“ — Co jest umiejętność? — Zasada dynamiczna literatury. — Ruch; gra przeciwnościw. — Piśmienne sektarstwo w Polsce.

Co zwiemy oświatą, cywilizacją, kulturą naukową i estetyczną, zwierzchna jest szata ducha narodu. Czemuż na niej tak różne barwy postrzegamy w tym lub owym czasie, inne na wschodzie, inne na północy, na zachodzie i ku południowi? Rzecz naturalna, ponieważ każdy lud, osobliwie w starych wiekach, inną miał imaginacją, i inne natchnienie poetyckie, inną nawet pamięć przeszłych czasów, inny rozum w filozofii, nakoniec inną *metodę*, czyli tryb postępowania w doskonaleniu nauk, i umiejętności. — Powielekroć zdarza się: że wykształcenie téj lub owéj władzy ze szkodą, i zaniedbaniem innych usposobień; że rozwinięcie jednéj tylko siły umysłu publicznego, i rozniesienie się jéj podług jednego kierunku, w różno-kolejnym to wzroście, to zacieraniu się oświaty, nadaje teźże charakter wyłączny, jedno-tonny. Sławny fantazmagoryk *Jan Paweł* powiada: „wszelki duch z korynckiego kruszczu ulany, z *ruin* się składa.“ W rzeczy saméj tylko *ruiną* jesteśmy! Inaczéj nie mogą pojąć człowieka, i jego dziejów. Pierwotne, nigdy dostatecznie nie zgłębione, umysł ludzki podzieliło rozerwa-

nie. Roztrzęsło go tak, że teraz żadną miarą, żadną usilnością, do zgody i jedności z samym sobą, w sobie, przyjść nie może. We własném sercu mamy ucisk i wielką burzę; w duszy nosimy rozstrojenie. Czyż się tego skutki nie wyraziły w cywilizacji wszystkich ludów? Zważmy tylko: tu panuje *um* i inne władze potłumia, ukraça; *um* systematyczny, porządnny, loiczny, wojuje zwycięzko dyalektyką cienkich myśli, dyalektyką subtelnych pojęć, wszystko na polemicznych zasadzając rozterkach. Nauka mędrca chińskiego nosi na sobie tę cechę jasnością swoją wszystko opromieniającego *umu*. To tkwiło w układzie pojęć religijnych, i ścienyficznycnch owego narodu, wedle charakterystyki i podań Remiuzata, Kolebroka, Jonesa. A gdzieindziej jaka odmiana! Nie *um*, ani podrzędny, z *umu* wynikający *rozum*, lecz *imaginacya* przybiera w właściwe stroje wszelkie kształty, na jaśnią wywołane z pamięci. Owdzie znowu nad tę zwierciadlaną wywyższa się wyobraźnię daleko silniejsza władza, — twórcza, gwiazdzista, niepodzielna *fantazyja*, i w całym systemie cywilizacji moc swoją szeroko rozpościera. To w kolosalnej wyraża się architekturze, to w wysłowieniu postaciowém figurycznym, to olbrzymie stawia pomniki, i olbrzymi zapał nieci w sercu poetów; maluje się w religii, stwarza teozofię, mistycyzm. Tak było w indyjskiej krainie nad brzegami Indu i Gangesu. Co atoli rozumieć trzeba w tém tylko znaczeniu, że jedna władza z większą mocą, niżeli inne się rozwinęła; gdyż ani przypuścić nie godzi się, żeby na którejkolwiek z nich całkiem zbywało temu lub owemu narodowi, bądź w starożytności, bądź w wieku pośrednim, bądź w nowszych czasach. Pod ten widok podciągnąćby można, i z tego względu uważać systema każdej niemal cywilizacji; wszędzie bowiem do pewnego *maximum* wykształcił się jeden z pierwiastków naszego umysłu, i ten lub inny rozpostarł *element* roz-targnionej natury człowieka.

Położywszy za zasadę, że istota narodu pod wszystkimi wyraża się względami w porządku jego działań tworów umysłowych, zatknąłem sobie kres, do którego zmierzać powinienem.

Skoro przypuścimy, że jest umysł ogólny w Polsce, tém samém więc jego przyrodzone własności, i tak mocna, jako i słabsza strona, usposobienie, bogactwa i niedostatki, dzielność i przywary ukazać się muszą w polskiej literaturze, czyli w powszechnym systemie wszystkich naszych pojęć i wyobrażeń.

Umysł ogólny narodu te same władze i usposobienia mieć musi, jakie ma umysł każdego pojedynczego człowieka; ponieważ w całości to tylko bydź może, co się znajduje w składających ją częściach. — Jakaż władza, jakie usposobienie najwyraźniej objawiło się w literaturze i cywilizacyi polskiego narodu?

Założeniem mojem jest: roztrzygnąć to zagadnienie.

Podług teoryi rozwiniętej w poprzedzającym rozdziale, rzetelne rozumienie wszystkich części literatury, samo przez się podaje się tu myślącemu czytelnikowi. Bez naciągania i przymusu ustanawia się także stosunek nauk i umiejętności, nie tylko między niemi, ale i względem narodu. Szerokich na to wywodów nie potrzeba. Wiedzieć, że jesteśmy, i téj wiedzy nieomyłne świadectwo jakimkolwiek sposobem, na piśmie, na kamieniu, na płótnie, tonem, farbą, dźwiękiem, *słowem*, przez *um* i rozum, fantazyę, imaginacyę, i wolę wyrazić, na oko pokazać, — toć jest prawdziwie co nazwałem po staropolsku „*uznaniem samego siebie w swoim jestestwie*.“ Ta zasada życia, ta przyczyna bytu jest zasadą całej literatury, zasadą i przyczyną tego wszystkiego co się dzieje w literaturze; jest miarą wartości wszelkich utworów dowcipu. Sztuka i umiejętność są owocem życia, i nawzajem rodzą życia owoce. Żadnego niemasz martwego misterstwa; niemasz żadnej martwej umiejętności.

Wszystko się w duchu wszeczyna, dzieje mocą ducha, i do ducha zmierza. Uważajmy ogół literatury ze stanowiska téj teoryi „uznania.“

Zacząć potrzeba od historii. — Podług tego co się wyżej rzekło, historia polska nie co innego byź może, tylko nauką służącą narodowej pamięci. Pamięć jest niezmiernie ważna władza umysłu ludzkiego. Wyobrazićby ją sobie można jako nić wiążącą nie tylko szczególne pojęcia, ale całe szeregi rozumowań, i wszystkie imaginacyi obrazy. Nić przypomnienia i związku, żarzący się świecznik w głowie naszéj! Wiele rzeczy zapominamy w nieprzebraném mnóstwie myśli, w rwistym toku wyobrażeń; ale skoro owa nić wewnętrznego przypomnienia, nić wewnętrznego związku rozerwie się na dwoje, tak że tego co było przypomnieć sobie nie możemy, skoro ów wewnętrzny świecznik rozumu nie ściemnieje, ale całkiem zgaśnie: natenczas sam rozum dostaje zawrotu i jest nakształt okrętu bez żeglarza wśród burzy. Działanie jego wątleje; nareszcie niemoc z ochronieniem przywodzą go ku obłąkaniu. Człowiek taki jest jako obłąkany; mówi od rzeczy; wszystko bierze i czyni opacznie; cudzego potrzebuje dozoru, żeby sam na swoją szkodę nie zarabiał. Wszystko na nim wytarguje kto chce, i co chce sprawi; a liczne kłopoty władną jego niestatkami. Tak bywa i z narodem. W umyśle jego jest także pamięć, którą stracić może. Może zgubić nić przypomnienia i przyjść ku *obłąkaniu*. W umyśle narodu może także ściemnieć i zgasnąć wewnętrzny świecznik. Cóż się wówczas dzieje? Oto cienie przeszłości tułają się bez czci i pożałowania. Nikt nawet nie wie gdzie są groby wielkich ludzi; a wiara, cnota i nadzieja odlatują w inne czasy. Piękność, sztuka i poezya nie mają żadnego powabu. Umiejętność służy tylko wygodzie i potrzebom, a nie istnéj prawdzie. Literatura stroi się kradzionemi wdziękami, i cudzą wzbogaca, a raczéj ubożeje iścizną.

Jednym słowem: w takim umyśle jest obłąkanie. Biada ludziom którzy ku téj przychodzą niepamięci! Straciwszy z przed oczu obraz przeszłych czasów, zarówno i tego niepoprzestają co się koło nich dzieje. Samych siebie nie znają; są tylko przedmiotem rozumienia i znawstwa dla drugih.

Pisarze dziejów krajowych wspierają, mocują tę władzę, za której osłabieniem lub ustaniem umysł publiczny mógłby przyjść ku obłąkaniu. Przełożyć przed oczy narodu powieść zawierającą wszystkie jego dzieje, nie jestże to ocucić jego pamięć, żeby się we własnym minioném jestestwie poczuł i zrozumiał? Historia liczy wszystkie odetchnienia, i ledwo nie z każdego uderzenia puls w życiu narodu zdaje sprawę potomnym czasom. Nauka ta poważna, dostojna wzbudzając i zasilając nigdy nie wygasłe uczucie przeszłego bytu, dalej jeszcze takowe rozszerza w narodzie. Historją piszą społeczeńi z podań, z wieści, i powiastek; z tego na co sami własnemi oczyma patrzeli. Każdy wiek miał swoich kronikarzy, swoich latopisców, którzy to wszystko co się za ich dni działo, czy w powodném czy przeciwném szczęściu, przekazywali bądź pismem, bądź także tylko ustnym podaniem. Z tych przekazów tworzą się następnie historyczne materyały; a z nich, za staraniem późniejszych zbieraczy, krytyków i pisarzy umiejętnych, ogólna powstaje dziejów ojczystych osnowa. Spółczesna historia każdego wieku świadczy: jako się naród w obecném jestestwie swoim rozumiał, jak uważał i pojmował to jestestwo? Wszystkie zaś dzieje od najdawniejszych czasów do dnia dzisiejszego, są, a raczej powinny być zebraniem w treść *jedną* szykownie, umiejętnie, porządnie rozwiniętą tych cząstkowych świadectw, tych ułamkowych, przemijających *uznawań*. Ztąd jak z wątku potrzeba wyciągnąć nić historycznej powieści, zawierającej *summę* wszystkich minionych momentów życia. Zacho-

dzi więc pytanie: czy mamy w literaturze polskiej takie dzieło ojczystej poświęcone pamięci? Taką powieść od najdawniejszych czasów do dni naszych? Powieść jednej treści, tchnącą jednym duchem, ułożoną i skreśloną przez *jednego* pisarza? Albo, co na jedno wychodzi: czy pojęliśmy wszystkie minionie narodowe jestestwa chwile? I czy się teraz w tém minionem jestestwie uznajemy? Jakaż jest pamięć nasza?*) — Nauki, jak z wszelką historią, tak i polską związek mające, n. p. geografia, statystyka, numizmatyka, chronologia i t. d. przyczyniają się ku wyjaśnieniu ojczystych dziejów, a tém samém ułatwiają dostateczniejsze rozwikłanie owego pojęcia i rozumienia siebie w przeszłości, takowe w publicznym mocując umyśle. Pod tym tylko względem zasługują na uwagę. Jakiż jest stan tych wiadomości w polskiej literaturze?

Naród polski po wszystkie czasy swego związku społecznego zachodził w historią Europy; przeto powinien znać swoje zewnętrzne stosunki i rozumieć siebie w spólném jestestwie z ościennymi, postronnymi, dalekimi ludami. Przełożyć przed oczy ziomków powieść, zamykającą dzieła i sprawy wszystkich ludów, z którymi

*) Proszę czytelnika, żeby tego opacznie nie rozumiał. Możeby się komu zdawało (według tego co namieniłem: „*że historia służy pamięci narodu*“ —) jakoby historyk prócz pamięci niczego więcej nie potrzebował, ani rozumu ani imaginacyi, ani fantazyi. U nas nie trudno o takie wnioski, — osobliwie w dziennikach naszych. Równie mógłby mnie kto z tego posądzić, że pocie odmawiam innych usposobień prócz samej fantazyi i imaginacyi. To zdanie byłoby omyłne. Jak poeta tak historyk cały głowę i dobrze we wszystko opatrzoną mieć powinien. Ale tu chodzi o główną zasadę, o szczególniejsze rozwinięcie tego lub owego *elementu*. A tą zasadą w poezyi i sztuce jest imaginacya i fantazyja; w historyi zaś *pamięć*, lecz z tego tylko względu, z jakiego uważałem tę władzę, to jest: w umyśle ogólnym narodu jako nić wiążącą wszystkie pojęcia i czasy przeszłe z teraźniejszymi.

zostawali w związkach pośrednich, bezpośrednich, bli-
 skich, dalekich i najdalszych, nie jestże to rozszerzyć
 ich *uznanie we własnym tak minionym jako i obecnym
 jestestwie?* Ziemiokrag tém się ogarnia rozszerzeniem.
 Historya powszechna rozgałęzienie jest szczególniej; jest
 to wielkie koło mniejszego koła, a obadwa za siebie
 zachodzą. — Toż samo o jednym rozumiemy człowieka,
 co ze względu całego narodu. Kto nie jest obywatelem
 kraju, czyli innemi słowy: kto będąc *osobą, jednostką*
 nie pojmuje *się* zarazem w pospolitej rzeczy, w związku
 społecznym, tego uznanie we własnym jestestwie ani
 godziwe, ani doskonałe byź nie może. Prawdziwe oby-
 watełstwo nie co innego jest, tylko rozszerzenie osoby,
 rozprzestrzenienie indywidualnej jednostki. Tak samo
 naród cały, we własnej tylko i nierozdzielnej uznający
 się *ewystencyi*, byłby jako obwarowana i ze wszech stron
 zamknięta *monada*, która samę siebie jeszcze nie poj-
 muje i nierozumie. Żeby *się* dobrze pojąć, potrzeba znać
 drugich, a z nimi zostawać w ciągłych stosunkach.
 Wtenczas tylko, *kiedy jedno stawia się przeciwko dru-
 giemu*, i to i tamte pojmuje siebie. — („*Ja*“ stawia się
 przeciwko „*nie-Ja*.“) — Historya powszechna jest roz-
 szerzenie narodowej jednostki, ojczystego „*ja*“ za obręb
 przestrzeni, pewnymi granicami określonej. — Tak poj-
 muję powszechne dzieje rodu ludzkiego. Rozwinę to
 pojęcie. — Poważanie starodawnych obyczajów; pamięć
 tkliwa i czuła na zasługi przodków; wdzięczność za do-
 bro przekazane nieskazitelną cnót i przewag sławnych
 puścizną; toż wzniosły duch rodzinny w rodzinnej osia-
 dłości; a przedewszystkiem duch braterskiej zgody, którym
 się statecznie dobrane utrzymywały związki; duch spół-
 ny, mocny, niezłomny, żadną nieprzewyciężony prze-
 szkodą, który sprawował, że każdy członek to bra-
 ctwa, to zgromadzenia, nieraz z wspaniałomyślnym po-
 święceniem własnej korzyści służył pospolitej rzeczy.

téj potrzebie we wszelkim przypadku rad dogadzał z całą duszą swoją i z całego serca, dzieląc zarówno szczęście i niedolę, równym znosząc umysłem smutek i poaciechę, zarobek, i stratę: otóż treść we wszelkim narodzie, otartym z dzikości i barbarzyństwa, wywijających się z składu społecznego dziejów ojczystych i wspomnień. W tém uczuciu zawarta historia krajowa. Ale my większego jeszcze potrzebujemy zakresu; rozprzestrzenić się musimy w człowieczeństwie. Powinniśmy przyjść do *uznania siebie* w ogólném jestestwie rodu ludzkiego. Gdzie to wyobrażenie nie jest rozwinięte (tak iżby każdy z nas, w wysokim rozumieniu chrześcijaństwa, poczytywał, uznawał siebie za członka jednej rodziny świata), tam ludzie zostają w pewnych tylko massach, granicach, stanach. A najpierw człowiek jest w domu; jest patriarchą swéj rodziny. Potém jest w cechu, w bractwie, w stronnictwie, pod którego chorągwią żołąd wiedzie, którego znaki i godła nosi na sobie. Coraz rozszerza się jego zakres. Dalej jest w stanie, w klassie, osobne mającej prerogatywy, przywileje; dalej jest jeszcze synem ojczyzny; a w końcu stać się musi całego świata obywatelem. Ten postępek konieczny i nieodzowny. Tego postępek świadectwem i nauką: historia powszechna rodu ludzkiego. — Czy mamy w polskiej literaturze taką naukę? Dzieło poświęcone tak ważnemu przedmiotowi? — Lecz tego co się rzekło o historyi powszechnéj, niechaj nikt opacnym wykładem nie naciąga na to rozumienie: jakoby najwysze dobro cywilizacyi zasadał na zatarcu wszelkich śladów różnicy między narodami, i niejako ostateczny kres oświaty ustanawiał w potłumieniu miłości ojczyzny i t. d. Dalekie jest odemnie to mylne mniemanie; prawdziwa bowiem cywilizacya, jak sądzę, rozszerza *indywidualność* każdego narodu, ale jéj nie zacierza i nie podkopuje; zbliża ludy ku sobie, ale ich na jedno-gniezdne nie zbija plemię; osłabia uprzedzenia trzymające narody w roz-

dziale nienawiści, szkodliwej wzajemnemu ich pożytkowi, ale każdemu pozwala zostawać i rozpleniać się w pewnej mierze, opisaną właściwością obyczaju, ducha i innych okoliczności. Tylko fałszywa cywilizacja, tylko poniżający godność człowieka mechanizm pojęć, i mechanizm myślenia, o którym we wstępie wspomniałem, zaciera pierwotne cechy znamionujące istotę narodu w rodzinnej osiadłości. Można być dobrym ojcem własnej rodziny, i pożytecznym człowiekiem pewnego stanu, można być dobrym obywatelem kraju; lecz zarazem te wszystkie uczucia i względy można, a nawet trzeba połączyć z wyobrażeniem i uczuciem godności rodu ludzkiego, z t \acute{e} m nareszcie przekonaniem, że wszyscy ludzie bracia s \acute{a} nasi, a ziemia dana nam wszystkim w osiadłość, abyśmy jedn \acute{a} wielk \acute{a} skł \acute{a} dali rodzinę. — Rozszerzenie ojczyzstego, rodowitego „*ja*,“ rozumienie się w jestestwie drugich, ogarnienie wszystkiego rodu ludzkiego we wszystkich czasach t \acute{a} ognist \acute{a} miłosci \acute{a} , kt \acute{o} ra z nieba na ziemię zst \acute{a} piła, — ten kres ostateczny chrześcijańskiej kultury, ten, nie inny przedmiot historii powszechn \acute{e} j. — Szczeg \acute{o} lna historia jednego nar \acute{o} du wtenczas dopiero *staje się* umiej \acute{e} tności \acute{a} , kiedy ją rozwiniemy w powszechn \acute{e} j osnowie dziej \acute{o} w rodu ludzkiego. (Ojczyzst \acute{e} *ja* stawić nale \acute{z} y przeciw innym narodom; dopiero wtenczas dobrze pojęte b \acute{e} dzie).

P \acute{o} ty o historii. — Z t \acute{e} j sam \acute{e} j zasady łatwo wywieść pocz \acute{a} tek i osnowę, rzecz i kszt \acute{a} łt ka $\acute{z$ d \acute{e} j inn \acute{e} j umiej \acute{e} tności. Wszystkie z jednego źr \acute{o} dła, jak promienie ze śr \acute{o} dka ogniska wynikają. Wiedzieć, że jeste \acute{s} my, jest to niemal wszystko umieć; w t \acute{e} m treść wszystkiego. Kto zna myśl swoj \acute{e} , zna to wszystko, co myśl \acute{a} myśleć, i ogarn \acute{a} ć zdoła. Umiej \acute{e} tność rozwija uczucie naszego bytu; co się tak $\acute{z$ e do narodu ści \acute{a} ga. Kiedy przychodzimy do uznania samych siebie, wtenczas zaczynamy się rozszerzać w nasz \acute{e} m jestestwie, i nie jako samych siebie

pomnażać. Nasze *ja*, że tak powiem, rozpromienia się, — rozprasza, — niknie. — Jest jakieś drzewo, wspomniane przez jednego z pisarzy kościelnych, *) które wtenczas zielenieje, kiedy je okrzesają; drzewo to idzie w zapasy z żelazem, śmiercią żyje, krzewi się wycięciem, *gdy go już niemasz, wtenczas rośnie*.

Umiejętność, jeśli w to pilnięj wejrzymy, nie co innego jest, tylko ten postęp od naszej indywidualnej jednostki, od *ja* od wszech rzeczy jestestwa. Tym sposobem przez *pojęcie*, czyli przez „*jęcie umem w umie*“ (umiejętnością) to odzyskujemy, cośmy stracili przez pierwotne wyosobienie, wydzielenie się z wszech rzeczy związku. Rozjaśnię tę myśl. Kiedy człowiek rzekł do samego siebie „*ja*,“ natenczas z łona się natury, z *idei* wszystko ogarniającej wyłonił; wtenczas natura *stała się* dla niego przedmiotem. Odtąd przestał być *w niej*, w jej łonie, a zaczął być za jej okresem; bo ją mógł uważać i na nią patrzeć. Tym kształtem wszystkie się zmieniły stosunki człowieka z przyrodzeniem. Pierwój był w naturze; teraz ją umiejętnością rozumie. Pierwój był w związku i porządku ogólnym; teraz tylko ten związek i porządek *pojmuje*. Owe niegdyś ściśle, mocne powinowactwo z przyrodzeniem, (takie same, jakie spaja płód jeszcze nierozwikłany w łonie macierzyńskim z życiem rodzicielki) odzyskaliśmy *poczęści* przez *pojęcie*, *objęcie*, aktem woli i *umu*. Odbiegłszy od natury, teraz się ku niej zbliżamy po szczeblach *reflexyi* i poznawań. Zbliżać się tym sposobem do natury, nie jestże to ją *pojmovać*, *umieć*, czyli przez *um* wyrozumieć?

Taki początek i ten kres *umiejętności* przyrodzenia. Wiele na zgłębieniu téj myśli zależy.

Nauki naturalne w tém tylko oświecić nas mogą: jaki związek zachodzi między nami, a rzeczami pod

*) Gregorius Naziazen Orat. 27

zmysły nasze podpadającemi? Czyli innemi słowy: „między tém co jest, i tego że jest nie wie“ — a „tém co jest i to wie“ — Między naturą zewnętrzną i człowiekiem.

Powiedziałem: że sami dla siebie *stajemy się* przedmiotem; a zatém nie odrazu przychodzimy do tego punktu, ale po woli, z czasem w czasie. W miarę tego, jak sami dla siebie *stajemy się* przedmiotem, *staje się* także przedmiotem dla nas zewnętrzna, widoma natura *Staje się!!* To dzielne, mocne, rzecz najdokładniej malujące, i opisujące wyrażenie naszej filozoficznej polszczyzny, zawiera *metodę* i tryb *postępowania* w umiejętności przyrodzenia. Ponieważ sami dla siebie *stajemy się* przedmiotem wewnętrznej wiedzy, zatém to nasze *ja* musi być *skutkiem* poprzednich wewnętrznych działań. Jest *produktem*, wypadkiem, rezultatem ruchu... Pierwój trzeba poznać siebie, dopiero potem naturę poznać można.

Jak siebie samych od razu nie poznajemy, tak i tego co się zewnątrz nas dzieje, od razu poznać nie możemy; tém bardziej, że to co się zewnątrz nas dzieje w ustawnym jest ruchu, że z przyczyn bezprzestannie rodzą się skutki, a każdy skutek następnego skutku jest przyczyną i t. d.

Natura działa bezprzestannie; wszystko co zewnątrz nas postrzegamy *dzieje się*, *staje się*, albo *stało się*, czyli przyszło do skutku przez działanie. Każde jawisko w przyrodzeniu, każde *faktum* jest summą poprzednich *operacyi*. A tak, ponieważ rzecz, osnowa, przedmiot umiejętności przyrodzenia *jest w ruchu*, ponieważ natura jest w ruchu (*naturans*), cóż z tego wynika? Oto: że i środek pojmowania, zbliżania się do natury, także *ruchomy* być powinien. Tym środkiem jest umiejętność. A zatém *umiejętność natury ma być ruchoma*.

Wszystko *staje* się, wszystko się w prawej rozwija umiejętności. Ruch jest jój cechą. Na tém zależy metoda nauki. *Rzeczy zewnętrzne dla nas nie existują*; nic o nich nie wiemy, póki się o tém, że są, nie przekonamy. O *existencyi* przmiotów zewnętrznych przekonujemy się tylko umiejętnością, czyli *przez jęcie umem w umie*, czyli przez rozumowanie. Rozumowania te odkrywają nam byt rzeczy, pod zmysły nasze podpadających. Myślą sporządzamy sobie świat zewnętrzny. Rozumując budujemy gmach przyrodzenia, i wszystkie ukazujące się w tym gmachu jawiska. Prawdziwy naturalista, to, co widzi przed sobą, nie bierze, nie uważa tak jako *jest*, ale jako *się stało*; prawdziwy filozof, badacz przyrodzenia jest architektem natury! Z jego umiejętnością zarazem powstaje przedmiot umiejętności. Rzecz wewnętrzna, osnowa *rodzi się* razem z formą nauki. To jest: rodzi się w jego myśli: w poznawaniu, w uznawaniu się jego w naturze. Niemasz dla niego ani *materyi*, ani światła, ani elektryczności, ani magnetyzmu. Niemasz dla niego żadnego kształtu, żadnej postaci. Do tego wszystkiego przychodzi przez naukę, przez dyalektykę; przez ciąg stopniowy twierdzeń i nieprzerwane następstwo myśli. Dla takiego badacza przyrodzenia natura nie jest *naturata*, czyli objawiona, ale objawiająca się, jawiąca — *naturans*.

Wszystko się w prawdziwej *staje* umiejętności! Tę prawdę miejmy zawsze we względzie. Los nauk przyrodzonych na tém zależy. Umiejętność, gdzie się wszystko *staje*, wychodzi z najpierwszych początków; zaczyna od punktu *genetycznego*. Badacz przyrodzenia poświęcający się takiój umiejętności, staje myślą w pierwotnej epoce natury, i następne jój wieki historycznym *przebiega porządkiem*... Pismo przyrównywa umiejętność, wiedzę,

wiadomość*) do drzewa. Wielkie w tém rozumieniu!! Jako i w inném porównaniu z ziarnem gorczycznym, które, wedle wyrazów *Pana* tak wielką łożę puszcza, że się i ptacy na nią chowają. Rzeczywiście, w rozwijaniu się ziarna, w kiełkowaniu nasion, w pędzie drzewa, strzelającego i wysokość do błękitu, jest coś, co *genetyczną*, rodzajową własność prawdziwej wyobraża umiejętności. Jój duch ten sam, ta sama rzecz, ten tryb postępowania. Takim samym rozrasta się kształtem drzewo wiadomości człowieka, tém bardziej narodu, jakby z pnia, który swe korzenie głęboko i szeroko rozpostarł w wiedzy wewnątrz obróconej jestestwa byt, i istotę swoją uznawającego. Rozrasta się, dzieli, rozplata na coraz liczniejsze, na tysiączne konary, gałęzie, których korona buja wysoko w powietrzu, a kwiat i liście pięściwem wiosny rozzielenione tchnieniem, i zarannej rosy kropłami, i balsamiczną wonią, wszystek ziemiokrąg od końca do końca świata ocieniają. Człowiek rozkazuje naturze umiejętność, ale naturze żywej, ruchomej, ale żywą, ruchomą umiejętnością!! Tak jest! Nie masz martwej nauki. Każda jest, każda powinna być owocem drzewa wiadomości, drzewa życia. Wszystko się rozplata i splata w naturze, wszystko rozwija i porusza. We własnym uznając się jestestwie, uznajemy się także we wszech rzeczy jestestwie i w tém się coraz bardziej rozszerzamy, -- rozpraszamy, — nikniemy. Jednostka nasza w ogóle niknie, i nawzajem ogół w sobie mieści. Albowiem w myśli naszej cała się odbija natura; ta myśl służy jój jako

*) Czyli „w-ja-domość;“ a zatem co się we mnie, w *ja*, w moim *ja* stało. To jedno słowo zawiera *genesis* umiejętnego trybu postępowania. Dziękujemy Niebu za taki język! A miejmy we czci i poważaniu naszego spółzemiaanina Kamińskiego, który szeroką otworzył drogę wyszukiwań pod względem filozoficzności mowy polskiej.

głos słowu, i jest jój *pojęciem*; jest częścią przyrodzenia, jest duchem świata. Z téj przyczyny myśl ludzką nazwałem strojnym, dźwięcznym akordem, brzmiącym zgodnością wszystkich razem pierwotnych sylab rozrzuconych w przyrodzeniu.*) — Zebrać te sylaby, żeby całe słowo złożyły i umieć przeczytać to słowo: otoż umiejętność natury!.. *Czy mamy taką umiejętność w polskiej literaturze?* Czy uważaliśmy naukę z tego punktu, i czy ją u nas w tym sposobie ukształcono, rozszerzono?

Pytania takie są to *pozycye*, które się same rozwiązują przez określanie coraz silniejsze, i stawianie głównego zagadnienia w coraz inném świetle. Wywodzić początek jakiegokolwiek nauki z teoryi *uznania*, w systemie literatury uważanej ze względu *reflexyi* narodu, jest to opisywać sferę téj nauki i zarazem rozwijać jój treść, ośnowę. Czyli innemi słowy: jednym ustanawiać zawodem, niejako jedném technieniem rzecz i kształt umiejętności. Podług tego co się wyżej rzekło, filozoficzna umiejętność natury z nas samych wyciągniona, i *genetyczna*, *ruchoma* bydl powinna. *Jestże taka polska umiejętność?* Co potem będę się starał roztrząsnąć w części pisma mojego poświęconej *umiejętnościom* w Polsce. Nateraz, dla rozjaśnienia ogólniejszego widoku, pod który podciągnąć przedsięwziętem literaturę ojczystą, niechaj mi wolno będzie powiedzieć, co następuje:

Krytyka literacka w wyrokach swoich omylna i płocha, (jeżeli tylko tym wyrazem nieobrażę jój stronników) przez długi czas w piśmiennictwie polskiem rozwinięcie i postęp wyobrażeń estetycznych tamowała, szkodząc rzeczywiście poezyi i sztuce, tóż ukracając moc talentu niepotrzebnem powściąganiami. Ta krytyka przez inną krytykę śmielszą, zachęcającą i ośmielającą, nieraz zu-

*) Rozdział I.

chwała, uprzątającą wszystkie uboczne względy, ale może silniej popierającą zdanie swoje i widzącą rzeczy z wielu stron, zawojowana, że tak powiem, została; odtąd historyczne tylko miejsce w naszej literaturze zajmuje. Ta jest pierwsza opinia, którąbym rad umocował w przekonaniu czytelnika. Druga zaś jest ta: że przez *empiryzm*, i wyłączną, niemal fanatyczną wiarę w doświadczenie, którą za naszych czasów najbieglejsi pisarze polscy rozszerzali i pomnażali, *skamieniała* umiejętność w polskiej literaturze. Dotąd tkwi to złe w umysłach naszych; niemasz go ani w języku, ani w usposobieniach, ani w charakterze polskiego narodu, ale jest to skutek zawziętego mniemania, skutek powagi i mistrzostwa ludzi wielce zasłużonych, których atoli dobre chęci, i obywatelstwo, wyżej zapewne trzeba cenić, niżeli naukę; aczkolwiek i w tém okazała, rzecz z innych względów uważając, zajaśniali biegłością, w swoim czasie, podług swego rozumienia. Ten jest ogólny widok, niejako *status quo* co do krytyki estetycznej, i co do umiejętności, a szczególnie nauk przyrodzonych w polskiej literaturze. Pytam się tedy: czy nie czas uprzątnąć tę ostatnią przeszkodę? — Co do ogólnego usposobienia w kraju naszym ze względu *umiejętności*, co do przyjętego u nas trybu postępowania w tej mierze, po szkołach i wyższych instytutach naukowych, zdaniem mojem (którego jednak nikomu nie narzucam), jeszcze się to usposobienie nie rozwikłało i nie wzmogło. Z tej niwy jeszcześmy dojrzałego nie zebrali plonu. Czemuż to przypisać? Twarde zdają się być te słowa; mniemam jednak że *konsekwencya* w rozumowaniu nikogo zastraszać nie powinna. Podług zasad i pojęć moich, które następnie będę się starał jaśniej wyłożyć, żadnej w Polsce nie mamy teraz *ściślej umiejętności*. Wyraz ten nawet na wspak bierzemy, tytułując częstokroć *ściśłą u-*

umiejętnością z obcych języków tłómaczone traktaty, żadnego wewnątrz ujęcia nie mające, ani takiej mocy, któraby się rozchwiać nie mogła. Wielka to rzecz, i bardzo wspaniała umiejętność! Niesłuszne też, szczególnież ze względu nauk przyrodzonych, rozszerzyło się mniemanie: jakoby tylko domowej potrzebie służyć powinny, i dogadzać społecznemu pożytkowi. Zdaje się nam: że te nauki na to tylko są wymyślone, aby podawały sposobność ciągnięcia jak największych korzyści z tych sił, któremi działa przyrodzenie, z tych własności, któremi tak hojnie wszystkie uposażyło jestestwa. A co do trybu postępowania i *metody* naukowej, rozumienie jest takie: że wszystko na doświadczeniu zależy; że teorye układać trzeba podług postrzeżeń i wiadomości czerpanych z doświadczenia, a gdy się co odmieni w doświadczeniu, gdy nowe wypadki przekształcą postać nauki, natenczas nową stworzyć teoryę. Ale ten widok daleki od szczerzej istoty umiejętności. Cóż, proszę, za skutki wyniknęły u nas z tak opacznego sądu? Oto, żeśmy w tym wielkim zawodzie nic swego, nic nam własnego nie wymyślili, prócz dobrego polskiego wykładu i stylu w rzeczach naukowych; różne bowiem, przygodne wynalazki, urywkowe pomysły, nader chlubne dla szczególnych uczonych, poświęcających się umiejętnościom, głośnej chwały za dni naszych narodowi nie zjednały. Umiejętność polska zkądinąd przeszczepiona, że tak powiem żywcem wzięta. Rzeczy około siebie cudzym pojmujemy rozumem w ojczyźnie Kopernika i Witeliona. Cudze w laboratoryach naszych powtarzamy doswiadczenia. Mechanizm opanował umysł. Układy oddzielnych nauk odmieniają się przed oczyma naszymi w słowniki technicznych wyrazów, i technicznych manipulacyi; coraz więcej mnoży się szczegółów nie powiązanych myślą ogólną; żadnej prawie teoryi, żadnego systematu, żadnej całości organicznej. Ru-

tyna jest w polskiej nauce! Ale to się dłużej żadną miarą ostać nie może. Co *Jan Nepomucen Kamiński* wyrzekł o *filozofii*: że jój zewnątrz nikt nie nabędzie, toż o każdej trzymajmy umiejętności; a tém samém i o naukach przyrodzonych. Obcy nabytek niechaj je wzbogaca, wspomaga, ale na nim swojej nie zasadzajmy iścizny. Wszędzie wprawdzie jednaka natura, i te same prawa podług których działa, tworzy; ale nie wszędzie jednaki sposób pojmwania tego i tłumaczenia. W tém się właściwość każdego niemal oświecześniego wybija narodu. Z tego względu co innego we Francyi, co innego w Niemczech, co innego w Anglii. Tę samę rzecz inaczej pojmuje *Thenard* i *Biot*, inaczej *Berzeliusz*, inaczej *Szuber*, *Oken*, *Steffens*. Z tych odmiennych względów i widoków, z tego rozmaitego sposobu rozumienia natury i tłumaczenia jój fenomenów, toż ogólniejszego systematu, wykształca się różno-licowa postać umiejętności. Z tych ciągłych, własną pracą, własnymi nabytkami i odkryciami doskonalonych poszukiwań, rodzi się *historja nauki*. Ale uczeni, własną głową nie myślący, żadnego podobno miejsca w niej nie zajmą; chybaby się im dostało najpośledniejsze: tłumaczy, kompilatorów, naśladowców. Cóż ztąd za chwała? Naukę trzeba mieć w sobie, w środku, i z nas samych, z jestestwa naszego wszelką wyciągnąć umiejętność.*) Przełożyć cobądź z obcego języka na polski, jak się u nas pospolicie dzieje, nie jest to wzbogacić literaturę, uważaną z stanowiska *reflexyi* narodu. Tym sposobem dogadza się tylko chwilowej potrzebie, i mijającym względem, które wszakże

*) „Mocno ten błdzi“ — pisze potylekroć wspomniany Kamiński (*Halicz. o umnictwie dramatyczném str. 236*) „ktoby mniemał, że w naród coś zaszczepić można, czegoby już w sobie, z natury swojej nie miał, jak nie zaszczepisz w płonkę szlachetnego oczka, kiedy go płonka w życie swoje *życiem swoim* nie przyjmie.“

bardzo ważne i naglące bydz mogą; czemu nikt nie przeczy. Nauka jakakolwiek dobrze zrozumiana, pracowicie spolszczona i wyłożona ma swoję wartość, taką jaką mają romanse i powieści historyczne, angielskie, włoskie, lub frãncuzkie, w polskich przekładach opisujące cudze stroje, zwyczaje i t. d. Nie dla tego to piszę, żebym chciał uwłaczać mężom wielce zasłużonym, tak pod tym względem, jako i z wielu innych w naszym kraju, ale jedynie: że czas już zalecić tę rzecz obmyślanii i gruntowniejszj ziomków rozwadze, — czas wezwać *filozofii z głębi ducha naszego, i wysnąć ją z istoty naszego jestestwa*, żeby upłodniła, ożywiła myśl, żeby wzbudziła zapał do częstszego pisania i gruntowniejszych rozumowań w rzeczach dotyczących umiejętności przyrodzonych. Niechaj się umiejętność polska z rodowitych nasion własną rozkrzewi dzielnością, własnem rozzieleni liściem, i zakwitnie szeroko, bujnie wielkimi pomysłami. Oto nieba prosić trzeba, za przyłożeniem własnych starań.

Śmiałości mojej wybaczy, kto tę rzecz u nas, jaką jest teraz, i dalsze skutki widzi. Albo to wszystko co powiedziałem ze względu literatury, *że jest reflexyą oświeconego narodu* (a za taki, naród polski z chlubą w sercu poczytuję) fałszem jest z istoty wytrawionym; albo, jeżeli mi w tém główném i początkowém założeniu pisma mojego nikt oczywistj nieprawdy nie zada: każda umiejętność tak oryginalna, tak pierwotna bydz musi, jak *poezya* i poetyckie natchnienie. O to się wszystko rozbija; podług tēj silnie umocowanj zasady na prawdzie ducha, i istoty bytu naszego, cenić potrzeba użyteczność umiejętności, i czynione starania ludzi uczonych ku ich wykształceniu. Umiejętność nie jest rzeczą pamięci, ale największą jest sprawą i misterstwem ducha. Najpiękniejsze odkrycia winniśmy naukowemu entuzjazmowi, i ledwo nie poetyckiej *inspiracyi*, — tēj najwyższj filozofii geniuszu!

Z drugiej strony trudno nie przyznać: żeby dowcipne, zręczne przystósowanie nauk obcym, na cudzej niwie doskonalonych staraniom, do polskiego przemysłu, który rząd tak usilnie wspiera, nie miało sprawiać ważnych korzyści dla kraju. Nic nadto pewniejszego. Ale także przyznać potrzeba, przez samą sumiennosc *loiczną i dyalektyczną*, (niechaj mi wolno będzie wyrazić się tém może dziwném, ale prawdziwém wysłowieniem) jakiéś ściśle przestrzegać powinien, kto z położonych zasad rozumuje: że wyłączny ów wzgląd, który dotychczas rozciągaliśmy (mówię tu o ogóle) na samą nieledwie praktyczną, gospodarską użyteczność nauk przyrodzonych, ubliża ich *godności*. Daleko zacniejsza istota prawdziwój nauki, jako i prawdziwój piękności w sztuce. Przeznaczenie, cel, zawód rzetelnych umiejętności daleko wznioślejsze, i wspanialsze. Uważajmy n. p. *medycynę*. Jak wielka użyteczność téj nauki! A jednak praktyka lekarska, choć lekarz niesie ulgę zwątlonemu zdrowiu bliźnich swoich, nie jest, jak sądzę, ostatecznym kresem jego umiejętności. Główném jój zadaniem człowiek; a człowiek jest zebranie w treść, i niejako summa wszystkiego w naturze. Słusznie przeto *medycynę* położyłoby można na czele innych nauk przyrodzonych. Pojąć *życie* i *śmierć*, a raczej: roztrzygnąć zagadkę życia, i daleko zawilszą, mniej dla nas dostępną zagadkę *skonu*, otoż powołanie i główny zawód filozoficznego lekarza. Z tych założeń wywija się pasmo jego wielkiéj nauki. Historyczna znajomość rozlicznych niemocy, i środków leczenia, botanika, anatomia i t. d. stanowią tylko składowe części, i niejako są jój materyałami. — Weźniemy inny przykład. Matematyka, kałkuł i głębokie rachunki, wprowadzone do umiejętności przyrodzonych, czyż nie zdają się nakształt *czasowania* i *spadkowania* w gramatyce? Albo *generalbasu* w teorii kompozycji muzykalnéj? Przypuśćmy, że ktoś nauczywszy się wszy-

stkich *konjugacyi* i *deklinacyi* obcej lub umarłej mowy, zechce, nic więcej nie umiejąc, czytać natychmiast dzieła, poemata w tym języku. I jednego słowa nie zrozumie, niedopiero okresów rozciąglejszych, zawilszych toków, sztucznie przerzucanych wyrazów i t. d. A przecie nie jednemu zdawało się matematykowi, że zrozumiał styl i wysoką poezją natury! Jest duch w mowie ludzkiej; jest duch w muzyce, jest w przyrodzeniu. A tylko duchem do ducha przeniknąć można, — tylko *umiejętnością ducha*, filozofią! — Inny jeszcze przykład wspiera zdanie moje. Nie dla tego zapewne uczynimy się *astronomii*, żebyśmy po morzu bezpiecznie pływali (lubo ta nauka bardzo potrzebna żeglarzowi); ale żebyśmy poznawszy porządek tych gwiazd na niebie, ich biegi i obroty, toż układ ledwie nie całego świata, wzniesli się ku temu, który to wszystko z niczego stworzył! Harmonia niebieskich sfer, — duch *astralny*, — gwiazdziste *ideje*: taki może ostatni kres *astronomii*, najspanialszej ze wszystkich umiejętności. Powiedziano o nauce człowieka, że jest *wielkie nic*. Lecz za spojrzeniem w niebo, i uważając to czego nie wiemy, sprawiedliwiej rzecby można, że *to bardzo małe i małeńkie nic*. Gdy to wszystko razem ściślej roztrząśniemy, wzięwszy pod rozwagę te światy światów, i te drogi mleczone, i te ogromy ogromów, pytam się: czyliż i po takiej próbie naszych zmysłów i rozumu, trwać będziemy w zuchwałém uprzedzeniu, jakoby człowiek zdołał odgadnąć tajemnicę natury na drodze tych postrzeżeń ulotnych, tych krótkich doświadczeń, z których powstała jego wczorajsza i onegdajsza nauka, które codziennie prawie jęj postać odmieniają, a które on zapewne w podniosłości swego serca nazwał *umiejętnością przyrodzenia*? Obserwacye z czterech tysięcy lat zebrane w jedną całość, przekonałyby zaledwie astronomów, że ten ich punkt nieruchomy, to słońce *Kopernika* i *Herszla*, razem z całym systemem

słonecznym, razem ze wszystkimi gwiazdami, które oni stałemi zowią, poruszają się nieznanym nam obiegiem, i dążą w nieznanne strony!! A zatem są systema systematów, kołowroty kołowrotów! Są zapewne inne słońca, które może po milionie lat następnych postrzeżeń i rachunków, nazwiemy nieruchomemi, a których *nieruchomość* w okresie późniejszych jeszcze wieków, znowu pokaze się wątpliwa. Kiedyż nakoniec doprowadzi nas ta astronomia do punktu rzeczywiście nieruchomego, do prawdziwego słońca wszystkich razem światów w powszechnym systemie natury? — Czyż z tego jednego przykładu jawnie, jaśnie się nie pokazuje, że droga do świadczeń i *obserwacji* jest nieskończona? I że tym sposobem nigdy nie osiągniemy zamierzonego celu? Co skoro jest rzeczą niewątpliwą, któż weźmie za złe niektórym naturalistom, że odrzuciwszy te pozory, te świadectwa i omamienie zmysłów, w duchu swoim szukają innego *środka* pojęcia przyrodzenia? A nawet, że ku temu celowi wyzywają, i niejako powabiają na harc twórczy, wielki, ale najburzliwszy *element* z skarbnicy naszego roztrzęsionego umysłu, tę *fantazyę* co jak prędkie błysnienie świeci przez chwilę, ale także za prędkim ustaniem swoim, zadawszy niemoc oczom, czasem w gestszą jeszcze cinę nas pogrąża? — Największa moc rozumu w dzieleniu; przeciwnie *fantazyja* części rozdzielone spaja w całość, i wszystko *totalizuje*.

Nie pożytek materyalny, jaki z nauk odnosimy, ale samą prawdę, bez żadnego innego względu, uważać należy jako ostateczny kres, do którego wszystkie poznawania i wiadomości nasze zmierzają. *Prawdą* zaś jest zgodność wyobrażeń naszych z rzeczami, które sobie wyobrażamy; zgodność i tosamność *pojęć* z tém co *pojmujemy*, — zgodność *obiektu* z *subiektem*. Jeżeli inna rzecz zewnętrzna, a inne wewnętrzne wyobrażenie téj rzeczy, natenczas *wyobrażenie* jest omylne, fałszywe. Cóż z tąd

wypada? Oto, że kształt, czyli forma zewnętrzna nauki odpowiadać powinna jój treści wewnętrznej, jój osnowie. Gdzie inna jest forma, czyli *metoda* nauki, a inna własność przedmiotu tój nauki; jeżeli n. p. rzecz nauki jest *ruchoma*, *żywa*, a *metoda* nieruchoma, martwa, jeżeli jedno drugiemu nie odpowiada, i jedno z drugiem nie rymuje, wtenczas nauka głosi fałsze, same brednie, nie przypadające do miary z rzeczą. Dawni i dzisiejsi retorowie utrzymują: że styl w pisaniu stosować trzeba do *materyi*. Tak samo *metodę* nauki, jój tryb postępowania stosować trzeba do własności przedmiotu. Tu zachodzi tosamność, *analogija*. — Jaki *process* w naturze, taki i w umiejętności, której natura jest przedmiotem. Zważmy tedy: w naturze jest postęp ciągły i nie przerwany od *widomego* do *niewidomego*, od materyi do pojęcia. A zatem, ten sam postęp byź musi w rzeczywistój umiejętności przyrodzenia. Co skoro nie podpada zaprzeczeniu, pytam się: co za pewność z świadectwa zmysłów w sferze *niewidomego*, w krainie ducha, będącego częścią, i ostatnią mocą, i najwyższą dzielnością natury? Wszystko zmierza w naturze, i ku temu się odnosi co *żadną nie jest rzeczą*, a tём samém przedmiotem rozbioru, i *analizy* byź nie może. A więc: na cóż się przyda *analiza*, gdzie się, że tak powiem, niczego palcem dotknąć nie możemy? Wniosek: godziź się doświadczenie uważać za *jedyne* źródło prawdy w umiejętności przyrodzonej, skoro jój ostateczne zagadnienia, ostateczne wypadki, przez doświadczenie ani roztrząśnione ani pojęte, ani *sprawdzone* byź mogą? Jakto? Miałżeby byź inny tryb postępowania w początkach nauki, a inny ku końcowi? Mielizbyśmy zaczynać od doświadczeń w rzeczach pod zmysły podpadających, a kończyć na *urojeniu* w sferze ducha?... (Niechaj pierwój odpowie na te za-pytania, ktokolwiek z autorem niniejszego pisma, w tym względzie przedsięweźmie polemiczną rozprawę.)

Temi oto czasy, kiedy przemysł, nie tylko dzisiejszą społeczność europejską, ale naukę i wszystkie najwyższe względy opanował, pierwsi filozofowie niemieccy, wznowieniem za dni naszych myśli starożytnéj *ułożenia powszechnego systematu natury*, przywrócili moralną godność umiejętnościom przyrodzenia, jakiej najwięksi, najbieglejsi empirycy zeszłego wieku we Francyi i w Anglii, nie czuli, i nie poznawali. Pierwsi Niemcy postrzegli: że natura nie dla samych tylko farbiarzów i garbarzów jest stworzona, ale także dla filozofów. Nowy *organ* pojmowania natury ukształcił się w Niemczech. Tam rozszerzyło się mniemanie: że *umiejętność przyrodzenia dwojakich usług potrzebuje*, jednych coby z niej ciągnęli korzyść praktyczną, ekonomiczną, czyli tak zwanych *empiryków*; a drugich coby ją staraniem swoim, bez żadnego innego względu, dla saméj prawdy, dla filozofii doskonalili. — Śmiało rzec można: zły los wszędzie spotyka umiejętności przyrodzone, gdzie się niemi wyłącznie trudnią *sami* praktycy i matematycy, ci prawdziwi wspomociele i opatrzyciele nauk, którzy jednak rzadko kiedy przenikają do szczeréj ich istoty; ponieważ im samym najczęściej nie dostaje ducha filozoficznego. Gardzą metafizyką i wyższą spekulacją w naukach przyrodzonych, to wszystko czego doświadczeniem sprawdzić nie mogą poczytując za romanse i poetyckie zmyślenia. Tym sposobem *intelektualna*, idealna strona natury zaniedbana, i z granic *pojęcia ludzkiego* wyrzucona została. Tym sposobem zysk stał się miarą wartości wszelkich nowych odkryć, mniemań i wynalazków. Uważając tę opinię, to tylko zarzucićby można tym co ją rozszerzyli: że czynią nad obowiązek i powinność swoją, że się wdają w rzeczy, które do nich nie należą; nakoniec, że tego co mówią i piszą sami nie rozumieją. Empiryk trwający w tém mniemaniu, że *prawda idzie tylko z doświadczenia*, niechaj gorliwie odprawuje swe roboty

w pracowni, niechaj czyni postrzeżenia jakie chce, ale z swojego niechaj nie wychodzi zakresu, i przed innemi nie osławia wszelkiéj, która się z jego zasadami nie zgadza, filozoficzności. Zawodem jego jest natura objawiona (*naturata*); a zakresem filozofującego naturalisty jest natura objawiająca się (*naturans*). Tamten uważa ją jako *faktum*, jako skutek; a ten jako siłę działającą; pierwszy w stanie *spoczynku* i bezwładności, a drugi w stanie ruchu. Pierwszego nauka nie jest nauką; jest tylko zbiorem encyklopedycznym bardzo potrzebnych nauce, różnych, szczegółowych wiadomości; ostatniego umiejętność jest *ruchoma*, żywa i t. d. Obadwa użyteczni, jednéj sprawie służą; wszakże przydać należy, że nawet empiryzm, *laboratorya* i doświadczenie z użyczenia ducha filozoficznego (jak się to w Niemczech dzieje), pod wpływem teoryi piękniejsze wydają owoce; co pokazuje historia nauk przyrodzonych. Nawet dowolne *hipotezy* i *manipulacye* empiryków godniejsze uważania, jeżeli z tego źródła początek biorą. — Nareszcie i to także położyć godzi się: że w systemie oryginalnéj literatury *dział rzeczywistych umiejętności* z działem innych pojęć n. p. poetyckim, historycznym, artystowskim, filozoficznym, toż z życiem społeczném, potoczném, jedynie tylko przez filozofią natury, za pośrednictwem téj *ruchoméj, żywéj* umiejętności w ściślejsze powinowactwo, i związek organiczny wejść może. Gdzie (jak n. p. w Polsce) sami empirycy uprawiają nauki przyrodzone, tam one żadnego wpływu nie wywierają na inne części literatury. Co innego w Niemczech! Tu artyści są naturalistami, jak n. p. *Goethe* i *Novalis*, a filozofowie natury najznamięnitszemi historykami i estetykami, jak n. p. *Gerres* i *Steffens*. — Namawiać do pewnéj *uniwersalności* pojęć i ducha, nie jest to zapewne obcemi przykładami zawracać głowy rozsądnym ludziom w Polsce.

Orzuciwszy mnogie uprzedzenia we względzie este-

tycznym, inaczej teraz trzymamy o wartości tworców sztuki. Innym okiem, niżeli przed niewielą laty, patrzymy na usiłowania krajowych artystów. Opinia większości uległa w tej mierze wielkiej zmianie, jaką czas zrządził, jakiej wreszcie społeczna po nas Europa wyciągała. Ale nie dosyć na tym. Śmiałym krokiem dalej jeszcze winniśmy postąpić: od *gustu* i *imaginacyi* do myśli i rozumowań umiejętnych, od piękności w poezyi i sztuce do prawdy w tej bogatej, spaniałej naturze, która nas otacza. *Nie pojmujemy jej cudzemu rozumieniem!* Tego nigdy dostatecznie wypowiedzieć nie mogę: w umiejętności polskiej jest *umarła natura* (naturata); a taż sama umiejętność *skamieniała*, martwa. Tej nauki nie potępiam, owszem przyznaję, że jest nieodbitnie potrzebna; ale utrzymuję: że dla nas potrzeba także żywej *życiem naszym* umiejętności, takiej, jaką nas obdarzyć może filozofia naszego jestestwa, filozofia języka polskiego, wreszcie, że tak powiem, *temperamentu* i *konstytucyi* narodowego *geniuszu*, narodowego ducha. Pojmujemy naturę, jako się objawia (*naturam - naturantem*), jako działa! A tego nigdy bez rodowitej filozofii nie dokażemy. Jak przed niewielą laty przesady estetyczne stawały nieprzełamaną przeszkodę rozwijaniu się ojczystych talentów w literaturze poetyckiej, tak samo: na polu nauk i umiejętności, szkoła materyalistów i empiryków nie rozświecona pochodnią krytyki, obwołująca wyłączność i doświadczenie za jedyne źródło prawdy, dotychczas ogranicza w Polsce władzę myśli, i utrzymuje nasz rozum teoretyczny w pewnej opisaniej mierze, niby w więzieniu, albo okowach. Wyrwawszy się z *niemowlęctwa estetycznego*, czyż nazawsze pozostać mamy w *niemowlęctwie filozoficznem*?

Nauka polska musi wyjść z tego obwinienia; na tym zależy realny postęp naszej literatury. Albowiem wiek nasz jest czasem *emancypacyi* we wszelkim względzie.

Te są postrzeżenia co do *umiejętności polskiej*. Czy-
niłem je samą rzeczą mając na uwadze, a nikogo z pi-
szących u nas w materji naukowej.

Z kolei teraz mówić będę o piśmienném *sektarstwie*
w Polsce. — Rzecz ta należy do ogólnego widoku dzi-
siejszej literatury naszej, która nie tylko jest w dziełach
uczonych, w utworach artystów, ale także w *opinii i dy-
spozycyi* powszechnj. Powinienem jednak uprzedzić czy-
telnika, że odstąpiłem w tej mierze od zdania pospoli-
tego: jakoby różno - licowe stronnictwa piśmienne, spory
i rozterki literackie miały co szkodzić oświeceniu. Od
tego niektórzy wielkim się krzyżem żegnają. *) Ja zaś
przeciwnie sędzę, poczytując wszelkie niesnaski za zba-
wienne i pożyteczne.

Życie w każdym wyraża się roznieśnieniem mniemań.
Pierwszych tego śladów nie trzeba zacierać w literatu-
rze; byłoby to źle zrozumianą miłością zgody i pokoju.
Dualizm głównym wszyskiego warunkiem na tym świe-
cie. Kiedy przed kilką laty nowe twory ojczystego do-
wcipu, i nowe wyobrażenia teoretyczne poruszyły u nas
dosyć zawiłą materją sprzeczek między stronnikami
dwóch systematów, tak zwanego *romantycznego* i *kla-
sycznego*, nikt naówczas nie zgadywał, co było istotną
przyczyną tego nieporozumienia, i jakie ztąd korzyści
urosną dla literatury polskiej? Przeciwnie mniemano,
jakoby ta dysputa opanowawszy niedoświadczone umy-
sły, sprowadzić je miała z drogi wiodącej do prawdzi-
wego światła, gustu i piękności. Przyszło nawet do
tego, że ludzie w naukach okazale biegli, gorliwi o ich
wzrost i powodzenie, młodzież szkolną odwieść chcieli
od wszelkiego uczestnictwa w niesnaskach, które oświe-

*) Właśnie w tej chwili, ogłoszono prospekt na *Rozmaitości*
Kaliskie, których redaktor oświadcza, że ani o sporach romanty-
ków, ani (broń Boże) o *Filozofii* pisać nie będzie.

ceńszą publiczność Francyi i Niemiec tak silnie zajmowały. Tymczasem w skutku się to oczywiście pokazuje: jak niepotrzebna była ich obawa. Teraz bowiem nie w tém wątpić nie mamy, że ów niepokój bardzo wiele dobrego zrządził w krajowym piśmiennictwie: ponieważ obudził ze snu lenistwa talenta i dowcipy, wychylił z pod cienia rozmaite widoki przedmiotów estetycznych, i wyrwał na jaśniejsze, prawdziwsze opinie w tym względzie. Nareszcie, otarłszy z starych pleśni многие uprzedzenia, zniewolił nas do zabrania ściślejszej znajomości z pismami znakomitych literatów, którzy tę samą rzecz w obcych językach roztrząsali.

Gdzie niemasz żadnego *przeciwieństwa*, tam niemasz *ruchu*. Wszystko z czémś inném wiedzie przeciwieństwo. A gra tych przeciwieństw sprawuje najpiękniejszy fenomen, — *fenomen życia!* Niechaj kto pojmie, jeżeli zechce, taką siłę, któraby się w przestrzeni, bez żadnego oporu, niewstrzymaną rozwijała mocą! Każdą siłę przeciwną powściąga siła; a tém samém czyni ją jeszcze dzielniejszą. Nic się nie ściągnie, bez odpowiedniego rozciągnięcia się tej samej chwili; ani się nie zwinnie, bez rozwinięcia; — i przeciwnie. «Cobądź wywiąże się, rozwikła z istoty rzeczy, tak że ludzie głośno o tém prawią, piszą, toż natychmiast przeciwną w czém inném moc, własność wzbudzi, potrafi, obrazi. Natenczas jedno walczy i wojuje z drugim, póki węższe, słabsze mocniejszemu nie ulegnie. Lecz tylko przez krótką chwilę, która jak błysk przemienie, trwa ten stan przecięcia się i przeniknięcia dwóch sił przeciwnych; albowiem natura nie cierpi nic statecznego, nic *nieruchomego*. W tym samym momencie nowy odskok, nowy wyskok, i nowe siły z pozornój zgody i *tosamości* na przeciwne strony, w przeciwnym kierunku rozniosą się, rozstrzelą.

To samo dzieje się w widomój naturze, jak poka-

zuje chemia i fizyka. Wszędzie ruch jest znakiem życia! Samo przyrodzenie wzbudza je siłami rozrywającemi, odpychającemi. Światło, ten atom niebieskich przestworów, rozbity na promienie, czyż nie wpływa na związki chemiczne, i działań chemicznych nie wywiera? A rozszczepiony promień, czyż oddzielnych nie maluje kolorów? — Ciepło, ten inny atom tak nieodzownie potrzebny do życia, i wzrostu roślin, zwierząt, czyż nie jest głównym działaczem wszystkich w naturze rozkładów, i ową siłą, któraby ten świat cały roztrzęsała, zburzyła mocą rozszerzalności swojej, mocą odpychania się na wszystkie strony, gdyby jój inne siły skupiające i przyciągające, równie dzielnego nie stawiały oporu? — Toż samo postrzegamy w naturze niewidomój, — w myśli ludzkiej, w naszym sercu, w naszej duszy. Historia na tym zasadza się *dualizmie*; wszystkie stosunki społeczne są grą tych przeciwieństw. Z tej to przyczyny nikt swój woli nie dogodzi, bez odpowiedniego czyjéjs innéj woli odporu. Gdzie jakakolwiek usilność zmierza do celu w kierunku prostym, oznaczonym, tam niepochybnie przeciwnie zbija ją, i potłumia staranie. Ztąd ruch, ztąd postęp, ztąd wyścig we wszystkich sprawach. Śmiech w rozpacz jakże okropny! A smutek, kiedy się inni weselą dotkliwszy niżeli w powszechném rozżaleniu. Nadzieję bojaźń umacnia, krzepi; chęć do pracy wielkie podniecają trudności. Przez działanie i oddziaływanie, w *akcyi* i *reakcyi* wszystkie się wykształcają mniemania, wszystkie stronnictwa, wszystkie talenta.

Tę *dynamikę* widzę także w dzisiejszój literaturze polskiej, — w naszym estetycznym sektarstwie. Dwie się opinie starły. W jednym z następnych rozdziałów pokażę: że u nas niemasz ani *romantyków* ani *klassyków*; że te wyrazy brać potrzeba, nie w tém rozumieniu, jakie się tu rozszerzyło, lecz wcale inném, a przynajmniej bardzo różnym od tego. Pod temi tylko jakby

zwierzchniemi znakami rozprawialiśmy z sobą; ale w gruncie rzeczy szło o co innego, może i nie przypadającego do miary z tą *materyą*. Cóżkolwiekby to dotąd trwające nieporozumienie jest niejako środkowym punktem i duszą piśmiennego sektarstwa w Polsce. Rzecz dziwna i godna uważania! Od czasów kłótni *Orzechowskiego z Stankarem i Modrzewskim*, żaden rozstérk piśmienny nie był u nas tak głośny. Żaden przedmiot literacki tyle piór nie zaprzętnął. Żadna waśń nie zrządziła takich skutków. Pod tym względem staliśmy się częścią europejskiej publiczności dziewiętnastego wieku. To samo bowiem odstępstwo od prawodawstwa apolinowego, toż odstrychnięcie się od poetyckiej wiary, jakie zburzyło spokojność na świecie literackim postronnych narodów, i u nas także od lat kilku szerzy się, nie za szkolnemi ławami, ale co daleko więcej znaczy w dobraném światlejszym towarzystwie, i całą niemal Polskę od jednego końca do drugiego przebiega. W salonach, gdzie małego przedtém popisywały się ulotne tylko dowcipy ulotniejszymi jeszcze błyskotkami, panuje teraz gust daleko prawdziwszy, nie samój tylko ogłady i zewnętrznej okraszy szukający; w mniemaniu powszechném nawet, gruntuje się i znawstwo i rozsądek estetyczny. Taką zaś ma dziwną siłę, taką moc nie ukróconą owa *dysputa*, że i ci co żadnego wyobrażenia nie mają ani o *klassycznosci*, ani o poezyi romantycznej, chcieliby jednak należyć, i w samój rzeczy należą do tój, lub tamtój koteryi literackiej. Więcej powiem: nie tylko należą przyjęciem nazwiska jednego z dwóch stronnictw, ale powielekroć trafia się, że piszą, choć tego o czém piszą, często sami dobrze nie rozumieją. Piszą źle, nie obezniejszy się pierwój z rzeczą. To prawda. Ale jednak piszą, rozprawiają, myślą. Czyli innemi słowy: uczą się i myśleć, i pisać, i rozprawiać. Częstokroć atoli zdarza się pod tym względem czytać bardzo dobrze pomyślane

i wyłożone artykuły w naszych dziennikach peryodycznych. Rzecz ta jest dosyć ogólna, oderwana, metafizyczna, przynajmniej kiedy ją przyłożymy do miary zwyczajnego pojęcia. Przeto, po odciążeniu nazwisk i przedmiotu, możnaby uważać ów spór romantyków z klasykami jako pole ćwiczenia się w rozumowaniu, jako *gimnastykę* umysłową; a może jako przynętę i wab do wyższych rozpraw. Powtarzam raz jeszcze: literatura nie w samych tylko piśmiennych mieści się tworach, ale jest także w opinii publicznej. Stosunek téj do tamtéj obojętny byź nie może dla prawdziwego krytyka. *) Nie

*) Z niezdolności ocenienia tego stosunku dziwne się u nas wyroiły mniemania o *sektarstwie estetycznym*. Są coby to przytrzcę chcieli, i jedném zakończyć rozstrzygnięciem. Inni wpadli na myśl pewnej *medyacyi*. Zjawił się nawet w Warszawie rymowany projekt do zgody. Rozjemca z politowaniem mówi o jedném i o drugiem stronnictwie, gładkim wyśmiewając wierszem i klasyków i romantyków. — U innych literatów w stolicy różność zdań jak w téj, tak i w każdéj innéj mierze za nic nie waży. Pomiatając wszystkiemi polemicznemi *dyskussyami*, znać nie pojmują jeszcze natury opozycyi, ruchu, i zasady dynamicznój w literaturze. I tak n. p. *Pamiętnik warszawski umiejętności czystych* oświadcza (Tom III. zeszyt 1. str. 55.): — „Tyle już od pewnego czasu *nad (!)* romantycznością i klassycznością pisano, tyle o zasadach jednéj i drugiej prowadzono zaciętych sprzeczek, że *najzarliwsi miłośnicy* poezyi znużeni próżném piór szermierstwem, zarzuceni niesfornych zdań tłumem, *przy największej zdolności swéj do ocenienia i czucia twóarów poetycznych, (?)* nie wiedzą co przez klassyczność i romantyczność rozumieć mają, i jakie są tych dwóch rodzajów poezyi cechy.“ — Że „*najzarliwsi miłośnicy poezyi*“ nie wiedzą co mają rozumieć przez klassyczność „*przy największej zdolności swojej*“ (jaką zapewne P. redaktor tego działu *Pamiętnika umiejętności czystych* mieć musi) *do ocenienia i czucia twóarów poetycznych*, niema się czemu dziwić; bo ci *zarliwi miłośnicy* bawić się chcą poezyą, a nie rozumować w rzeczach teoretycznych; ale że *Pamiętnik umiejętności czystych*, nie wie dotąd jeszcze co ma rozumieć przez klassyczność, i romantyczność, temu słusznie dziwić się można. *Pamiętnik umiejętności czystych* nie wie: jakie są tych dwóch rodzajów poezyi istotne

sami tylk autorowie, ale i czytelnicy pomagają piśmienictwu. Gdy podobne nieporozumienia, jak w systemie

cechy? Ale, pytam się, któż powiedział *Pamiętnikowi*, że klasycyzm i romantycyzm są rodzajami poezji? To nie są szczególne rodzaje poezji. Owe wyrazy służą ku oznaczeniu dwóch wielkich systematów we względzie poetyckim i artystowskim, różniących się *generycznie* tak co do wewnętrznej istoty, jako i zewnętrznego kształtu; dwóch przeciwnych sobie systematów, z których jedno obejmuje starożytną cywilizacyą grecką, a drugie Europę chrześcijańską. — „Przyczyną tego nierozumienia“ — mówi dalej *Pamiętnik umiejętności*, — „i niewyrozumiałości obustronnej są same wyrazy *klasycyzm* i *romantycyzm*, które dają się brać w odmienném znaczeniu, i jako przypuszczające rozmaitość wykładu, nie mogą do jednostajnego doprowadzić wniosku. Z tego braku dokładnego określenia pochodzi ta *obszerność* rozumowań, a bez pewnego końca i rezultatu.“ — *Filozoficzny Pamiętnik umiejętności czystych* ma, jak widać, niezmyśloną odrazę ku *obszernym* rozumowaniom. Jest to nowy *horror!* — *horror ratiocinationis*. Rzecz nudna i nieznośna długo rozumować! Trudno jednak przystać na zdanie *Pamiętnika*, żeby te rozumowania były bez pewnego celu i końca. Ten *koniec*, i ten cel mieszczą się w dziełach sławnych krytyków, począwszy od *Lessynga* do *Szleglów*. Tylko że te ich pisma tak przeraźliwie są *obszerne*, i tak nielitościwie długie zamykają rozumowania!! Tego się *Pamiętnik umiejętności czystych* najwięcej obawia. To sęk najtwardszy. Ale *Winkelmann* wiedział przecież co ma rozumieć przez *klasycyzm*, a *W. Szlegel* dowodnie, i na oko pokazuje co przez *romantycyzm* rozumieć trzeba. Gdyby był *Pamiętnik* zasięgnął rady tych pisarzy, nie byłby zapewne kładł skargi na brak ścisłego określenia. — Lecz we wspomnionym artykule *Pamiętnika*, jako i we wszystkich innych filozoficznych i estetycznych (a które jednak filozoficznymi i estetycznymi nie są), tyle jest szczególnych zdań, i zabawnych wysłowień, że dla samej osobliwości wstrzymać nad niemi muszę uwagę czytelnika. I tak u. p. twierdzi dalej *Pamiętnik*: — „Francya dzisiejsza *nie może nie poglądać z góry na romantycyzm, jako na plód nie dawny, i pośród gminu wylęgły*.“ — Cóż znaczą wyrazy: *Francya nie może nie poglądać z góry?* — Na kogo? Na najznamienszych pisarzy swoich! Na *P. Stael*, na *Szatobrianda*, na *Hugona*, na redaktorów najlepszych dzienników literackich, jakimi są *Revue de Paris*, i t. d. Na takich krytyków jakimi są *Charles* i *St. Boeuf*? *Francya nie może nie poglądać*

teraźniejszej literatury poetyckiej zakłóca u nas spokojność we wzglądzie filozofii i umiejtności, tak głuchą,

z góry na tyle rzadkich talentów, które zdobią, wzbogacają jej dzisiejszą literaturę poetycką, krytyczną i historyczną? Na tyłu pisarzy, którzy wszyscy odstępili od mniemanego *klassycyzmu*? Nie może *nie poglądnąć z góry* na poezję ojczystych wspomnień, na poezję oryginalną, którą *Pamiętnik* nazywa *plodem gminu*? Trzebaż przypominać *Pamiętnikowi* (który z samego nazwiska swego, wiele *pamiętać* powinien) że najpiękniejszą poezją jest poezya ludu, a nawet poezya gminnych narodowych podań? Nigdy poezya *arystokratyczna* nie była. — Dalej utrzymuje *Pamiętnik umiejtności czystych*: „że *podobanie się* jest stanowisko, z którego w poezyi i sztukach o dobroci tworców się sądzi.“ — Od *Baumgartena* pierwszego założyciela filozoficznej teoryi smaku, do *Szellinga* i *Hegla*, nikt prócz *Pamiętnika umiejtności czystych* takiej maxymy za zasadę Estetyki i główną cechę doskonalności dzieł sztuki nie położył. Co większa: tenże *Pamiętnik* utrzymuje, „że każdy skąpiec jest poetą, kiedy z niepojętą i skrytą radością waży i chowa do szkatuły złoto.“ — Rzecz najniepoetyczniejsza w świecie! *Pamiętnik* byłby może miał słusność w tym wzglądzie, gdyby był powiedział: że taki skąpiec jest *przedmiotem* poetyckim n. p. dla malarza flamandzkiego wyrażającego chciwość i ukontentowanie w rysach twarzy sknery, lichwiarza i t. d., albo dla poety kreślącego taki charakter, i taką scenę w komedyi, lub powieści historycznej. Lecz nie idzie zatém, żeby sam skąpiec miał bydź poetą. Na to się nikt nie zgodzi. *Pamiętnik umiejtności* powiada, „że i dworak jest poetą, kiedy nadzieje i widoki swoje buduje na uśmiechu swego potentata.“ Ale to jest nadszkakiwanie i służalstwo nie poezya. *Pamiętnik* nie odmawia tytułu poety nikomu. Daje go próżnym i ambitnym (str. 89.) odważnym i lęklwym, ubogim i bogatym, młodym i starym; słowem tym wszystkim co się rodzą i umierają. *Pamiętnik* częstuje czytelników swoich wyjątkami o smaku z dzieł *Hugona Blaira*, a delikatność i poprawność kładzie za najwyższe prawidło sztuki (Tom III. zeszyt 11. str. 12.). *Pamiętnik* przyjacielkiem zaleca piórem listy *Władysława do Celestyny*, gdzie cała estetyka mieści się w kojcu między gęsiami, i kurami. Nareszcie *Pamiętnik* Izorę P. Odyńca uważa za twór geniuszu!!! Słowem *Pamiętnik umiejtności czystych* nienajczystsze miewa zdania w rzeczach estetycznych.

Jednym odprawię zawodem inne jeszcze uprzedzenia pod względem *sektarstwa*, jakie się samopas w oddzielnych broszurkach wa-

i tak wygodną ospałości lenistwa, natenczas może ostrzą-
 śniemy się z niemocy dyalektycznej, jak poczęści zaczy-

łęgają. P. *Oboleński* Rossyanin przełożył r. 1827. z greckiego na język rossyjski dzieło Platona „o Prawach.“ (*Platonowy rozhowory o zakonach. Perewod Obolenskaho z greczeskaho. Moskwa 1827*). Okoliczność ta dała powód P. *Józefowi Jeżowskiemu* do ogłoszenia w Moskwie roku następnego książeczki polskiej p. t. „O postępie badań filozoficznych we względzie pism Platona.“ — Tę książeczkę poprzedza przedmowa, w której P. Jeżowski tak pisze: — „niema przypadku, w którymby pisarz chcący *pożytecznie* i *roztropnie* na jaw wystąpić mógł nie dosyć pamiętać: co? kiedy? dla kogo? na co? i w jakim języku pisze?“ — Rzecz godna uważania, że P. *Jeżowski* powziąwszy tak doskonałe wyobrażenie o obowiązkach pisarza, nie starał się im zadosyć uczynić i przykładem swoim stwierdzić wskazanego prawidła. Z wielkiej bowiem chęci *wystąpienia pożytecznie* i *roztropnie* na jaw, zapomniał najpierw co pisze, kiedy pisze, i dla kogo? Zamierzył okazać publiczności polskiej, że tłómacz rossyjski chybił w wyborze dzieła omylnie przypisanego Platonowi, a zamiast tego bije na miłośników sztuki, zaprzeczając im prawa do sądu o rzeczach estetycznych; „albowiem“ — są słowa P. *Jeżowskiego*, — „nie mają oni stałej, przyznanej i urzędzonej posiadłości w państwie naukowém“! — Cóż znaczy stała, przyznana i urzędzona posiadłość w państwie naukowém? — Czy katedra w akademii? Czy patent nauczycielski? Czy toga? Więc podług P. *Jeżowskiego*, kto nie ma katedry, patentu, i togi, ten ani myśleć, ani pisać nie może!! — Kto tak sądzi, nie *występuje na jaw pożytecznie* i *roztropnie*. Powiada dalej P. *Jeżowski*, „że rozległa sfera pięknej literatury coraz bardziej ścieśnia się u nas.“ — Dla czego? — „Bo trudne powołanie tych uczonych, którzy mogli mieć imię znawców przestało być dostojnym *urzędem* nie wielu wybranych.“ — Więc do sądu o sztuce koniecznie potrzeba *urzędu*? Potrzeba areopagu? Trojnoża delfickiego wyrokującego wśród kłębow dymu? A my drudzy, czerń niewtajemniczona w poświęcone misterstwo uprzywilejowanej krytyki, czołem bić będziemy przed temi arcykapłanami sztuki? — P. *Jeżowski* zapomniał kiedy pisze? bo w XIX. wieku podobne opinie własną upadają niemocą. — Naostatek, nie mogę tego przewieść na sobie, żebym, dla ujęcia pod jeden widok tyłu krzywych zdań, charakteryzujących potoczne piśmiennictwo krajowe, nie wspomiał przy zdarzonej okoliczności o innéj jeszcze broszurce wydanej w Warszawie roku zeszłego p. t.: „*O nagannym zwyczaju u-*

namy wychodzić z krytycznego *obskurantyzmu*; wówczas *spekulacyjne*, metafizyczne, *transcendentalne* teorye, jakie daleka przezorność naszych uczonych kłutwą obłożyla, otworzą nie znaną drogę młodzieży polskiej i myśl nie znaną potęgą działać zaczną.

Że starszyzna uczonej *hierarchii* polskiej krzywo, z urazą dotąd nieukojoną patrzyła na to rozerwanie jedności w rzeczach ojczystego Parnassu, wielorakie tego przyczyny naznaczyć można. Albowiem nie sięgając baczniejszym rozmysłem zmiany, jakiej w sobie doznało na początku dziewiętnastego wieku powszechnie niemal systema poetyckiej i kunsztownej literatury europejskiej,

żywiania słodkiego merkuriusza.“ Autor tej broszurki, równie jak P. Jeżowski, zapomniał co? i dla kogo? pisze. Chciał pisać o słodkim merkuriuszu, a zaczął w przedmowie od tego: — „Że niepodobna przyjść inaczej do wydania własnych płodów *tylko przez naśladowanie*, że *tę tylko* drogę mając w naukach upoważnieni jesteśmy do *ślepych* naśladowań, do przejmowania cudzych utworów imaginacyi, lub rozumu, że na obfitości schwytyanych tym sposobem cudzych własności *mądrość* się nasza zasada.“ (str. 4.) — Z tych założeń tak dalej autor rezonuje: — „że w sztukach pięknych dziwna moda oryginalności wywraca dawne zasady poezyi, znosi wszystkie kształty foremne dla tego że stare, i stawia natomiast wyboczenia rozbujającej imaginacyi zagorzalców romantycznych.“ — Te zdania nie potrzebują rozbioru. Ale trudno nie zapytać się autora wspomnionj broszurki: jaki ma związek sztuka i poezya romantyczna z *słodkim merkuriuszem*, czyli, jak go nazywa autor, z solnikiem żywego srebra? Taki sam zapewne, jaki zachodzi między tą poezją, a przedmową P. Jeżowskiego do broszurki okazać mającej, że traktat o *Prawach* mylnie przyznano Platonowi. — Krótko mówiąc: rzadko kto weźmie u nas pióro do ręki w jakimkolwiek celu, żeby zdrożywszy z toru nie wjechał na monowce i kręte ścieżki romantycznego labiryntu. Wszyscy biją na sektarstwo, a niechący stają się tegoż uczestnikami. Z czasem przyjdzie ku temu: że rozprawy techniczne n. p. o sztuce wyrabiania mydła, i garbowania skór, albo wypalania gliny garncarskiej, zaczynać się będą od przedmów, zamykających wykład teoryi piękności w poezyi i sztuce. Niema co mówić: pisarze doskonałą się, cywilizacya naprzód postępuje! —

chciała pierwój spuścić na sąd głowy swojej, i jako się jój podobało przyjąć albo odrzucić, co nie poszło z przygody, ale z osobnego zrządzenia, co koniecznie nastąpić musiało, co było wypadkiem ogólnej dążności i ogólnych usposobień. Przeto wszystkę chęć swoją, myśl i starania położyła była z razu w obronie szkoły, wsławionej przez pisarzy francuzkich tak we względzie praktycznym, jako i teoretycznym, którą osobliwie zaszczycały: długie powodzenie na świecie, i nazwisko okazałsze jak właściwe, albo zasłużone. Lecz nie tak to łatwo potłumiają się w narodzie usposobienia choć nie zupełnie rozwinięte, i nie tak łatwo powszechniejsza dążność się wstrzymuje. — Mniemano natenczas, że tak zwana *romantyczność* jest tylko jednej, lub kilku głów wymysłem, toż jakoby była szczególnym rodzajem poezyi, jak n. p. bajka, satyra, albo sielanka. Widziano w tém sam niesmak, samych upiorów, czary, samych duchów i nieboszczyków chodzących po świecie. Wyobrażenie literatury ledwo nie do samych romansów i wierszopisarstwa było u nas zacieśnione. Nikt jój nie uważał w związku z przeszłością, w związku z masą myśli i pojęć, — któremi się istota narodu wyraża. Wynaleziono nazwisko *pięknej literatury* ku rozrywce kobiet i beletrystów; a postawa tych trefnisiów w literaturze była, że tak powiem, jedwabna, — nawet ich słowa były pie-szczone. Oni mieli zemdloną mowę. Światlejsi rozumieci przez poezją kunsztowną tylko zabawę, igraszkę, cacko. I nie więcój! Z przyczyn naturalnych takie zdania w dzisiejszym czasie do miary już nie przypadały; nie mogły téż ku sobie pociągnąć literackiej młodzieży. Tę jak gdzieindziej, tak i u nas większa może umysłu giętkość, a żywsze bez wątpienia objęcie i niestępione uczucia sposobniejszą czyniły ku prędkiemu wtajemniczeniu się w owe misterstwo niewidomego ducha, sprawcy wszelkich przeobrażeń w literaturze dzisiejszych ludów Europy,

który jedném, ale pochurném wejrzeniem ośmielił geniusz poety, artysty, filozofa, podając im do ręki władzę nigdy przedtém nie znaną z takiej mocy, rozdzierając przed nimi zasłonę, nigdy nie ukazanych dziwów w naturze, w sercu ludzkim, w przeszłości, we wszystkim co ich otaczało! — Błyszczała ta nowość młodzieży polskiej tak nądobnie w dali, że tą razą ani rady, ani upominające przestrzeganie, ani nauka pomiaru, nie włożyły na nią żadnego przymuszenia. W tym dziale narodu zamykającym najpiękniejsze jego nadzieje, przyklaskiwano nowój Muzie, co nie wiedzieć zkąd, i nie wiedzieć z jakiego zrządzenia liczne, wspaniałe dary na około siebie rozdawać zaczęła to temu, to owemu, wedle swego upodobania. Jój uśmiech nie był z tego świata! Smutna, żałośna, polubiła to ustronie nad Wisłą, Wilią i Dnieprem, i nasz ostry klimat, i nasze niebo pochmurne. W szacie ukazała się białej, a nikt nie wiedział co to za jawisko? Nóciła różne pieśni i górne, i gminne, na wysoką notę i niską, pierwsze westchnienia swoje mieszając jakby z zarannego wiatru powiewem. Młodzieńcze tylko uniesienia wspanialszą jój cześć wymierzały; w poważniejszym kole wzruszano ramionami. Tu doznała albo niegościnnego przyjęcia, albo publicznej wzgardy, obelg. Każdy wiek cenią ludzie podług przeciwnych, wojujących z sobą ostateczności; lubo zresztą przyznać trzeba, że i to co się w środku między nimi dzieje godne także uważania, jeżeli nie pamięci. Jakożkolwiekby: gdzie tylko pokaże się coś nowego, niezgodnego z dawniejszém, już to pewnie z téj lub innéj miary zburzoną, zepsutą oznacza równowagę. Sami prawie młodzi pisarze ten spór popierali, zasilali, wymyślając coraz nowe podniety, i waby żartkiem dowcipem swoim trudnym ku ukróceniu, jeżeli się raz w czémkolwiek rozżarzy; a kiedy który z starszych braci poważniejszym, uczonym ozwał się głosem, głos ten nikomu

żadnego pożytku nie czynił: albowiem twarde były ich słowa i niewzględne. Jak z jednej, tak i z drugiej strony nie postąpić nie chciano. Jednym szła gra o zasłużone mistrzostwo nad opinią współczesnych, a bardziej jeszcze o to, żeby jak najdłużej cieszyli się mirtową na skroniach opaską i wieńcami apolinowej chwały, jakby te zwiędnąć nie mogły; drudzy nadstawiali się przykładami, które zdobił wdzięk świeższych powabów, którym nadto zgodność z duchem czasu i wzniosłemi jego wyobrażeniami okraszy przysparzała.

Jakże? — Cóż znaczył u nas ten głośny rozterk, że jedni nazywali się *romantykami*, a drudzy *klasycami*? Wszyscy unieśliśmy się wiatrem nowej nauki, wszyscy dzieliliśmy te nieporozumienia. Nie było to jednak naśladowstwo postronnych swarów, ani też dziecinna słów igraszka. Nie ważmy sobie tak lekko rzeczy, które się daleko w narodzie rozpostarły, a przynajmniej między światlejszą publicznością. Potrzeba dalej zasięgnąć i baczniejszym rozmysłem. Lecz coż powiem nowego w tej mierze, czegobym już potylekroć nie wypowiedział?...*)

Czy możemy razem z mieszkańcami południowych krain zawołać w uniesieniu: *to niebo nad nami, i ta ziemia, te góry i te doliny pierwszych wieszczów naszych natchnęły!* Gdzieindziej poezya poprzedziła wschód rzęsiściej przez główne umiejętności oświaty. U nas przeciwnie się stało. Z zapadłych czasów żadne harmonijne pieśni nas nie doszły, — tylko może świątowania nieostrojnój gęśli. Gdzież są ojcowie naszej poezyi? Darremno szukalibyśmy ich w tej omglonój przeszłości, kiedy z śmiałych przedsięwzięć i rycerstwa w przełożeniu, plemię Piastów na sławiańskiej ziemi słygnęło. Bolesławowie podobno żadnego barda nie mieli. Czasy poety-

*) W pismach: *Dzienniku Warszawskim*, *Gazecie Polskiej* z r. 1828. nareszcie w *Kuryerze Polskim*.

ckie, godne śpiewu bardów, przeminęły bez wieszczego uniesienia. Sprawy, mądrość wielkich mężów w gminnej pieśni, w pieśni ludu nie zawiekowała; co przeszłe czasy staraniu następnych pokoleń poruciły, zdaje się, odkazem wspaniałej puścizny.

Ocalała w Saxonii z czasów najazdu Franków pamięć irmińskiego słupa. Starożytnie, cieniste dęby poświęconego gaju *Wodana* nie straciły czarnoksiężkiej natury. Przypomniano sobie czasy wielkiego Hermana, — Witykind ożył. — Ale my jeszcze piękniejsze mamy zabytki!

Na polach maratońskich, pod Salaminą i Plateą ścierała się przemoc Azji z duchem greckiej wolności, — wielcy śpiewacy biegli w zawód ku uczczeniu tej sławnej pamiątki.

Daleko pierwój jeszcze niebezpieczeństwo groziło Grekom, w małej Azji osiadłym. Gdy Cyrus zawojował państwo Krezusa, Solon i Pizystrat uczuli w sercu trwogę. Przewidując bliską burzę, która się później pod Daryuszem i Xerxesem na Grecyą oberwała, zbierają w całość rozerwane części narodowego pieśnioksięgu Homera. W sercach ziomków wzbudzają heroizm cnoty wspomnieniem dalekiem, jako kiedyś bohaterowie greccy, podawszy sobie bratnie dłonie, obrócili spólną siłę przeciwko Azji, zburzeniem Troi wetując uczynioną jednemu z pośredku nich zelżywość.

Gdy burzą przeciwnych losów
 Walka żywiołów szaleje;
 Słyszę pieśń jego wśród grzmotu odgłosów
 Widzę go w połyskach gromu
 Jak z tego nocy poziomu,
 W zagrobnych krain zamęcie
 Nieśmiertelności widzi się nadzieję.
 Taki świetny, a taką pomroką odziany
 Na rozchwanym stoi okręcie,

Pośród wichrów dzikiej wrzawy,
 Szturmuje morze do nawy;
 A on niezłękły, spokojny
 Jak gdyby słuchał tryumfalnych pieni,
 Z brzmiającą w pewnej ręce struną
 Wlepił oko w burzy łuno,
 Jakby we tle tych płomieni
 Widział zwierciadło swój chwały
 Jakby w tej gwiazdzie co łni nad obłokiem,
 Kiedy go piorun rozdwoi,
 Widział spojrzenie kochanki swojej, —
 Jakby te gromy jego chwałę grały!
 Z spokojną piersią, z niezmrużonem okiem
 Unosi się okazały ponad śmierć, ponad zniszczenie.
O tajemnicze wieszczca zachwycenie!

Taki obraz poety Luzytanow, kreśli *Seweryn Goszczyński* w tych pieśniach lirycznych, których rękopism czytałem. *) *Tajemnicze wieszczca zachwycenie!!* Któż wypowie jaki wpływ mógł mieć Homer na uczucia i imaginacją synów Grecyi, co poległ pod Termopilami? Poezya w Grecyi z poezyi się rodziła; sama ją stworzyła natura; myśl, natchnienie jednego pokolenia wraz z życiem dostawało się drugiemu puścizną. Ten początek i taki wzrost literatury! —

Na otworzystém błoniu pod *Poitiers* mocował się *islamizm* z chrześcijaństwem. Natenczas jedna z tych dwóch *idei* zagasła. Niektórzy chcą wyrzucić z historii ten wyraz „*gdyby*”; w czém jednak nie zawsze słusność mają. *Gdyby* był *Abder-Rahman*, a nie rycerski *Karól* odniósł natenczas zwycięstwo, jakież byłyby rzeczy wzięły obrót we Francyi i w Europie? Oto niepochybnie na świątyniach pańskich powiewałyby chorągwie *Mahometa!*

*) Wkrótce wyjdą na widok publiczny te poezye autora *Zamku Kaniowskiego*.

A gdzie teraz sterczą pod niebiosą pomniki feodalnej architektury, gdzie się wznoszą ciemne, melancholijne, gotyckie massy, rzniete w zygzaki, filigranowe kopuły, wieże kończaste z misterną na wierzchu murów zębaczoną, tam przypatrywalibyśmy się wspaniałym *meczetom*. Bieguny wiatro-nogie Kalifów zarżałyby nad Renem; a możeby je i w naszej Wiśle pojono. Bądź cobądź, gwiazda Aldeboranu dłużej, w niezamierzone lata świeciłaby plemionom dzikich pustyń i stepów. — Czyż zwycięstwa Greków nie miały żadnego wpływu na ich kulturę? — Czyż zwycięstwa Karola Martela, Karola W. nie zasłyneły w pośrednich wiekach? Ileż ztąd podań, ile tradycyi, — jakie *sagi*?

Wieki są jako obszerne place, gdzie się wywijają z zawiązków, rozwikłują, szerzą, starzeją i drobniejają pewne pomysły, pewne *ideje*, które wszechmocna, dobroczynna, a czasem i karząca ręka opatrności snuje na nierozdziernioną, i w coraz większą płaczącą się gmatwaninę nić wątkową tylu dziwnych i coraz dziwniejszych losów, tylu niewybadanych rodu ludzkiego klęsk i powodzeń. Ku tym pomysłom odnoszą się, i z tego źródła wypływają wszystkie poruszenia, wszystkie ważniejsze sprawy. Gra tych wyobrażeń, tych *idei* jest historią. Rozproszone po ziemi plemiona ich moc przywdziewają; tą mocą działają. Z tąd kolój zdarzeń, porządek wypadków. Narody są *reprezentantami* tych *idei*; a wielcy ludzie na to się tylko rodzą, żeby je władzą namiestniczą, z zlecenia braci swoich sprawowali. Wielcy ludzie, jak powiada *Cousin*, bądź dobrą radą, bądź szablą w boju wspierają takie *ideje*, i niemi tłumią inne przeciwne, któreby się także szerzyć chciały. — Ledwo nie tym samym kształtem, jak jedne rośliny, a czasem zielska krzewią się nieprzerodną płodnością ze szkodą innych roślin, nie mających takiej siły wegetacyjnej. — Jeżeli się w życiu jakiegokolwiek narodu tak rozległa *ideja* nagle szerzy,

rozplenia: w tym czasie najwięcej usposobień, najwięcej twórczych zdolności, — a zatem najwięcej poezyi.

W dziejach polskiego narodu nie jedna wielkimi nadziejami rozbłysnęła chwila! I u nas nieprzerodną płodnością szerzyły się rozległe pojęcia. *Mieliśmy poetyckie czasy*, czasy olbrzymiej mocy; mieliśmy rzeczywistą poezyą w życiu, lecz nikt jój nie przekazał następnym pokoleniom utworami poetyckiego geniuszu. Tę myśl potrzeba dobrze zrozumieć; to bowiem, jak sądzę, charakteryzuje naszą dzisiejszą poetycką literaturę. Z tego tylko względu uważać ją będę.

Wejrzyjmy naprzykład w wiek *Bolesława wielkiego*. Szérzyła się w dziedzinie bolesławowskiej, górowała potężna myśl, wielka, genialna *ideja*, którą ten mąż nadzwyczajny, że tak powiem, namiestniczą sprawował władzą ludów sławiańskich. Myśl ich jedności, mocy, chwały! Bolesław tę ideję rozpleniał szablą swoją, nie dopuszczając, żeby przeciwna w krajach sławiańskich *ideja* germanizmu, niemniej wówczas potężna, świetna, wojująca, przed nią przodek otrzymać miała. Był on nie tylko królem polskim, ale zarazem opiekę swoją na wszystkich rozciągał Sławian. Tą cechą oznaczone jego wojny z Niemcami. Ta myśl opatrzna kierowała ledwo nie każdym jego poruszeniem. Dla tego takie oko miał na Czechy. Z téj przyczyny dzierżaw swoich tak upornie bronił w Misnii i Milzawii. Inne przedsięwzięcia *Bolesława* są raczój sprawą zdobywcy, niżeli rozmnożyciela, i patrona wspomnionój *idei*... Gdzież ojcowie poezyi naszej? Kiedy opatrzność powołała *Bolesława* do przełożenia w narodzie polskim, — ten czas prędkiego wzrostu, czas powodnego szczęścia, był gdzieindziej, jak n. p. w Grecyi, w Hiszpanii, we wszczałku nowszych społeczeństw europejskich, w Anglii, w Niemczech, we Włoszech, czasem poetyckiej *inspiracyi*, zawodem śmiałych geniuszów, i niejako idealną podstawą, skarbnicą

literatury następnie kształconej i pomnażanej. U nas ogromne w krótkim czasie państwo powstało. Postrzegamy przed sobą charakter poetycki! Romantyczną postać dziejów polskich! Jak *astralne* światło jaśnieje ten ulubieniec Lelewela w odległej dali naszych czasów. Jego kraj szeroki, — jego lud prosty, niebywały, źle otarty z bałwochwalstwa, po tej przestrzeni rozsypany wiejskimi osadami, wśród nieprzetrzebionych puszczy, wśród głuchych lasów. Szlachta drapieżna, ni z praw ni z obyczajów w swój woli ukrócenia nie mająca. Zewsząd groźny nieprzyjaciół! Tu hordy dzikszych Sławian, którzy się jeszcze ciosanym bożkom kłaniają, — owdzie przemoc sąsiedzkich Niemców. Jaka burza nad głową młodego króla! Jaki plac do szlachetnego zawodu! Temu jednak podołał ogromowi, bo nim władał duch plemion sławiańskich, równie nadzwyczajny i silny, jak były nadzwyczajne, a prawie nadludzkiej siły wymagające ówczesne okoliczności. Wiarę krzepi, mocuje szerzy światło; ujmuje w kluby swawolę, niesforność; gromi nieprzyjaciół; ich dzierzawami swoje pomnaża. Od Odry do Dniepru niespracowany goniec, wódz i żołnierz, ustawodawca, i gospodarz, ubezpiecza niepodległość państwa, wewnętrzny porządek ustanawia. Odziedziczywszy po ojcu, jak powiada Naruszewicz „obszerną nিকেzemność,“ puścizną przekazuje następcom dostatek, chwałę, i postrach swego imienia. A też figury co go otaczały? A ci bojowie z dzikimi, leśnymi sercami, odważni, bitni, pancerni? A ta starszyzna? Wywołajmy sobie z pamięci te wszystkie postacie!! Wystawmy sobie *Bolesława* w domu drewnianym, którego ściany, jak je *Lelewel* opisuje, bogato ubrane, złotemi i srebrnemi blachami, tarczami i szablami, od kamieni i kruszcem lśniły się. Wyobraźmy go sobie jako rozmyśla o darowiźnie *Otona*, co mniemanem prawem wszystkie sławiańskie bałwochwalckie narody jego dziedzictwu zostawił. Albo też, kiedy przy

wieczery w Pradze czeskiej odpowiada ze wzgardą kapelanowi biskupa kolbergskiego, który mu oznajmił niespodziane wtargnięcie Niemców: — „że te żaby tak rychło przyczołgać się nie mogą.“ — Nie wyrażaź się temi słowy duch rycerza, co nie zna w sercu żadnej trwogi? Rozum i imaginacją zajmują sprawy *Bolesława*. Wszystkie zafarbowane tą poetycką farbą. Jego przy mierze z *Ottonem*! Jego polityka! Jego przyjaźń z świętym Wojciechem, i mnichem Gaudentym! Scena w lesie pustelniczym! — Rysy, właściwość charakteru, wiek, ludzie, okoliczności, wszystko to stawia tego króla jakby w świetle romantycznój wieści, którój najbujniejsze zmyślenie nicby nie przydało godniejszego pamięci i zadziwienia. Nawet wiara ludu osnuła go mgłą poetycką. Szczerbiec miał mu się dostać z rąk anioła. Wieść się także daleko rozniosła, jakoby na znak zwycięstwa nad Rusinami miał powrzucać do Dniepru misterną robotą udziałane trąby, przez które sącząca się woda dźwięk dziwny w powietrze wydawała.

A ów inny rycerz odarty z zaszczytu dostojeństwa! tułacz w kاپicy mniszėj? A dalej *Łokietek*, — cień za cieniem, i tylu potym, których słodka została pamiętka w Polsce! Dziwni, wieley, których z jednakiem zachwyceniem, z jednaką chlubą, jakby cudotworców jakich wspominamy, którzy ustawodawcę, polityka, filozofa, sztukmistrza, poetę w równėj mierze obchodzą! —

Tak jest! — mieliśmy poetyckie czasy. Kiedy przeminęły, kiedy się wszystko w nie rozwiało, dopiero za naszych czasów zjawili się poeci. Nie w kwiecie, nie we wzroście, ale ku schyłkowi. Cieniem jest ich poezya, wywołaniem z pamięci. Los dziwny zrządził, że poetycka literatura nasza, w wiekach szerzenia się zwyciężkiego olbrzymich pomysłów, nie rozwikłała się, i na tysiączne jak z jednego *atomu* światła, nie rozbiła promienie. Ona jest tego wszystkiego nie zwierciadłem, ale przypomnie-

niem. Ztąd ten senny jój charakter, melancholijny, jak dźwięk dalekiego echa. Cóż zostało z energii ducha wojennego, z mocy pierwotnej, plemiennój dzielnego rodu? Nic. — Cóż się poetyckiego z bolesławowskich, poetyckich wysnuło czasów? Nic. — Dopiero za Zygmunatów, z powszechniejszą znajomością łacińskiego języka, zaczęto u nas naśladować rzymskich rymotwórców. Polityczne instytucye wykształciły prozę, i krasomowstwo. Tych nieporównane zabytki teraz jeszcze wzbudzają zadziwienie. Gdy w Europie dźwignęły się z upadku nauki, i u nas nie zbywało na rodakach okazale w nich biegłych. Nikt nas wtenczas nie przewyższył w wyborze, i liczbie pisarzy. Owszem z najokrzeszańszymi narodami całego świata, mogliśmy grać o lepszą w tej mierze. Ale w poezyi owe początki, które za naszych czasów może bez pomiarkowania wielbiono, wkrótce ucichły. Za ledwie co pierwotownego, narodowego w tym względzie ocalało; resztę głucha zatarła niepamięć. — Któż dzisiaj zgodzi się z *Krasickim*, że Piotr Kochanowski, tłumacz wyzwolonej Jeruzolimy Torkwata Tassa, przewyższył wdzięk włoskiego oryginału? — Albo nie policzy *Felińskiemu* na karb cnotliwego zamiłowania ojczystych zaszczytów, że go nazwał *wielkim poetą*? — W następnych czasach, różno-kolejne nachylenie się do upadku pospolitej rzeczy, wielki wpływ miało w publiczne oświecenie. Polskę lecącą nierządem do tego upadku, począwszy od Zygmunta III., zaległa gruba pomroka. Zepsuł się język ojczysty. Chwałę lepszych czasów niewiadomość przyćmiła. Nareszcie, po długiej przerwie publicznego oświecenia, rozszedł się z klasztoru w całej Polsce odgłos *Konarskiego*, dawną świetność ojczystej mowy, a z nią i wyobrażeń narodowych, wywołujący z zapomnienia, wprzód jeszcze nim *Stanisław August* zasiadł na tronie Piastów i Jagiellów. Za sprawą tego wskrześcy nauk znowu zaczęto u nas, i z lepszym skutkiem, uprawiać odlogiem zapuszczoną

niwę. *Bielawski, Minasowicz, Bohomolec* przetarli zdzi-
 czały język, który terażniejszy polor swój i wykształcenie
 winien ich następcom na polskim Parnassie: szczególniej
*Krasickiemu, Węgierskiemu, Naruszewiczowi, Trę-
 beckiemu*. Są to wielcy reformatorowie, wielcy nauczy-
 ciele; zaszczytscy nieznanym pojęć; dobrzy Polacy, gorliwi
 ludzie. Ci znamienici pisarze okryli się nieprzemienną
 chwałą, niepożytą czasem. Imiona ich wdzięczność na-
 rodu wiecznej poświęciła pamięci. — Ale także, każdy
 to z nami przyzna, bo tego nie możemy zataić przed sa-
 memi sobą: że ci mężowie *rzecz całę nową zkądinąd
 zaprowadzili do kraju*. Nową upowszechnili kulturę.
 Jako ogrodnicy w pień spróchniały starego drzewa z buj-
 nej, gdzieindziej posadzonej krzewiny, latorośl wszcze-
 pają; tak samo i oni: stosując ku naglącej potrzebie
 czasu obywatelskie, pocziwe chęci, i starania swoje,
 z obcój ziemi, z pod obcego nieba rozszerzali w Polsce
 wyobrażenia i pojęcia, nakształt postronnej monety, nie-
 znanym stępem cechowanej. Ta moneta chyżym krążyła
 obiegiem. Z obcym rozumem, z obcemi wyobrażeniami
 wcisnęły się do nas obce uczucia, zwyczaje. Nic prawie
 dawnego nie ostało się. Zmieniono stroje, szaty. Po-
 większej części wzmogliśmy się cudzą isticzną. Wszystko
 było postronne: kształt, postawa, ułożenie. Ten cały
 gmach oświecenia, nie wspierał się w przeszłym
 wieku, i nie był umocowany na historycznej posadzce.
 Najbardziej zaś w literaturze poetyckiej przecięty został
 związek z przeszłością. Ta literatura wyrażała ducha,
 który nie był duchem narodu. Zamykała myśl na jaśnieją
 wyciągnioną, która myślą przeszłości nie była. Twórca
 jest *fantazyja* poetycka; coraz nowe maluje kształty, ale
 i to co minęło w właściwe przybiera szaty. Takięj *fan-
 tazyi* nie mieli poeci Stanisława Augusta. Śmiało to
 piszę: *oni nie byli poetami*. W ich pieśniach odbijała
 się czyjaś postać, ale omylna, nie nasza. Polak myślący

przyszedł do uznania samego siebie, *ale nie w swoim jestestwie*. Naród nie miał w literaturze wyciągniętej na widok masy wszystkich swoich wyobrażeń. Krótko mówiąc, przyszlśmy w tym względzie do cudzej *reflexyi*, — do *reflexyi* francuzkiego narodu, który także wówczas nie miał własnej, oryginalnej literatury, ale naśladowaną, i nieumiejętnie naśladowaną, w nieumiejętnej kształconą szkole, oderwaną od historycznej przeszłości, za wpływem niezliczonych przywidzeń i przesądów estetycznych. Sami to teraz Francuzi przyznają.

Cudzy dar z trzeciej ręki przejęliśmy. Literatura polska w drugiej połowie zeszłego wieku była kopiją kopii, przeobrażeniem przeobrażenia. W niej podobno żadna iskierka życia nie tłała. Drzewo zagranicznego szczepu, nie wprost z korzenia ulepszone obce zrodziło owoce, wysileniem, przymusem i sztuką ciepłicy roślinnej. — Mogłóż to być inaczej? Tak było w rzeczy samej. Tak być musiało.

W pierwszych momentach rozjaśniającego się u nas brzasku cywilizacji, ledwo nie z pierwszemi dnieżącj jutrzeńki promykami, ujrzelśmy płody dowcipu francuzkich pisarzy w zaszczytcie wziętości u postronnych, i największym blasku chwały. Był to wiek panowania literatury francuzkiej w całej Europie. I nasze olśnęły źrenice na widok tēj świetnej, prędkiej, okazałej kultury. Na tych wówczas jeszcze nigdy dostatecznie nie wysławionych wzorach, jak u nas, tak wszędzie indziej, i w Niemczech, i w Anglii i we Włoszech, znamienitsze kształciły się talenta. Z potrzeby, nie z przejrzenia, w niedostatku własnych, chwyciliśmy cudze opinie o sztuce i piękności; nie czyniąc braku, nie odróżniając prawdziwych od omylnych, nie zapuszczając się w roztrząsanie tego co przypadało do miary, a co mnić było zgodne, a nawet sprzeczne z duchem ojczystych ustaw i obyczajów, z charakterem, sposobem myślenia i czucia mie-

szkańców tej ziemi, z ogólną ich dziejów cechą; wreszcie z *fizyonomią* przeszłości i nadziejami, jakie daleka przyszłość w swém łonie tuliła. Nie przestrzegające rozsądnej krytyki upominanie, ale chęć podobania się współczesnym to błyskotkami dowcipu, to niestatkami, którym lada wiatr mody władał, pisarzy naszych wiodły do zamierzonego kresu we wszelkich przedsięwzięciach apolinowych. Dla nich poezya była rozrywką i swobodnym po trudach wytchnieniem. Na umajonych kwieciami dolinach, około źródeł *Hipokreny* wesoło bujali, płasali; lecz z samego zdrojowiska rzadko kto ważył się zaczerpnąć, a nikt podobno nie przejrzał w jego głębi. W tym, jak go nazywają niektórzy, złotym wieku literatury polskiej, poezya u podnoża tronu łaską możnych i mecenasów względami wzniosła się. Dworskim przeto jaśnieje blaskiem! Zdobi ją kolor i okrasa; znamionuje dowcip i tok bardzo kunsztowny. Usilność ówczesna obrócona była na udoskonalenie mechanizmu wiersza i przyczynienie świetności zewnętrznemu kolorystowi. Wyższości w tym względzie poświęcano nieraz istotniejsze rzeczy. Naostatek, czyli śmielszych, szlachetniejszych uniesień nie tłumił wpływ współczesnych filozofów francuzkich? Ceniąc czasy i ludzi, ogólną dążność ściślej rozważyć potrzeba. I poezya ma swoją filozofią. Lecz z grubych materiałów empiryzmu, sensualizmu i sceptycyzmu ani podobna było wykroić szaty, potrzebnej do robót sztukmistrza, poety. Wiek *Stanisława Augusta* był wiekiem krasomówstwa w poezyi opisowej; wiekiem satyr, bajek, epigramatów. Była *wierszomanja!* Była modą ulotne pisać rymy. I na przedpodwojowym, przedpodkojowym rymotwórstwie nie zbywało... Zaiste nie mogliśmy nie uleść rozszerzonemu w całej Europie wpływowi języka, filozofii i literatury francuzkiej! Żądaniem z tyłu miar przechodzącem ówczesną możność, okazywalibyśmy tylko nieżyczliwe uprzedzenie ku tym prawdziwym założycie-

lom i rozmnożycielom oświecenia w Polsce. Brodziński dobrze mówi: „byłoby to jedno co naśmiewać się z ojca, który zubożony jako mógł dorabiał się majątku, aby przynajmniej synów wychował.“ — Wyrazy prawdziwego krytyka, obywatela!

Poetycką literaturę polską owego czasu przyrównałem jednego razu do brzmienia głosu, któremu jeszcze słowa brakuje. A ten głos, ten dźwięk skłany i harmonijny, pieśczoney i mocny, jako czysty strumień płynący, małyż to dar? Czyliż go nam napróżno przekazano? — Że się wyrażę pożyczoném wystowieniem od pewnego filozofa niemieckiego: literatura taka było to koło dosyć misternie zakreślone. Lecz zważmy pilnie: w to koło jeszcze duch nie wstąpił, wywoływany od guślarzy, co go na mylną rotę zakląwszy z tamtego świata sprowadzić muiemali.

Taki był *status quo* polskiego Parnassu i estetycznej krytyki naszej przed nie wielą jeszcze laty! — Za naszą zjawili się pamięci, długo oczekiwani nowi pisarze, prawdziwi poeci, pełni talentu, i daru wieszczego ducha. A przodek przed nimi trzymał letni starzec, wyniosły mąż osiemnastego wieku, nad którym górował wyższością i mocą swego geniuszu, — sędziwy, pobożny mówca, natchniony poeta *Sybilli* i Lechiady, — poeta żałoby narodowej. A obok niego w równej mierze stanął drugi starzec! Ten w grobowce sławnych ziomków swoich wszczepia gałązki cyprysowe, i żadnego niemasz obrzędu pogrzebowego, gdzie wszyscy płaczą, któregooby za dni naszych nie święcił swoją wymową. Reprezentant powszechnego wszystkich żalu pisał dla dzieci i dla starszych śpiewy historyczne. On wykształcił *dumę polską*. Nakoniec *Kazimierz Brodziński* wziął pióro do ręki; zaczął mądrze, głęboko rozmyślać o poezyi: i ujrzeliśmy pierwszego krytyka, pierwszego estetyka w Polsce! Wszczęła się potém waśń; jedni na drugich ostre miotali słowa.

Z kądże ten rozterk? — Oto, że wedle wyrazów mędrca *chromy jako jelen polskoczył i rozwiązał się język niemych*. Zaczęto ściślej ważyć zasługę literacką, talent, poezją. Rzecz nie mała tych rozpraw była przedmiotem. Sektarstwo podzieliło umysły. Rozchwiała się dawna nauka. Stare zdanie upadło. Pojrzeliliśmy za siebie na wiek upłyniony, i ku dalszym jeszcze czasom. Kiedy jedno przymierzamy z drugim, nie było zgody w literaturze między przeszłością daleką, poetycką, rycerską podbijającą Polski, a tym wiekiem upłynionym *Stanisława Augusta*, gdy się już rzeczy znacznie miały do upadku. Jedno z drugim nie rymowało. Mieliśmy boleść na sercu. Raziły przeciwieństwa jasne jak na dłoni. W literaturze poetyckiej naśladowanej, którą bez pomiarkowania chwailono, którą dzisiaj nawet niezłomny wielu zaciętych w zdaniu swoim upor wysadza za wzór niedościgłej doskonałości, poloru i wdzięku, zniknęła stara Polska. Ta główna wszystkich niesnasek przyczyna! Pogasły były stare *tradycje*, pocichły wieści, i powiastki tak potrzebne każdemu ludowi, i każdemu wielkiemu poecie, wielkiemu sztukmistrzowi. Rozstroił się, ba nawet rozstrzaskał na kawałki stary dzwięczny ów bardon, którym niegdyś chwalono Boga w kościele, i walecznych w boju. Zdał się niby ladajakim sprzętem nowatorom. Zaszły także rdzą dawne pamiątki; a tym czasem nic kłębka dziejów ledwie do połowy wyciągniona co chwila to zrywała się, to gmatwała; wreszcie i wątku nie stało. Wszystko się jak ze szwu rozpruło! Dopiero przetarłszy oczy, w sam czas jeszcze przyszliśmy do siebie. Dopiero w myśl nam wpadło, że może przez długi czas w nie swoim poczuwaliśmy się jestestwie, tuląc do łona i piastując jakby umarłe w pieluchach dziecko umarłej imaginacyi. Zapał owionął głowy. Młodzi pisarze pochwycili geśl minionych wieków. Przewzano ich *romantykami*, bo nieznane piosnki nucili o Kozakach, rusałkach, dziadach

i strachach; a *Jan Sniadecki* biegłęjszy zapewne matematyk i astronom, niżeli krytyk, wołał jakoby to wszystko było wymysłem osowiałej metafizyki niemieckiej.

Tak samo prawie lekarz doświadczony, okazał się biegły w swą sztukę chorego za rękę bierze! Puls bije mocno, bije często, bije coraz mocniej i coraz częściej. Oczywiście gorączka! Idzie więc, siada, piszę receptę na ochłodę krwi wzburzonej. Lecz to nic nie pomaga. Niemoc głowę i myśl opanowała. Chory ma drżenie w sercu, i boleść na duszy. Trzeba innego lekarstwa i lekarza!

Ważną stetyczną, piśmienną, krytyczną sektarstwem oznajmiliśmy, po długim *far niente*, chęć wyrażenia ducha twórczego, łamiącego się z uprzedzeniem i przeciwnością; chęć objawienia naszych własnych wyobrażeń, pojęć. W Niemczech wyciągniono z filozofii ogólną, metafizyczną teorią piękności. Krytyka wsparta na tej teorii wszystko w odmiennym ukazała światło. Ta chwila nazawsze będzie pamiętna w dziejach europejskiej, poetyckiej literatury. Były to początki estetycznej emancypacji z pod przymusu francuzkich, cudzych pojęć. W to ugodził *Kazimierz Brodziński* rozprawami pisanymi ozdobnie, a z wielkim, jak podówczas wypadło umiarkowaniem, żeby nikogo nowością nie zrazić. On pierwszy, — jak powiedział *Michał Grabowski*, — zrobił w literaturze polskiej krok stanowczy, kro olbrzymi: bo od dowcipu do myśli, od sentymentalności do czucia, od sztuki do natury. Pierwszy *przeciwnie* poezją narodową, i we własnym ją sercu wynalazł. — Chcieliśmy mieć swoją imaginacją, swój rozsądek estetyczny, swoje uczucie, i własne fantastyczne zmyślenie. W tym istotna przyczyna, w tym główna podnieta sporu, który przyjął poezyi i sztuki, pożywających dotąd jej owoce w zgodzie i dobrém porozumieniu, na dwa rozerwał stronicznie. — Cobądź na podstawie historycznej nie jest założone, własną niemocą prędną, czy później upaść

musi; bo nie ma gruntu pod sobą. Poetycka literatura Stanisława Augusta, (niechaj jako kto chce wywyższa dowcip, talent wielu ówczesnych pisarzy) nie była ugruntowana na tój podstawie. Obcy zasiew wybujał; ale kłosy czeze były powiększėj części, a ziarno nie ważne, lekkie; reszta to w łodygę, to w nać się rozrosła. Następni tój niwy uprawiacze, tój samėj szkoły uczniowie, chwalcy tych samych przykładów, coraz dalėj doskonaląc, z początkiem dzisiejszego wieku, wierszopiski mechanizm, ulepszając naśladowstwo, coraz większego nieurodzaju, coraz biedniejszego zbioru czynili nadzieję. Nie polska, nie z zapadłych czasów rycerskich, ni z czasów szlacheckiego gminowładztwa, ale obca jakaś postać, zemdląła, omdlewająca, nie męska w tём ich rymotworstwie ukazała się.

Czegoż chcieli *romantycy* na ziemi Bolesława Chrobrego? Ojczystėj poezyi, związku z dawniejszą Polską, i rozumem starego czasu; nie mieli tego u siebie za rzecz dobrą i piękną, że wiarę pocziwych ojców cieśniły w literaturze poetyckiej swawolne pieśni, jakby cało-palenia ze czcią tylko bożków marmurowego *politeizmu*, nie przypadającego do miary z cywilizacją i duchem chrześcijańskiej Europy. Chcieli oni większėj zapewne z wspomnieniami zgody, mniemając że groby i rumowiska do życia należą, i jakoby samo zniszczenie było tylko atomem, jednym z pierwiastków rzeczywistości. Pokochali wyobrażenia i fantazyą gminu, dla tego, że w prostocie serca najwięcej poetyckiej prawdy, i szczéroty. Oni to chcieli obraz malarski roztrąconego jestestwa w zwierciadlanym pokazać przezroczu, żeby myśl prędką jak widzenie, a chęć dobrą, ognistą jak płomień, wzniecił, rozpalił. Nabijali romantycy w ucho ziomkom swoim, że przeminał czas, kiedy u nas pisano wiersze na cześć kształtnych stóp kobiecych, i misternie trefionych kędziorów. Do górnieszego wzniesli się lotu! Ten gdziein-

dziej zmierzał. Do wyższych dźwięków, do wspanialszych tonów, i piękniejszych akordów naciągnęli strunę. Zadrżała w ich rękę, zabrzmiała! Żałośnie i tęsknie ich pień, nakształt dumań samotnika, co po długiej niebytności, z burzy świata, z rozdartém sercem wraca do domu, nieznany, ledwie postrzeżony, a choć gada swoim o swoich rzeczach, nikt go jednak nie rozumie.

Czegoż chcieli polscy *klassycy*? Oni téj całej nie pojmowali zagadki. Mniemając jakoby nie czas jeszcze było myśleć po swojemu, i wszystko rozumieć swojém pojęciem, przestrzegali delikatności, zalecali poprawność smaku. Powielekroć śmieli się z złych wierszów i złej prozy niewyćwiczonego talentu. Chwalili co było godniejsze nagany, a gauili co zewszeczmiar na pochwałę zasługiwało.

Ale jak pierwsi, tak drudzy zacni ludzie; ja przynajmniej i jednych i drugich poważam, cenię. Nic nie szkodzi, że w téj materji nie było, i niemasz zgody kiedy w tylu innych rzeczach jedno chcieć i myśleć możemy. Mniejsza wreszcie o gołe nazwiska, których rzetelne znaczenie gdzieindziej w tém piśmie roztrząsnę. Dość, że przez czas niejaki za hasło dwóm przeciwnym służyły stronnictwom, których *dysputy*, czy potocznój, czy piśmiennój, zdaniem mojem, nikt osławiać nie powinien. — W całym toku téj sprawy nic nie było nagannego, niedopiero zdrożnego. Że się przeto rozchwiała, jak mgła przemijając, reputacya niektórych gładkich rymotwórców, nie wielka szkoda. Z innój strony, cieszyć się powinniśmy z tych pierwszych zatargów w rzeczach gustu, z tego estetycznego u nas *sektarstwa*; bo kiedy publiczność do takich rozrywek starań przykłada, już to samo oznacza nie mały postęp kultury. Jak w religii, tak i w literaturze pożyteczniejsze jest gorliwe, uporne nawet przy swojem obstawanie, od owéj na wszystko obojętności, która, jeżeli z obyczajów zmazanych jakową

skazą nie pochodzi, najczęściej bywa znakiem umysłowej niemocy. Wspomnijmy sobie, że przed niewielką laty nikt prawie u nas o literaturze nie pisał; a rzadko kto niósł jój wspomnienie choćby gruntowném tylko o jój wielkich i licznych potrzebach rozmyślaniem. Tę sprawę przezorności krytyków i filozofów ślepemu niemal zlecono trafowi; dzisiaj stała się ona sprawą narodu, rzeczą wszystkich chęci i wszystkich usiłowań, rozmów. Zważmy także: że entuzjazm w popieraniu wszelakich opinii, nie gwoli osobistój korzyści i pożytkowi prywatnemu, zawsze okazuje poczciwe serce i myśl wspaniałą. Zaiste, daleko lepiej rządzić się wątpliwém zdaniem w tój mierze, choćby nawet omylne było, jak żadnego nie mieć! Nasuwa się tu uwadze mojej przepis ateńskiego ustawodawcy, skazujący na grzywnę tych mieszkańców rzeczypospolitój, którzy w rozterkach domowych do żadnego stronnictwa należyć nie chcieli. — Prawdziwój harmonii tak potrzebna zgoda, jak waśń i rozstrojenie. Światła polemika pożytecznie służy piśmiennictwu.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Poeeci. — Architektonika idealna w systemie poetyckiej literatury polskiej. — Porównanie tej literatury z rzymską za Augusta Cezara.

Prędzej to może, łatwiej trafi do przekonania wielu czytelników moich co się rzekło we dwóch pierwszych rozdziałach, niżeli to co mam następnie powiedzieć o spółczesnych polskich poetach, sztukmistrzach. Słyszałem nieraz, jakoby się nie godziło pisać o *żyjących*. Dla czego? Pisać a mówić, toć wszystko jedno, zdaniem mojem. Niechaj tylko każdy tak pisze i mówi o swoim czasie, jakby żył cokolwiek później; o dawniejszych zaś czasach jakby się patrzył na takowe, a pewnie nie zbłądzi. Szczególniej atoli: niechaj pisze wedle przekonania i rozumienia swego! — Praktyka jest kamieniem probierskim ledwo nie wszystkich mniemań teoretycznych. Jakiemiż tworamii podparli swoją teorię stronnicy literatury poetyckiej z czasów *Stanisława Augusta*? Wszelka wiara, nawet poetycka, cudami się rozszerza i pomnaża. Któż uwierzy prorokom bez natchnienia? Prawodawstwo estetyczne potrzebuje *sankcyi* geniuszu. Gdzież są poetyckie dzieła *klassyków*? Któreż tak silnie zajęło umysły i tak silnie wpływa na opinią spółczesnych, żeby w tej mierze o lepszą iść mogło z celniejszymi tworamii naszych *romantyków*? Gładkie, sta-

ranne przekłady z obcych języków, ustawne podwodzenie mowy ku wytworności smaku, i delikatności wystąpienia, nie przechylały sporu na stronę naśladowstwa. Czasy tych zalet może na zawsze przeminęły. Teraz trudniej, niżeli przedtém, dostać u nas poetyckiej, pisarskiej sławy; a zalecanki krotofilne niczyjego nie przerobią rozumienia. Zmęźniało dzisiejsze pokolenie. Młodzież myśli, rozważa; i w smak jój nie idą przymilenia lekkiej Muzy nadsekwańskiej, której kupny uśmiech, toż najznaczniejszy pokaz łaski od lat wielu w samej Francyi staniały.

Wcale inaczej ma się rzecz co do tych poetów w literaturze ojczystej, których nie wiedzieć dla czego *romantykami* nazwano. Ci własną usilnością, własnymi mocują, wspierają wyznawaną przez siebie teorią sztuki; jeżeli tylko poecie, sztukmistrzowi teoretyczne rezonowanie na co się przydać może! Ich młoda, poetycka literatura jednym oto żartkim skokiem daleką przestrzeń ubiegła, — jak Alcyd dławiąc smoka w kolebce. Wyznaję to przed obliczem narodu z prawdziwą chlubą, z prawdziwem uczuciem dumy narodowej! — W tój, że tak powiem, w obec nas, przed naszymi oczami *improwowanej* literaturze wyraża się duch dziejów krajowych, duch stariej Polski. Jeszczeć nie stanęła u kresu swego; ale ciągle naprzód postępuje.

Któryż twór położy na czele tego systematu nowych, świetnych tworów inaginacyi?... Przedewszystkiém oddajmy cześć umarłemu. Poświęćmy kilka słów cieniom poety, który za dni swoich tak był skromny, i tak cichy, — tak natchniony, a tak mało znany rodakom, spółzemiautom. Urońmy łzę na jego grobowcu; bo wieszcz umarły jest patronem żywych.

Smutna powieść jego, jak dumy i spiewy tego kraju, gdzie się urodził. Ofiara nieumiejętnej krytyki, co ją przed kilką laty na zapomnienie skazała! — Publiczność polska nie zna *Maryi Malczeskiego*. Nie we wszystkich

ręku znajduje się to poema. Nie rozkupiono małej liczby odbitych exemplarzy. Przykład nieprawdy recenzentów, godny pamięci. *Marya Malczeskiego* jest jednym z najśliczniejszych i największych utworów tegoczesnej literatury polskiej, mimo wielu niepoprawnych wierszy, i twardego, jak się niektórym zdaje, wysłowienia — jakie ja przynajmniej, mojem zdaniem, za zaletę poczytuje. — „Gdybyśmy tylko mieli *Maryę i Grażynę*“ — rzekł *Michał Grabowski* w dzienniku *Ordyńca*, — „mielibyśmy już oryginalną literaturę.“ — Ten młody krytyk powiedział prawdę.

Napiszę o téj powieści co długo w myślach miałem — Działo się to na Ukrainie, podobno że za rządów Augusta III. Wojewoda, pan wielki, możny, bogaty, podniosłego serca, dumny z rodu i imienia, wysłał syna za granicę. Ten po drodze, przypadkiem, czy z rozmysłu, wstąpił do domu muij majetnego, lecz poczciwego szlachcica. Obaczył jego córkę. *Wacław* był młody; *Marya* była także młoda, piękna. Pokochał ją, i z nią się ożenił. Ojcu, panu Wojewodzie nie podobały się te śluby. Raziła arystokratę wielka, jak sądził, nierówność stanu; a prawdziwa imienia i dostatków. Przedsięwziął stargać święty węzeł; zrazu łagodną namową i upomnieniem ojcowskiem, a gdyby to nie pomogło, przemocą, gwałtem. Syn jednak żadną miarą nie chciał złamać poprzysiężonej wiary. Wojewoda widząc jego stałość, rozkazał kozakom porwać *Maryę* z domu jój ojca *Miecznika*, i utopić w pobliskim stawie.

Ta jest osnowa powieści *Malczeskiego*. Poetycki obraz dziwnego zdarzenia! Konturowy zarys, wielki pomysłany, prosty, jak przyzwoicie biegłemu sztukmistrzowi. Wykonanie tego planu śmiałe; każdy zaś domyślić się może, że przez *wykonanie* poematu nie rozumiem wierszy gładkich, potocznych.

Co za widok stawia autor przed oczy nasze! I jak właściwym godłem z *Jana Kochanowskiego* zagaił początek pierwszej pieśni:

Wszystko się dziwnie plecie
 Na tym tu biednym świecie
 A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić
 I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Rzeczywiście wszystko się w tej powieści splątało w gmatwaninę nieszczęścia nigdy nie odmotaną. Rzecz prosta i zawiła, naturalna i okropna, powszednia i głęboka jak przepaść. — Nie tak czyn krwawy, jako przyrządzenia mordercy wzbudzają zgrozę, kiedy przed odprawieniem swój roboty w skrytości myśli układa zabójstwo, potajemnie, milczkiem, z tyłu godząc. Daleki zamach ledwo nie straszniejszy od samego uderzenia. Nie śmierć, ale droga do śmierci, ale kręte do tego ścieżki, manowce sięją postrach. Wikła się myśl ludzka w tym labiryncie. Natenczas złowieszcze przecucie całą moc swoją odzyskuje na duszy naszej. To czajenie się uprzedzające skutek jest nakształt mroku, jest jako ciemna strona *fantazyi*. Jakaś opona, czarny kir zalega wtedy przestrzeń niezmierną między daleką chęcią, zawartą jeszcze w sercu, i jej dopełnieniem; między wyciągnięciem ręki i zadaniem ostatniego, śmiertelnego ciosu. Północna godzina *Szekspira!* Rodzicielka wielkich, tragicznych wrażeń! W tym mroku *imaginacyi*, za tą mglistą zasłoną *fantazyi* pojał *Malczeski* rzecz swego poematu. — Nie rozbieram krytycznie, kreślę tylko co czułem, co mi się zdawało przy częstém odczytywaniu tej powieści.

Tajemnica osłania zamiary wojewody. Jego samego prawie nie widać na scenie. Poeta stawia mordercę w głębi. Raz tylko jeden ukazał go w komnacie starego zamku. *Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy.* — Była noc; nie spał, chodził w jój ciemnościach. *Duszną*

wysoka komnata! Łatwo zgadnąć dla czego? — Otwiera okno, — patrzy na swoje hufce, rozwinięte znaki, co się do nakazanej wyprawy zbierały. Rozwidniło się nad rankiem; słuchał budzącej trąby:

„Prychają ręce konie, brzęczą w ruchu zbroje
Szumią skrzydła husarzy, chcą lecieć na boje.
Dla nich wstające słońce w różowej pościeli
Blaskiem złotych warkoczy widokres weseli,
I wznosząc świetne czoło, najpierwszém spojrzeniem
W ślnącej stali swe wdzięki postrzega z zdziwieniem;
Dla nich pachnący wietrzyk, co swój oddech świeży
Dmucha na włosy dziewic, i pióra rycerzy;
Dla nich gwar małych ptasząt, w żywej słodkiej nocy,
Co z mokrych rosą dzióbków wrywa uczucie:
Nie dla niego — on nie chciał na widoku zostać.
W nękających cieniach zamku zanurzał swą postać,
Jak te straszące mary, które bojaźń nasza
Widzi w bezsennéj noey — poranek rozprasza.“

Świt różanej jutrzemki, zaranna jasność źle zapewne przypada do miary z farbą czarnéj myśli. Nie mógł na widoku zostać! Któż inny jeźli nie poeta z użyczenia, i daru nieba, mógł pochwyć to przeciwieństwo, jakie zbrodnia wie dzie z światłem dziennem. Te szczególne rysy charakteryzują to co zowiemy *mądrością* artysty. — Tatarzy pustoszyli wówczas Ukrainę. Wojewoda postanowił korzystać z téj okoliczności. Ale jak podejść syna, kochanka, męża *Maryi*? Jak jój ojca oddalić z domu? Wysłał gońca z listem do Miecznika. Uprzejmymi słowy oznajmuje, że dawną urazę zatarł niepamięcią. Żałuje prawie za grzechy; synowę zaprasza do domu. Więcej jeszcze: — „takiego szczęścia“ — pisze Wojewoda, — „syn mój nie wart; niechaj w wojennéj potrzebie dobija się pierwéj chwały. Właśnie oto Tatarzy grasują w tych okolicach; niechaj walczy w obronie wdzięków swéj żony.“

— Ale ani pół słowa prawdy nie było w tych *cukrowych* wyrazach. Blichtr tylko na omamienie starego. Owe hufce miały wstrzymać zapędy pogańskiej dziczy, — miały oddalić Miecznika z cichego domku. Albowiem przeczuwał pan Wojewoda, że Miecznik tak ważnej sprawy nie poruczy niedoświadczonemu młokosowi. Przewidywał, że starzec, Polak uniosłszy się rycerskim zapałem, zostawi *Maryą* w domu, — samą, bez pomocy, bez nadziei! Z takiem pismem wyprawiwszy kozaka, tuli syna, z którym dotąd zostawał w roździele niechęci przez pamięć na dawniejszą zwadę, że woli jego nie chciał być posłuszny. Rozmawia z nim teraz łaskawie; i pieści się z nim, jakby dla powetowania, niezwykłą rodzicielskiej czułości szczodrotą, najboleśniejszego ciosu, jaki nań wymierzył w zamyśle nieludzkiego okrucieństwa, depcącym wszystkie prawa, i wszystkie zrywającym związki. Ja w tém prowadzeniu rzeczy, w tém wywikłaniu z początków treści poematu widzę najwyższe misterstwo, albo, jak się zwykł wyrażać Kamiński, *umnictwo* Malczeskiego. Wojewoda dawał ucztę na zamku w wigilią zgonu *Maryi*; do późnej nocy trwała ochota; libacye wina poprzedzić miały taniec tatarski, — i spełnienie najstraszniejszej zbrodni. *Malczeski* powiada, „że tego wieczoru twarze ostre, malowane portrety przodków Wojewody wiszące na ścianach komnat godowych:

„Zdały się iskrzyć nieraz martwemi oczami

I śmiać się do pijących — i ruszać wąsami.“

W tém nawet wierny charakterowi narodowemu! Odtąd Wojewowa nazawsze znika z sceny poematu. — Cóż Miecznik? Pod rozsochatemi lipami domowej zagrody koił tymczasem jako mógł urazę we własnym sercu. Jego wejrzenie pochmurne, to dąsa się, to unosi burzliwośćią młodszych lat, *peten niechęci, gniewu*, — a może *i wzgardy!* Przewodzenie bucznego pana, niedola, miłość córki, jój wiek młody, bladeść na jój licu, uczucie

własnej godności, wszystko to boleśnie go dręczy. „Wolałby dzwigać więzy u brodacza, Turka, wolałby umrzeć w ciemnej turmie, niżeli spokojnie patrzeć na te smutne śluby:

„Alboż to naszej Polsce braknie na młodzieńcach,
 Co to pannom umięją wyskoczyć w rumieńcach
 I tak jak dawniej było — rycerskie kolano,
 Raz w życiu tylko ugiąć — po wianek, za wiano!
 Nie Maryo! Nie trza wzdychać — twego nie obrażam
 Mężny jest i cnotliwy — wiesz, że go poważam:
 Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi —
 A kiedy łzami Maryi swoje serce żywi,
 Ha! toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem
 I mignie mu przed oczy święconym obrazkiem,
 Taż to u naszej szlachty dawne przywileje,
 Skrzesać ognia w pałasze, gdy przyjaźń ściemnieje.
 Przyjaźń? A nasze hufy nie z sobą na sejmie;
 A nasze *veto* krzyczy jeszcze i w rozejmie!
 I gdyby kraju napaść, z Hetmanem umowy,
 Nie rzuciły mnie wówczas Szwedowi na głowy,
 I gdyby twoja matka, (daj jej niebo Panie!)
 W swe rańtuchy nie skryła młodych serc kochanie.
 A niewieścim w błyskotach, tajemnicach smakiem
 Nie zawarła tych związków z swych matron orszakiem —
 Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować:
 Anibym jego złości dozwolił grasować.
 Bo cóż to ja zastałem? Żonę zmiotła kosa —
 A córę — szczep jedyny — z łez polewa rosa!
 Dla stariej karabeli zbyt to wielkie dziwy,
 Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy.
 Alboż choć raz do serca me dziecię przytulił?
 Alboż młodością — wdziękiem — choć raz się rozczulił
 Nie — od domu, imienia, ze wzgardą odgania,
 I teraz w Rzymie szuka szlubów rozwiązania!

O! co tak to najlepiej! i mnie to rozwiąże —
 Wysunie rażna młodzież, i ja za nią zdążę;
 Choć może mniejsi w liczbie, Boga w pomoc wezwą:
 To w końcu tój tam waśni — dzwony się odezwą!“

Jakie rysy, jaki charakter, jakie wyrażenia? *Malczeski* podniósł do *idealu* historyczną postać. *Idealizuje*, cechą poetycką znaczy popularne wysłowienie, — *idealizuje* wszystkie szczegóły, wszystkie zewnętrzne narodowe znaki w mowie, stroju. On pierwszy szatę polskiego szlachcica — *żupan*, *kontusz*, tóż broń jego — *kord*, *karabelę* do poetyckiej wzniosł godności*), i w poetyckim pokazał świetle. Nie *Podstoli* Krasickiego jak mniemano, ale *Miecznik* Malczeskiego jest, zdaniem mojem, tą poetycką figurą w literaturze naszej, która starego, polskiego szlachcica wyobraża- *Podstoli* *senzat*, może gaduła; wreszcie jest tylko rolnikiem, gospodarzem. Ale *Miecznik* to rycerz-ziemianin! Już te czasy przemieły; wszystko się około nas zmieniło. Co innego teraz mamy w myśli, w sercu, w staraniu. Jakże wielka zasługa poety! Postrzega w dali kształt historyczny — niknący, ledwo nie w nic się rozwiewający. Korzysta z chwili i nie daje się w niwecz obrócić pięknej pamiętce! Za sprawą jego, co przepadło w historii, nowe poetyckie życie odzyskuje. Poezya drugim jest życia okresem, drugą koleją bytu. Jest tylko wyższą prawdą! Wszystko ziemianieje w powieści *Malczeskiego*.

Przybycie kozaka z listem Wojewody smutek *Maryi* odmieniło w niespodzianą radość. *Miecznik* czyta i wzdziwić się temu nie może! Opatrzność w tój chwili zsyła nań błyskawicę podejrzenia, — ale ten promień dobroci

*) Tę uwagę czyni *Michał Grabowski* jeden z najznamienitszych krytyków naszych w rękopiśmie nie wydanem, który mnie nadesłać raczył. Ciekawe są i zajmujące postrzeżenia jego co do *Maryi*, *Walenroda* i *Zamku Kaniowskiego*.

bożej, upominającej przestrzeganiem błędnego człowieka, żeby się miał na ostrożności, nagle ściemniał w sercu poczciwego szlachcica. Zdawało mu się, że wojewoda jakieś matactwo, kabałę stroi. Lecz sędziwy Polak nie przenikał zdrady, i nie znał jój krzywego podejścia z własnego doświadczenia. Zaufał słodkim wyrazom. Znikły natychmiast wszelka trwoga, wątpliwość! Serdecznie wita zięcia, który wkrótce zdążył z zbrojnym hucem po przybyciu wspomnionego Kozaka. Co żywo krząta się; bierze broje, rozdaje oręż ludziom, poleca *Maryi*, żeby suto zastawiła stół na uczczenie gościa. „Nie szczędź korzeni, pieprzu, bobków, imbiru, cykaty, szafranu, bo ten piękny rycerz w bakaliach chowany. O winie sam pomyśl.“ — A tak kilka przynętnych wyrazów chytrości, jeden uśmiech na twarzy *Maryi*, obecność *Wacława*, — rozżalonego utuliły starca, zwojowały burzliwość skrzywdzonego ziemianina, natchnęły męstwem duszę rycerza, Polaka! Nie także było w istnój prawdzie? Nie szczeryż to obraz dawnych mieszkańców téj ziemi, kiedy przez tyle set lat na strażnicy Europy, ustawnemi harcami z łupieskim pogaństwem własną odpierali piersią spustoszenie od chrześcijaństwa i cywilizacyi? Oni zapalczywość jako charta zawsze mieli na smyczy, gdy wzywała spólna potrzeba gniew i uniesienie zemsty porażając z łatwością, myślą i ciałem wychodząc z prywatnych niesnasek. Cała Polska, cała przeszłość nasza sztuką czarodziejską wzięła życie z rąk wielkiego artysty, autora tego poematu. Wszystko się tam zeszło: nieukrócona duma arystokracji, zdrożne możnowładztwo z staroświecką cnotą i uczciwą godnością szlachcica pod skromną strzechą słomianą, toż rycerskie męstwo i charakter światowy, po wszystkie czasy daleko słynny dziejów polskich wedle tego, żeśmy stawili dzielny odpór najazdom dziczy, która spustoszeniem oświacie europejskiej zagrażała.

— Nie jestem rozbieraczem płodów cudzego dowcipu;

kreślę tylko ogólnemi wyrazami obraz naszej dzisiejszej poetyckiej literatury, gdzie się znamienitym talentem, zaletnymi tworcami i nadobnym misterstwem kilku pisarzy, ziomek naszych, jakby z wezwania wszystkich innych braci i spół-ziemian, jakby przez reprezentacyą wyrażać zaczynają władze i siły powszechnego narodowego umysłu, jakoto: zwierciadlana *imaginacya*, żywa i mocna *fantazyja*, duch, natchnienie. Nie mały to postęp od czasu kiedyśmy najpierw rzymskich, a potem francuzkich naśladowali rymotwórców! Charakter, dążność, prędkie wywijanie się tego systematu z niemowlęctwa unoszą mnie chlubą ojczystego zaszczytu, aczkolwiek piętno rodowitości na dzisiejszej poezyi naszej nie jest jeszcze tak ustalone, iżby o tém godziło się mówić z *precyzyą* właściwą krytykom, roztrząsającym systemata poetyckie zapadłych wieków. Nie strzymywałbym nawet tak długo uwagi czytelnika nad *Maryą Malczeskiego*, gdyby mi nie szło o zadanie nieprawdy tej krytyce, która przed kilką laty swawolnie szerząc się i brojąc w piśmiennictwie stołeczném, wspomniane dzieło w tak omylném świetle ukazała publiczności. Przywróćmy cześć rzetelnej zasłudze, — żeby nie powiedzieli następcy nasi, że talent genialny jako cień przeszedł koło nas, a słowa jego razem z dźwiękiem ulatując, w powietrzu się rozprószyły. *Malczeski* był prawdziwym artystą. Rzecz swoją umiejętnie, rozważnie, głęboko, mądrze prowadzi. Rzuca rys za rysem, kształci, maluje porządek, pasmo wydarzeń wiąże w całość, wszystko usuwając z przed oczu naszych, wszystko tym powiewnym, lekkim zasłaniając całunem, tą przezroczystą astralną siatką, która się w poezyi nigdy podobać nie przestanie. Tą ponętą mocnego uroku podbija, ciągnie ku sobie czytelnika. Powiedziałem już w jakim świetle pojął i wykonał myśl swego poematu. Nie jest to brzask zaranny, ale zmierzch dnia chmurzącego się ku wieczno-

rowi dzikiéj; ponurój, melancholijnój fantazyi. Stepowe pola, roztworzyste błonia Ukrainy godne były takiego poety! Kończy téż obie dwie pieśni wyrazami:

„I pusto, smutno, tęszno, jak gdy szczęście minie.

I pusto, smutno, tęszno w bujnój Ukrainie.“

Czyn gwałtowny niewidoma odprawuje ręka: Gdy *Wacław* ruszył z *Miecznikiem* i zbrojną drużyną na harc tatarski, sama śliczna *Marya* bez straży została w opuszczonym domku. Któż utyskuje przed wrotami téj zagrody? Kto płacze na świat? — Anioł, czy zły duch, czy człowiek? Poeta wprowadza tajemnicze jestestwo; daje mu ludzką postać; ale boleść jego, ale trwożne przeczucie, rozpacz na jego myśli nie są z tego świata. To zjawienie zdaje się byđź nakształt światła świętego *Elma*, zwykle poprzedzającego rozerwanie nawalnej, gradowej burzy. Stary sługa rozmawiał z ową postacią; nic jednak nie rozumiał. Obróciwszy wzrok w inną stronę, postrzega maski, larwy zbliżające się w różnofarbnych strojach z wraskiem, krzykiem, śpiewem karnawałowej, zapustnej ochoty. Byli to wykonawcy krwawego zlecenia Wojewody. Pieśń ich dzika, liryczna, trwożna i pusta, okropna i wesoła, téż same uczucia wzbudza w sercu naszém. Jest to najgenialniejszy pomysł poematu:

1.

„Czy znasz weneckie zapusty?

I w noc i we dnie

Wesołe, szalone, przednie;

Maska twarz kryje, a kto się pyta

O sprawy czyje, tego przywita

Wrzawa, śmiech pusty.

Żywo, radośnie

Skrycie, miłośnie,

Staruszek Doż, Arlekin młody,

Dziewczyna hoża, szuka osłody;

Matrony, księżą, oszusty
 Swobody;
 A kryte łodzie
 Czernią na wodzie;
 Wrzawa, śmiech pusty?
 Czy znasz weneckie zapusty?

2.

My jedziem sobie kulikiem,
 I w noc, i we dnie
 Wesole, szalone przednie;
 Maską nas kryje — a kto chce wiedzieć
 Skąd my i czyje, to odpowiedzieć
 Śmiechem i krzykiem.
 Szczera ochota
 Otwiera wrota!
 Bo Krakowianki, i pielgrzym stary,
 Żydzi, Cyganki, uderzą w pary,
 Wróżki, Diabli, nie oszusty
 W puchary:
 Lecim saniami;
 I jadą z nami
 Wrzawa śmiech pusty;
 Czy znasz ty *polskie zapusty?*

— „Ale tu wejść nie można“ — odpowiedział stary dworzanin, świadomy polskiego *kulików* obyczaju, nie raz może praktykowanego w domu *Miecznika*. „*Teraz nie zapusty, pan Miecznik na Tatarach.*“ Chciał wstrzymać śmiałych przychodźców; lecz na próżno. Jemu samemu zawróciło się w głowie, gdy te dziwne postacie, cyganki, wróżki, dyabły przed jego oczyma tańcować, skakać, płaszać zaczęły. Poeta mówi, że myśl tego starca także tańcowała. Puścił przeto maski do dworu, — otworzył drzwi przed mordercami. — Zwycięzki *Wacław*

wraca w nocy do domu żony; teść został jeszcze na polowisku, żeby, jako mówił: „*dojrzec objazdzki*“ — „a jutro skoro świt, brzęknę wam na dobry dzień witaném kopytem.“ — Powrót *Wacława* jest jednym z najcudowniejszych ustępów tej zachwycającej, czarującej powieści:

Powstał z pospiechem *Wacław*, i dawnym zwyczajem
 Uściśnął starą rękę — co jemu nawzajem
 Szorstkie, silne, lecz szczerze oddała ściśnienie;
 I już bystry koń z jeźdźcem przesadza drzew cienie —
 A stary *Miecznik* wziął się do zwykłych pacierzy —
 O! jak ślicznie przez pole młody *Wacław* bieży!
 Srebrny połysk na włosach, na piórach, a w zbroi
 Twarz ogromna xiężycą, malutka się dwoi.
 O! jak ślicznie wśród ciszy w naturze rozlanéj
 Lecieć z stęschnioném sercem do swojej kochanéj!
 I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią;
 I wszystkie je wyścigać nieścignioną chęcią!
 Wtedy to słodkie tony brzmiące przerywanie
 Śpiew słowika, szmer wody, i żab skrzekotanie
 W dziękij, tęsknij, i żywéj i tkliwéj muzyce,
 Mówią ocknionym czuciom swoje tajemnice;
 Wtedy to luby zapach co z kwiatów ulata,
 Lekkiém tchnieniem rozkoszy mgłę trosków odmiata,
 I dusza rozjaśniona, jakby wyjście miała
 W niebiosą swego twórcy, z kajdan swego ciała;
 Wtedy matką natura — wszystko z człkiem dzieli:
 I wszystko się uśmiecha, i wszystko weseli:
 Wtedy w schowanej szabli uraz zapomnienie,
 W pyszném spojrzeniu dobroć, w ustach przebaczenie.

Ta noc, ten xiężyc, to zwycięstwo nad Tatarami, to uściśnienie starego *Miecznika*, do dumanie w takiej porze, w takiej pewności czytelnika, że rycerz w domu trunéj i pogrzeb zastanie, — ileż w tém wszystkim smutku?

Co tu żalości, — a najbardziej ile efektu malarskiego, dramatycznego, poetyckiego!!

I tak to leciał Wacław — błogi, gdyby nagle
Piorun rozdarł w tej chwili jego życia żagle,
Boby nim wicher świata miotać nie był w sile,
Chybaby szumiał wściekły po zimnej mogile.

I tak to mijał stępy — lecz świetne marzenie,
Co niém ęmi dzieci ziemi szczęścia upojenie,
Oh! zbyt krótkie! Jak widmo staje przypomnienie;
I budzi martwą przeszłość, i w wonne kotary
Szepczą dreszcz i niepokój zgromadzone mary.

„Tak ją mdłą, słabą widział; a wszak bez obrony
„Wiednie pieszczotny powój — a wszak bez osłony
„Nie trwa tu słodki owoc — i cóż? ledwo wrócił,
„Ujrzał swój raj stracony, i zaraz porzucił!
„Dla czego? dla czeźej sławy, której blask nie waży
„Jednego uśmiechnienia ukochanej twarzy:
„Gdybyż przynajmniej w los swój wierzyć miał powody;
„Lecz ledwo burza przeszła, już pewny pogody
„Niepomny jak to gorzko czas zgryzotą liczyć,
„Płochy, wydarł się szczęściu co mógł odziedziczyć.“

Ah! dalej przedźj! lekko przez chwasty, i rowy
Sunie koń wyciągnięty — a brzękiem podkowy,
Hukiem pędu, błyszczącą postacią rycerza
Ocknionego wieśniaka pierwszą myśl uderza;
„Ha! Ha!“ — nim otarł oczy i serca mógł dowieść,
Znikł rycerz, i zostawił o upiorach powieść.
I tak to leciał Wacław — szczęśliwy, trwożny razem,
Śliczny, straszny — był wiernym śmiertelnych obrazem.

Nikt nie wyszedł na spotkanie drogiego gościa w domu *Maryi*. Nikt nie odebrał rżącego, spienionego konia. Zakołatał; nikt mu nie otwiera, nic nie przyrywa głębokiej cichości. „Musi być bardzo późno“ — pomyślił Wacław. Przy świetle księżyca błąka się około domu.

Naostatek postrzega ruch w sypialnej komnacie. Przez otwarte widzi okno lekką zasłonę, którą wiatr to wypychał z pokoju, to znowu wciągał. Niecierpliwy skacze przez to okno, i znajduje umarłą kobietę w żałobnej odzieży. Owa postać dwuznaczna uwiadamia rycerza o tém co się stało.

Lecz któż był ten człek mały z okiem zapłakaném?

Czy duchem jego losu? Aniołem? Szatanem?

Czy szczerze drażni męki, lub smutek z nim dzieli?

Niewiem — obiał rycerza i w cwał polecieli.

Taka jest powieść *Malczeskiego* o podniosłym Wojewodzie, o pięknej Maryi, i zacnym, starym Mieczniku. Ze względu mistrzowskiego prowadzenia rzeczy porównać ją można z sztuką jaką doskonałego mechanika, gdzie się wszystko odbywa skutkiem poruszeń niewidzialnych kółek, żelazek, sprężyn. Umieściłem to poema na czele nowszych dzieł ojczystej poezyi, nie iżby w mniemaniu mojem przodek przed niemi trzymało, — bo taki sąd byłby z wielu miar płochy i nieopatrny, bo każde dzieło uważać trzeba jako oddzielną całość, i cenić bez naciągania; — ale szczególnie z téj przyczyny, że to jest twór młodego poety, który już zeszedł z tego świata, a którego geniuszu dawniejsza krytyka recenzentów stolicy nie pojmowała. Mogłżem właściwiej postąpić sobie? Nikomu wreszcie nie narzucam tego zdania, sądzę jednak, że niemasz dzieła w dzisiejszój poetyckiej literaturze polskiej, któreby tę powieść *Malczeskiego* przechodziło bądź wielkością układu, bądź ustawicznością ducha, bądź nakoniec umiejętną, szykowną zręcznością prawdziwie artystowskiej *expozycji*. — Nie liczny był poczet osób, składających żałobny orszak na pogrzebie *Malczeskiego*. Nie mówiono wtenczas: „umarł wielki poeta.“ Przyjaciele żalowali tylko przyjaciela, — geniusz przemknął się nieznanym, jak

cień bez szelestu! Połóżmy mu teraz na ustroniu kamień z skromnym napisem: „*autorowi Maryi.*“

Dzieła innych poetów polskich ledwo nie jednozgodnie ceni światlejsza publiczność; we wszystkich znajdują się ręku. Króćej téż o nich mówić będę. Dwa szczególnie charaktery wyraźniej przebijają się w systemie tych nowych tworów poetyckich. Z jednej strony malownictwo historyczne, kształty, figury, grupy, obyczaje, zdarzenia. Poezja ta zajmuje całą przestrzeń, na którą padł i rozpostarł się cień minionych czasów. Z drugiej zaś strony: wewnętrzny duch i uniesienie myśli. Tamtę nazywam poezją realną, *objektową*; tę poezją duszy. Pod tym dwowistym względem uważać można usposobienie każdego niemal z dzisiejszych poetów polskich. Te obadwa charaktery mniej więcej wydatne, postrzegać się dają w dziełach *Adama Mickiewicza*, i *Józefa Bohdana Zaleskiego*; toż samo w poezji *Woronicza*, *Seweryna Goszczyńskiego*, i *Kaz. Brodzińskiego*, — toż samo u każdego poety.

Atoli te dwa najgłówniejsze i najpowszechniejsze względy teoryi, bynajmniej nie zacierają różnicy zachodzącej między artystami, ani pierwotnej ich dzieł właściwości. Niechaj także nikt nie mniema opaczniem rozumieniem moich wyrazów, jakoby miał ustanawiać dwie odrębne szkoły. Daleki jestem od tego. Jakkolwiek ów rozdział wielkie zajmuje przestwory, bo w jednym mieści się świat zewnętrzny z punktu przeszłości i terażniejszości, z punktu historycznego, — *poezja obiektowa*, postaciowa, *plastyczna*, *realna*; — a w drugim cały świat duszy, świat poezji *psychycznej*. zdaje mi się jednak, że drogi genialnych talentów są i mogą być jeszcze liczniejsze, i nigdy nie zbadane; że natchnienie poety może być daleko rozmaitsze. Naprzód to wszystko przewidzieć i określić filozoficznymi *definicjami*, albo *dyalektycznymi formułami*, w mojej mocy

nie jest! W sztuce niemasz nic *konwencyjonalnego*. Niemasz na świecie żadnego w tym względzie prawodawstwa, żadnych przepisów *a priori*, czy *posteriori*; żadnej szkoły, żadnej teorii. Są to wszystko wymysły krytyki technącej obskurantyzmem estetycznym. Jak białość wzrok ludzki rozbija, tak się na drobne atomy rozbijają wrażenia, kiedy je ujmujemy w zimny opis, albo podciągamy pod naukowe pojęcie. Dzielić co jest jednem technieniem, rozrywać co tylko w duchu żyje, może być coś niepoetyczniejszego, a nawet i mniej filozoficznego? Wyobrażenie z teoretycznych wyciągnięte rozumowań jest stateczne, nieruchome i nieodmienne; a sztuka ustawnie w ruchu, w życiu, w odmianach! Płyn powietrzny oblewający ziemiokrag nie jest tak powiewny, ruchowy, i tak swobodnie na wszystkie strony się nie roznosi, jak myśl poety. Misterstwo jego przyrównaćby można do instrumentu wydającego niepoliczone dźwięki, — od ptasiego świegotania do łoskotu burzy, od cichych westchnień do ogromienia i zgrozy. Jest to w rzeczy samój instrument nieskończoności. Chcielibyście wynaleść abecadło i gramatykę dla poezyi, albo naukę rytmu i melodyi, teorię kombinacji dla tonów, którym nigdy i miary i końca nie będzie? Umarłego poetę trudno sprawiedliwie ocenić, albo wtenczas, kiedy moc jego za życia zemdleje w zlodowaciałej starości. A cóż dopiero żywego sztukmistrza, w sile wieku i pełności lat męskich!! Czyż nie ma on prawa zawołać na swego krytyka: — „nie zakresłaj mi sfery, nie opisuj mnie, jakobym się w pewnej zachowywał mierze, nie mów, że jestem taki, a nie inny, bo się omylisz!“ — Chcieć uczynić charakterystykę takiego poety, a pisać na bieżącej wodzie, to prawie wszystko jedno. Jak litery na piasku rozsuwają się, jak się rozplywają w wodzie, jako się dźwięk na powietrzu rozprasza, tak są marne, tak znikome pojęcia krytyki, stawiającej karciane

pałacyki teorii, i chcącój samowładnie podług wyobrażeń téj teorii panować w udzielnój krainie sztukmistrzów. — Potrzebna jest filozoficzna teoria kunsztu; cale jednak inną powinność sprawuje! Mając sobie dane pewne systema dzieł poetyckich rozważa ich charaktery, wdzięk, moc, sworność, przywary, i usterki; rozważa to wszystko z pewnych względów, wśród pewnych okoliczności, ale nie w celu wyciągnięcia z tego prawideł empirycznych, któreby rządziły natchnieniem innych poetów. *Rządzić natchnieniem!* Jakaż w tém sprzeczność i niezgoda! *Poezya wzorowa!* jak pospolicie u nas mówią. Jakże omylną myśl zawiera to wysłowienie! Myśl pewnej modły i linii dla talentu, myśl naśladowstwa; bo co tylko jest *wzorowe*, już tém samém ma bydz naśladowane. Myśl zabijającą pierwotne zdolności, szkodliwą dla najpiękniejszych usposobień! Kto powie poezya *wzorowa*, już tém samém okazuje, iż nie rozumie, co jest poezya. Niemasz poezyi wzorowój. Jest szkoła, ale dla krytyków nie dla poetów; dla miłośników sztuki, nie dla sztukmistrzów; dla czytelników, nie dla pisarzy. — Wchodząc do gabinetu naturalnego widzimy rozmaite podziały, karteczki, napisy, exemplarze wypchane słomą, puchem, śmieciami, plewą, — cale widzimy systema zoologiczne, ornitograficzne, anatomiczne, skielety, kościotrupy: — czyż natura podziałała to wszystko wedle teorii, systematu i działu akademicznego? Takim gabinetem martwych istot, taką biblioteką nieżywych *exemplarzy*, byłyby księgi estetyków, nieznających swego powołania.

Wytknieniem dwóch wzmiankowanych charakterów nie ograniczam imaginacyi, ani po dyktatorsku narzucam się za nauczyciela i mistrza artystom, rodakom moim. Podział ten służy mi tylko do *wykreślenia idealnój*, że tak powiem, *architektoniki efektów poetyckich*, w systemie ogólném terażniejszój artystowskiej literatury pol-

skiej, uważanej we względzie filozoficznym *reflexyi* myślącego narodu. Dwa są pierwiastki, niejako dwa *atomy* poezyi: *realizm i duch*. Tam rzeczy zewnętrzne, natura, społeczność, historia; tu myśl, *idea*. Albo poeta o własnej zapomina *indywidualności*, o swój jednostce, o swoim „ja,” i odjawszy się samemu sobie, wszystkłą chęć swoją i starania kładzie w to jedynie, ażeby twory jego miały tę rzeczywistość, tę prawdziwość, tę realność niezgruntowaną, to istnienie odrębne i niezależne jakie mają twory w przyrodzeniu; albo samego siebie z uczuć swoich, i istoty jestestwa swego snuje, wynurza i jest zawsze samym sobą. W pierwszym przypadku poeta jest *realny*, w drugim *idealny*. Częstokroć bydź może i *realny* i *idealny* zarazem. Wszelki *realizm* zmierza do postaci, do form statecznych, determinowanych, określonych, widomych. Taka jest poezya historyczna. Takim poetą jest *Szekspir, Gete, Bohdan Zaleski*. Ich jednostka, ich *indywidualność* rozprasza się, niknie, ginie w ich utworach. Sztukmistrz kryje się i chowa w swoim dziele tak, że nikt nie wie: kto on jest, jakie jego uczucia, jaka myśl, jakie zdanie? Nikt nawet tego zgadnąć nie może! — Któż naprzykład wyrozumie *indywidualny* charakter *Szekspira*, jako człowieka, z charakteru i roli *Hamleta*, który wszystkie postęпки i mowy swoje zafarbował myślą i chęcią wiecznego zatracenia duszy stryja, — *Hamleta*, którego loika bardziej przeraża, niżeli zbrodnia króla, który jest potworem mimo całej mądrości i filozofii swojej! Któż tego samego *Szekspira* wyrozumie z charakteru Julii, albo Ofelii! Taki poeta nie ma *excentrycznego* punktu za granicami świata i natury, z któregooby na nią patrzył, a potem mędrkował, filozofował; ale jest umieszczon wewnątrz niej samój. Nie zbliża się ku niej *reflexyą*, rozumowaniem, ale w niej żyje, — jój życiem żyją jego twory. To rozumiem przez *realizm* poetycki. Wy-

razy *postaciowy, realny, snycerski, plastyczny, rzeczywisty* w jedném znaczeniu używam. Przeciwnie poeta filozofujący, rozumujący, idealista, *samego siebie* zawsze przed oczy nasze stawia i wszystko tynkuje farbą swęj *indywidualności*, wszystko ciągnie do swęj *jednostki*, do swego „ja.“ Takim poetą jest *Bayron, Jan Jakób Russo, Szyller, Mickiewicz*. Ich poezya *subjektowa*; ich kształty mniej określone, coraz bardziej oddalają się od *statuy*, od posągu i rozwiewają w nie przed obliczem naszym, jak duchy na chwilę jawiące się w cieleśnej postaci, jak niknące cienie. Wszystko u nich zmierza do *tonu*, do muzykalności. Muzyka służy ich *fantazyi*, tak jak *figury* marmurowe poetyckiemu służą realizmowi. Muzykalne jest misterstwo poetów filozofujących, dumających. — Krytyka filozoficzna powinna oznaczyć jaki zachodzi stosunek w systemie poetyckiej literatury, między tym *realizmem* i *idealizmem*, między *muzykalnością* i *snycerstwem*, między *śpiewem* i *foremną postacią, kształtem*, — temi ostatecznymi kończynami poetyckiego świata. Wszystko to widzieć trzeba z punktu optycznego fantazyi, — i z tego punktu wykreślać linije architektoniki poetyckich *effektów*.

Podróźni opisują napowietrzne omamiania w Egipcie i na pustyni libijskiej. Sławne są te fenomena! Bywa nieraz w Egipcie, że z rana i ku wieczorowi za wzniesieniem się lub zejściem słońca dalekie płaszczyzny, wiejskie osady, cały krajobraz na około inny kształt, niżeli zwykle, przybiera. Okolica wydaje się natenczas jak obszerne jezioro, — wioski zdają się być wyspami. Płyn szklany, przezroczysty widokres oblewa, gdzie się rzeczy ziemskie dwoją, troją. Po kilka godzin trwa to jawisko. — Czyż duch ludzki na swoim widokresie, w swoim powietrzokregu, takich widzeń nie miewa? Czyż w tęg optyce *fantazyi* nie postrzegamy niekiedy tego wszystkiego, co się koło nas dzieje w naturze, w spo-

łeczności? A poeta liryk, melancholijny rozmyślnacz, filozof czyż nie mamy nas, nie zachwyca tą czarodziejską, napowietrzną, albo gdy wzrok swój obróci w przeciwną stronę, to i podziemną władą fantazyi naszego ducha? Znam takiego poetę, rodaka. Znamy go wszyscy. Przebiegnę jego powieść smutniejszą jeszcze i boleśniej rozdzierającą duszę, niżeli *Maryja* Malczewskiego. — Nie wiedzieć, gdzie się to działo; na tém téż nic nie zależy. Pustelnik, ksiądz, dzieci, — otoż osoby, którym autor porучzył główne role. Niepoczesny, cichy domek na wiejskiem ustroniu, — to scena jego poematu. Nie jest to jednak sielanka. Pozbierawszy rozrzucone ułamki tego utworu możnaby je złożyć w całość dość naturalną prostą. Młodzieniec tkliwy, namiętny, z żywą, ognistą imaginacją, — piękna kobieta, lecz próżna, wietrznica, bo komu innemu swą rękę oddała, blask i mienie przenosząc nad szczęście kochanki, — w końcu rozpacz, samobójstwo, skutki zawiedzionej, płomienistej miłości: — taka jest treść czwartej części *Dziadów*. A zatem także rozerwanie świętych związków, choć nie ślubowanych przed ołtarzem, i także, jak w *Maryji*, zgwałcenie praw natury. Tę rzecz związał poeta z obrządkiem sięgającym pogańskich czasów, który pospólstwo wielu okolic Litwy, Pruss i Kurlandyi obchodziło potajemnie na dniu zadusznym ku czci zmarłych, w pustkach, kaplicach, zrujnowanych cerkwiach. — Uroczystość ta zależała na przyzywaniu duchów. Guślarz, czy gęślarz sprawował czarnoksiężki obowiązek. Ściągnięone rotą wyrzeczonego przezeń zaklęcia, po zawarcu drzwi i okien, jawiły się widma, kaźnią niepokoju dręczone, obłędne w hierarchii bezcielesnych jestestw duchy między niebem i ziemią, których cierpieniom za przeszłe winy na świecie, skoro ani modlitwa, ani ofiarowane nie pomagały przysmaki, wówczas sprawca obrzędu odganiał je krzyżem pańskim w imię Ojca, syna, ducha. Na taką uroczystość przybył

także ów nieszczęśliwy młodzian, który sobie z rozpaczycy życie odjął, któremu z tajemnych zrządzeń przypadło, żeby rokrocznie wstawał z grobu i ponawiał na sobie wykonaną zbrodnię. Myśl poetycka! Ale tylko wielki poeta w tym wieku niedowiarstwa i wstrętu od zabobonów mógł osnuć poema na takim szczątku starych podań łatwowiernej prostoty. Nikt piękniejszego od czasów *Julii Szekspira* nie określił obrazu! Nikt z współczesnych Mickiewicza nie przemówił namiętniejszym, ognistszym językiem miłości; nikt mocniejszym urokiem nie zaczarował i nie podbił pod posłuszeństwo poetyckiej wiary rozumu i imaginacyi swoich czytelników!! — Ta czwarta część *Dziadów* jest właściwie drugą częścią i dokończeniem *Wertera* Getego. Bo takim jak ów upiór z rozdartą piersią, jak ów obłąkany pustelnik w mieszkaniu księdza, niegdyś swego nauczyciela, z tą rozpaczą na duszy, z tą boleścią na sercu, z tém melancholijném, pochmurném, fantastykiem wejrzeniem na przeszłość i naturę, nie kto inny mógłby byź tylko kochanek *Karoliny* wywołany z grobu, — jeżeli rozciągnąwszy nić cierpień tego zapaleńca wystawić sobie zdolamy, jakby mówił, czuł, rozmyślał i dumał po śmierci.

„Z męską godnością niech się uśmiecha Polak“ — tak pisze *Kuź. Brodziński* w swoim Pamiętniku, — „gdy mieszkaniec Tybru, albo Sekwany, twardym jego język nazywa. Z wewnętrzną przyjemnością, z powagą dojrzałemu mężowi przywoitą niech słuca cudzoziemca, gdy się nad jego wyrazami, jak niewieściuch nad podniesieniem starożytnej zbroi mocuje, gdy języka jego, jak dziecię, pieściwie wymawiać się uczy.“ — A dalej: — „póki męstwo w narodzie nie wygaśnie, póki obyczaje nie znikczemnieją, póty nie zapierajmy się owój twardości języka. Ma on i w niej swoją harmoniję, swoją spiewność, ale jestto szum odwiecznego rozłożystego dębu, nie poświst chwastu, który za każdym polotem wiatru zgina się, lub

łanie, i cienkim tylko odgłosem jęczenia wydaje.“ — To postrzeżenie we względzie języka polskiego odnieśmy do *Grażyny*. Nigdzie bowiem właściwszego przystosowania mieć nie może. Twardy jest styl téj powieści jak żelazna zbroja, chropowaty jak chrzęst téj zbroi, kiedy nią silne potrzęsają raniona, ostry jak na starych obrazach fizyonomie rycerzy, a tak dziki i malarski, jak były dzikie i leśne serca mężów pogańskiej jeszcze Litwy, i pancernych mnichów co ich chrzcili i mordowali. Naśladowcza téj mowy harmonia, strojnój własnym wdziękiem myśl czytelnika obraca ku owym czasom, kiedy się dziać miała rzecz poematu; stawia nas niejako wśród ludu *Litawora* i oprowadza po wewnętrznych jego zamku komnatach. Jestże co pierwotowniejszego w systemie poetyckiej naszej literatury, albo coby ściślej spowinowaczone było z daleką przeszłością, której echo tak donośnie, tak wyraźnie grzmi, brzmi, odbija się w samym wysłowieniu? — Koloryt stylu, namiętności, uczuć w czwartej części *Dziadów* jest pośmiertny, jakby zafarbowany tynkiem myśli namiętnego wywołańca grobów, tułacza martwych krain. Jest to styl rozpamiętywań upiora, a styl *Grażyny* nakształt rdzy pokrywającej sprzęt rycerski starego wieku. Jeżeli przypuścimy, że pewna różność zachodzi między poezją i sztuką artysty, — między *realizmem* i *idealnością*, (co zdaniem mojem nie podpada zaprzeczeniu), rzeźby można, zawsze jednak z bacznym względem na właściwe znaczenie tych wyrazów: jakoby czwarta część *Dziadów* była tworem poety, a *Grażyna* tworem obrazowego sztukmistrza. — Przynajmniej wielka zgodność wykładu kunsztownego z treścią, zgodność i tosamność kolorytu z wewnętrzną istotą rzeczy, w jednym i drugim przypadku zdają się popierać to mniemanie, i upoważniać do takiego sądu.

Te są dwa, zdaniem mojem, najpiękniejsze twory *Mickiewicza*, w których poetycki i artystowski talent tego

wielkiego sztukmistrza najokazaliej zajaśniał. Mniemanie powszechne przyznało pierwszeństwo przed niemi *Wallenrodowi*. Ja inaczej sędzę. Czyn wspaniałomyślny pięknej Litewki jest rzeczą poematu *Grażyna*; zaś rzeczą poematu *Konrad Wallenrod* jest szlachetne przedsięwzięcie i niemniej wspaniałomyślne poświęcenie się dzielnego Litwina. „Wieść prawdziwa jak rachunek a dziwna jak mara.“ *Wallenrod* służył Litwie obłudą, złamaniem wiary, utratą części. Lecz po odcięciu głębokiego i politycznego w tém rozumienia, poema *Konrad Wallenrod* cząstkowo, ułamiakami śliczne i czarujące, w rozwinięciu jednak swoim, jako twór sztukmistrza, i we względzie artystowskim, całością organiczną, poetyką nie jest. Pisząc to nie lada, zapewne materją wzruszam; wiem jaki tém zgiełk rozniecę wielbicieli *Wallenroda*. Wszakże każdy wypowiedzieć powinien, co czuje, co myśli, głowy swojej nigdy nie poddając pod posłuszeństwo choćby nawet powszechnej opinii. Moje zaś rozumienie w tym względzie jest takie: że w układzie *Wallenroda* rozciąłym, głębokim, śmiałym, przechodzącym miarę zwykłych przedsięwzięć poetyckich, niemasz wewnętrznej zgody i harmonii między częściami, między massami ogólnej konstrukcyi poematu. Rzecz dobrze pomyślana i w początkach rozpostarta daleko chromieje, słabnie w dalszym wywodzie. *Mickiewicz* nie zrealizował wielkiego planu, nie rozwinął i nie wyczerpnął idei swego poematu. Między charakterem *Wallenroda*, między scenami, gdzie się ten charakter najjawniej wyraża, a *expozycją* głównej jego sprawy, zachodzi widoczny, uderzający *niestosunek*, — taki sam jaki często-kroć postrzegamy w niedokończonym gmachu genialnego architekty, kiedy myśl i staranie swoje w to położywszy, żeby ustroić front całym przepychem swój sztuki, resztę budowli jak może najskwapliwiej, naprędce przyrządza, żeby jakotako przypadła do miary z głównym efektem od przodu. Wielka także zachodzi *dysproporcya* między

częścią *genetyczną* poematu, to jest, między tą częścią gdzie się rzecz przed naszymi dzieje oczyma, a częścią opisową, *narracyjną*. Wojna zakonu z Litwą w porównaniu z tém co ją poprzedza prędzej, kródszej odprawiona niżeli plan dzieła wymagał, widocznie skutek osłabia. Czemuż nie widzimy *Wallenroda* w namiocie z Halbanem? Porozumiewanie się, znoszenie z *Witoldem*, tak ważne, i tak zajmujące, w obrębie poematu prawie nie wchodzi. *Walter Skot* porównywa bieg powieści z rosnącą chyżością kamienia, gdy na dół z stromego spada pagórka. Z początku wszelkie mija przeszkody, następnie coraż prędzej się toczy, na wpół drogi i ku końcowi spadku warcząc z łoskotem, a gdy już ma stanąć u kresu natenczas z niewypowiedzianą leci szybkością. Ale ruch, bieg powieści w *Wallenrodzie* nie zdaje się być tym kształtem uregulowany. Jestto rzeka nie wszędzie spławna, nie wszędzie żaglowną linię mająca; nurt jej niestały, zawodny; chyżość strumienia nie jednaka. Tu wielki rozlew, wezbranie z brzegów; gdzieindziej wązkie, i coraz węższe koryto, tak że je pieszy wędrowiec żartkim przebędzie skokiem. I na mieliznach nie zbywa! — Te zarzuty dotyczą ekonomii wewnętrznej poematu. Ale sam *bohater* powieści daleko większemu podlega zarzutowi. Któżby dał temu wiarę? Wszakci ten *Wallenrod*, ten rycerski krzyżak, pogromca zakonu, jest przecie zakochanym czwartą częśći *Dziadów* upiorem! Ta sama miłość, ten sam koloryt namiętności, ledwo nie téż same wyrażenie:

„Bóg mię oświecił, *) ja powracam z Litwy,

Ja owe miejsca, twój zamek widziałem,

Kowieński zamek, już tylko ruiny;

Odwracam oczy przelatuje czałem,

Biegnę do owój, do naszej doliny,

Wszystko jak dawniej! też łaski, te kwiaty;

*) Mówi Konrad do Pustelnicy.

Wszystko jak było owego wieczora
 Gdyśmy dolinę żegnali przed laty;
 Ach! mnie się zdało, że to było wczora!
 Kamień; pamiętasz ów kamień wyniosły,
 Co niegdyś naszych przechadzek był celem?
 Stoi dotychczas, tylko mchem zarosły,
 Ledwie go dostrzegł, osłoniiony zielem,
 Wyrwałem zielska, obmyłem go łzami;
 Siedzenie z darni, gdzie po letnim znoju
 Lubiałś spocząć między jaworami;
 Źródło, gdzieś szukał dla ciebie napoju;
 Jam wszystko znalazł, obejrzał, obchodził.
 Nawet twój mały chłodnik zostawiono,
 Com go suchemi wierzbami ogrodził,
 Te suche wieżby, jaki cud Aldono!
 Dawniej mą ręką wbite w piasek suchy,
 Dziś ich nie poznasz, dzisiaj piękne drzewa
 I liście w nich wiosenne powiewa,
 I młodych kwiatków unoszą się puchy.
 Ach! na ten widok pociecha nieznana,
 Przeczucie szczęścia, serce ożywiło;
 Całując wierzby padłem na kolana;
 Boże mój, rzekłem, oby się spełniło!
 Obyśmy w strony ojczyste wróceni,
 Kiedy litewską zamieszkamy rolę,
 Odżyli znowu; niech i naszą dolę
 Znowu nadziei listek zazieleni.

Wszystkoć to prześliczne, nie przeczę, i ów kamień,
 i ta wierzba, i te kwiatki i listki, i puchy! Ale jak źle
 się wydaje u *Wallenroda* ta pieściwość rozpamiętywań,
 ta poezya pamiątek!! W owym wieku tak poetyckim,
 lecz poezją *życia*, poezją rzeczywistości, a nie poezją
 tkliwych, *sentymentalnych* wspomnień!... Dopiero kiedy
 społeczność, wychodząc z czasu fantastycznego, lodowa-
 ciej powoli starością rozumu, kiedy rozum jasnością swoją,

swojém mędrkowaniem i rachmistrzowstwem wszystko odczaruje co się koło nas dzieje, co się nawet działo w przeszłych czasach, kiedy rozbije urok każdego oamienia, każdego uczucia, imaginacyi, zapachu, uniesienia, dopiero natenczas, w tój epoce doskonałej, zimnój *reflexyi*, kiedy drzy serce nasze, ale od polarnego mrozu, nie z zachwycenia, — wtenczas dopiero rodzi się poezya melancholii, *poezya czwartej części Dziadów*. — Pustelnik mówi do xiędza:

„Obraz tego rozstania dotąd w myśli stoi,
Pamiętam śród jesieni... przy wieczornym chłodzie
Jutro miałem wyjechać... błędę po ogrodzie!
W rozmyślaniu, w modlitwach, szukałem tój zbroi,
Którąbym odział serce miękkie z przyrodzenia
I wytrzymał ostatni pocisk jój spojrzenia!
Błądziłem po zaroślach, gdzie mnie oczy niosą.
Noc była najpiękniejsza! Pamiętam dziś jeszcze:
Na kilka godzin pierwój wylały się deszcze:
Cała ziemia kroplistą połyskała rosą.
Doliny mgła odziewa, jakby morze śniegu;
Z tój strony chmura gruba napędziła lawy,
A z tamtój strony xiężyc przezierał bładawy,
Gwiazdy toną w błękicie po nocnym obiegu:
Spojrzę.. jak raz nademną świeci gwiazdka wschodnia,
O, znam ją odtąd dobrze; witamy się co dnia!
Spojrzę na dół... na szpaler... patrz, tam przy altanie,
Ujrzałem ją niespodzianie! i t. d.

Ta miłość, te wyrażenia, te myśli, te widoki natury zachwycają w *Dziadach*, — ale wszystko to jest uderzającym *anachronizmem* w Wallenrodzie. Rzecz jego nie przypada w te czasy, i jego charakter z taką miłością żadną nie rymuje miarą... Ta, że tak powiem *modernizacya* pojęć i *kolorytu* stawia w fałszywém, świetle bohaterą poematu, samój rzeczy przyczyniając *nieforemności*,

bezkształtności. Wreszcie, już to jest *maniera* sentymentalna, z której, przy częstszem jeszcze używaniu, i wznawianiu tego co się raz rzekło, łatwo wykształciły się mogły pewne jeremiady tkliwych westchnień, i pewna rutyna miłości. Tak samo *Rossyni grandioso* swoje nieraz rozprasza częstém powtarzaniem spowszedniałej w orkiestrze pieściwości.

Krótko mówiąc: cały romans Alfa i Aldony zły skutek czyni w tym poemacie. *Aldona* nawet ku końcowi stroją zaloty niegodne pustelnicy. Wymawiając się kochankowi, który ją chciał unieść do Litwy, powiada: „ja się zesta-
rzałam, zbrzydłam... Nie, niechaj nigdy nędza pustelnicy, jój zgasła źrenica, jój twarzy bladeść, nie kazi w pamięci twojej oblicza pięknej kiedyś *Aldony*. I ciebie także niechęć widzieć z bliska, — *daruj mój kochany*, że ci to mówię, ale i ty może dzisiaj już nie jesteś taki, jakim bywałeś przed laty. Alfię nam lepiej zostać takimi jakimi dawniej byliśmy.“ — *Aldona* nie chce paść z uniesieniem w ramiona *Alfa*, — czegoż chce? oto chce go tylko widzieć żywym, co wieczora z nim rozmawiać: osładzać chce tym sposobem wszystkie cierpienia. „Staraj się, — mówi, — częściej i raniiej przychodzić.“ — Co większa *Aldona* chciałyby mieć nie tylko Alfa, ale całą Litwę w miniaturze koło swęj wieży:

„Gdybyś, — posłuchaj — w około równiny,

Chłodnik podobny owemu zasadził,

I twoje wierzby kochane sprowadził,

I kwiaty, nawet ów kamień z doliny;

Niech czasem dziatki z pobliskiego sioła,

Bawią się między ojczystymi drzewy,

Ojczyste w wianek uplatają zioła,

Niechaj litewskie powtarzają śpiewy. i t. d.

Toż samo, słowo w słowo, co w szwajcarskiej familii *Weygla!!* — Czyż nie wpadło w myśl *Mickiewiczowi*, że

to wszystko jest drobne, małe, że to *afektacya* i ledwo nie takie same wydwarzanie, jakiem mieszkańcy miast tęszną do pięknej za miastem natury? — Czegoż żąda *Alf*, gdy mu się nie udało przełamać uporu *Aldony*? Oto przynajmniej na pamiątkę „gałązki z wieży“, a ponieważ na wieży kwiaty nie rosną, to przynajmniej nitki z odzieży, albo z warkocza zawiązki, albo wreszcie kamyka z muru!“ — W te śmieszności, dzieciństwa wpadł wielki artysta, myślący sztukmistrz! Jakże to wszystko osłabiło wdzięk tego poematu! Ileż w tém wszystkim psychologicznej i poetyckiej nieprawdy! — I tenże to *Wallenrod*, pomyśliłem sobie, ten *Alf* pierwszej sceny wielki, straszny, — którego włos posiwiiał za młodu, który w samotności grób myśli swoich gorącym roztwierał napojem, który jednego razu winem i wieścią barda rozpalony, odśpiewał wrogom złowieszczą balladę?

Wytrysk ognistego ducha, strumień najczystszego uniesienia, najwyższa liryczna inspiracya, płomień miłości, — to czwarta część *dziadów Adama Mickiewicza!* Doskonałe malownictwo historyczne, najpiękniejszy *realizm* poetycki, i artystowski, prawdziwe objawienie przeszłości, to *Grażyna!* Mozajkowa robota poety nie umiającego wyjść myślą i duszą z swojej *indywidualności*, z swjej jednostki, nie umiającego odjąć się samemu sobie dla rzeczy, i stworzyć świat oddzielny, odrębny za granicą swego ducha, — to poema *Konrad Wallenrod!* Jedno z największych dzieł literatury naszej, choć się tylko z pięknych *fragmentów* składa, i zarazem przykład jawnie, jasnie pokazujący jak trudno sztukmistrzowi indywidualnemu, *subiekutowemu* przenieść się z swjej idealnej sfery w sferę wielkiego poetyckiego *realizmu*. — Inne poezye Mickiewicza n. p. *Sonety Krymskie*, *Farys* noszą na sobie cechę obcego klimatu. — Jest to wielo-wiedztwo geniuszu, i niejako aklimatyzacya fantazyi z pod cudzego

nieba w ojczytstęj literaturze pewną *uniwersalnością* ducha, i *erudycyą* poety.

Rozpostarł się, i mistrzuje pierwiastek indywidualny w pismach *Mickiewicza*. To „ja“ samego poety wszędzie się przebija, wszystkiemu swojej użyczając właściwości. Myśl jego wewnętrzna, samotna, wielka, melancholijna jest jego ogniskiem i gwiazdą na firmamencie jego poezyi; — jest jego i żywiołem i światem gdzie duch twórczy zamieszkał, gdzie się bezprzestannie objawia, wszystko z siebie snując, jako pajak wije z siebie pajęczynę. Cokolwiek koło siebie postrzeże w naturze widomęj, w społeczności, w historyi, to wszystko ku sobie odnosi, i farbą swego geniuszu, swęj jednostki tynkuje. Jest to poema rozmyślacz, mąż namiętny, liryk z daru i użyczenia nieba, filozof własnego serca. Zawsze дума, i marzy, i miewa swoje widzenia. W jednęj tylko *Grażynie* o sobie zapomniął. — Przeciwnie *J. B. Zaleski!* W jego pismach obadwa te poezyi atomy, idealizm i realizm, duch i materia, muzyka i figury, fantazyja i rozmyśl artystowski, dumanie i *res statuaria* snyderstwo, śpiew i kształt, w więkstszej z sobą zgodzie, w więkstszej harmonii zostają; toż zdają się bydź pod równiejszą niejako i miarą i wagą rozdzielone. Częścią w zamyśle samotném i tęschnocie, częścią jest w rzeczywistości. To górnemi wzlataje pojęciami, to wyobraża, kształci. Jego postacie rześkie, szykowne, żywe, żwawe, poskoczne mile w oko wpadają. Zwykle w jasne przyodziewa je szaty. Taki jego stary myśliwiec, takie kozactwo, tacy rycerze dum ukraińskich! Czasem excentryczny, po za krańcami prawdziwego świata w idealnej krainie; to znowu wewnątrz natury, w społeczeństwie i w historyi, jak tamta naiwny i szczery, jak ta prawdziwy i realny. Żartkiego dowcipu, bystry, przenikliwy: myśl ma prędką jak widzenie, i pochmurną i wesolą. Oko tego wieszczka nie zawždy łą smutku zroszone, żywiej promieni, raźniej, jaśniej, dalej widzi. I śmieje

się i płacze naprzemiany. Imaginacya *Zaleskiego* szklana, czysta, jak błękitna wód powierzchnia, a fantazyja różnobarwa, różnolicowa, mieniona jak gra kolorów i ziemskie na obłokach malowidła ku schyłkowi dnia jasnego, — albo, jak farby tęczy na tle ruchomym w powietrzu-kregu, szerokim łukiem zbiegającej gdy deszczowe rzedną chmury. Taka właściwość, ten charakter poezyi autora *Rusalek!* Przecinają się tu, że tak rzekę, dwa wielkie koła, jednakię średnicy, dwie sfery, — *realna* i *idealna*. Jeżeli z miary wychodzi, i równego tych mass podziału, to bardziej i częściej ku stronie *realizmu*. W tém największa sferność i energia ducha tego młodego poety. Nie bez słusznej więc przyczyny zowiemy go wieszczem minionych wieków, poetą *zgastych plemion*, ponieważ ich postacie i głosy rozciągnięti tonami swojej arfy z zapadłego wywołuje zmierzchu. Sam ten sztukmistrz dla własnego tylko użytku narządził owe muzykalne, dzwięczne naczynie, i swojej roboty strunami takowe nawiązał. Nikt bowiem tak jak on nie zagra na jego instrumencie. Darmoby się kto na to silił, i wielkim zdobywał dowcipem: — jako niegdyś żaden dworzanin, żaden zalotnik wdowiącej Penelopy nie zdołał napiąć starego łuku króla Itaki, i w cel strzałą ugodzić, choć i piękna kobieta, i udzielna wyspa na morzu były nagrodą tego strzału. — Z téj przyczyny tak źle się wydaje co bądź naśladowcy *Zaleskiego* jego miarą, w jego duchu napisać chcieli. Te są cechy ogólne. — J. B. *Zaleski* nie ogłosił jeszcze zbioru wszystkich pism swoich, nie małe fragmentami oryginalnych poematów, umieszczanemi w dziennikach periodycznych wzbudziwszy oczekiwanie. Wyjątek z *Rycerskiego rapsodu*, *Rusałki*, *Damian*, *Mazepa*, *dumy*, *fantazyje*, o toż ledwo nie wszystko co mi się czytać zdarzyło. W tém jednak wyraziły się już charakter i właściwość jego poezyi, a szczególniej poetyckiego stylu. Pod względem zewnętrznego nawet kolorytu, rytmu i mecha-

nizmu, co tylko pisze *Bohdan Zaleski* zdaje się być nakształt ochotnego ognia w nocnej dobie, kiedy strumień płomienisty nagle, prędko, wysoko strzeliwszy w górę, na tysięczne się rozsypie, rozwieje i bryznie gwiazdy, wieńce, krzyżyki, zygzaki, wstęgi, i smugi świetlne. Albo także jestto coś nakształt zasłony *Rusalek* z rubinowych iskr jutrzeńki. Takie *Czajki*, takie *śpiewające jezioro!*

Toż Czarnomoca w noc na pogoni,
Nuta dniewprowskich dum aż tu dzwoni?

O! nie dniewprowskich nuta to dum

To jakiś srebrny, przeciągły szum,

Luba harmonia tonów tysiaca

Mile niebieskim arfom wtórzaca.

Słodki, czarowny powietrzny brzęk,

Jak owych pieśni huryssek dźwięk;

Co przy dziewicy, w letni poranek,

Śniący na kwiatach roi kochanek.

Nikt w Polsce nie ma takiego stylu i takiego wyśłowienia. W tém mu najpoprawniejsi klasycy nie zrównali. Sposób pisania jemu tylko właściwy, świetny, mamiący, artystowski, wykończony, brylantowy. Czyż sztuka *Zaleskiego* nie zdaje się być w porządku idealnym efektów dzisiejszej poetyckiej literatury naszej, jakby elementem ruchu, biegu? I tak jest w rzeczy samej. Prędka, wietrzna, powiewna, roznośna, działa mocą sprężyny i wszystko z sobą w tém systemie siłą lotu porywa.

O *Zamku Kaniowskim* Seweryna Goszczyńskiego mówiłem w inném miejscu.*) Artykuł z tego powodu umieszczony w jedném z pism warszawskich oburzył wielu czytelników. Wzruszano litośnie ramionami, kiedy prawiłem o talencie tego znamienitego pisarza. Dotychczas

*) W Gaz. Pols. z r. 1829.

uwłaczają mu niektórych krzywe zdania. Z przywar wysłowienia, nie wszędzie tak jakby może na rzecz rytmotwórczą wypadało, gładko i starownie okrzesanego; z niedbałości w wielu miejscach na czystość i wytwór polszczyzny, wzięto u nas pobudkę do odsądzenia poematu Goszczyńskiego od wszelakięj niemal cześci. Taki sam los, z takich samych pobudek spotkał *Maryę* Malczeskiego. Atoli dostatecznie tego wypowiedzieć nie mogę, jak nieopatrzny jest ten sąd, — tém boleśniejszy, tém nieopatrzniejszy, że narodowej chwale pod tym względem najchlubniejsze wydziera zaszczyty. Przyznaję: Goszczyński nie ma poprawnej, wytwornej *dykcji* Mickiewicza i Zaleskiego; — ale ma owe rozległe pojęcie, i ten rozmysł artystowski, tę bujną, płonąca, ognistą fantazyą, która go stawia w równęj mierze z obudwoma wspomnionemi pisarzami. Gdzie się tylko duch wyraża, szanujmy go, poważajmy. Gdzie jest natchnienie poetyckie, tam wnিকajmy w treść, w istotę rzeczy, na resztę mniej dbając. — Po wyjściu na widok publiczny *Zamku Kaniowskiego* zlecił przed rokiem Seweryn Goszczyński mojemu staraniu ogłoszenie drukiem swoich *poezyi lirycznych*, które teraz dopiero wydane byđz mogą. Obecnie pracuje on nad nowém poematem: *Polak w Jassyrze*.

Dzienniki peryodyczne dzielą częstokroć na kawałki, co jednym zawodem odbyć trzeba. To samo stało się z moim artykułem o *Zamku Kaniowskim*. Podzielono go na tyle cząstek, że w końcu nikt nie zrozumiał autora. Zresztą i na drukarskich, wykrzywiających istotę rzeczy nie schodzi pomyłkach. Z tęg przyczyny umieszczam tu treść *Zamku Kaniowskiego* z małemi odmianami, dla pokazania na oko czytelnikowi, że układ wzmiankowanej powieści dziwny i fantastyczny, ma prawdziwe, poetyckie zalety z sprawności w wywodzie i prowadzeniu rzeczy.

Kozak *Nebaba* urodził się w Białozorze na Ukrai-

nie, niedaleko Smiły. Tam pierwsze lata jego młodości upływają. Była to sztuczka żwawa, śmiała, — jak się o nim stary lirnik w tej powieści wyraża. Burzliwe, hajdamackie życie jego zaczyna się od złośliwej pustoty. Trzeba wiedzieć, że była w tej samej wsi dziewczyna, cierpiąca lekko na umyśle obłąkanie. *Ksenia* wychodziła każdej nocy nad brzeg pięknego, rodzinnego jeziora przeciwko niezemiemu kochankowi, rozumiejąc, że na odgłos jej śpiewu przybędzie w postaci ognistego latawca, niby meteoru, przelatującego po jasnym niebie. Wiara w takie duchów z ziemiankami związki była wtenczas dosyć pospolita na Ukrainie. Łatwo też, jak wiele innych niestworzonych baśni, chwytano się głów zaboronnej prostoty. We wsi wiedzano o tym. Lecz *Nebaba* nie należał do rzędu łatwowiernych. Przyrzekł, i podaj czy nie założył się, że djabła na schadzce dostrzeże. Dla własnej więc i rówieśników rozrywki udaje się o tajemniczniej godzinie nad brzeg jeziora i wmawia w *Ksenię*, jakoby był owym kochankiem, za którym tak długo tęskniła. *Ksenia* daje temu wiarę: uwierzywszy nie opiera się chęciom *Nebaby*. Związek ten tak ściśle zaczęty, trwał zapewne przez czas nie mały, póty przynajmniej, że go wyświecił przed wiejską drużyną skutek przynoszący wszędy dziewiczej skromności niesławę. *Ksenia* rozkochała się namiętnie w swoim zwodzicielu. Już na pokątnych nie przestaje schadzki; ale wiedzona instynktem miłości, silniejszej nad samo obłąkanie, już go i w tłumie rozeznawać, i śledzić nawet zaczyna. Ztąd nieznośne dla *Nebaby* od wiejskiej młodzieży przymówki; ztąd dotkliwe uczucie wstydu, ztąd myśl zatarcia śladów występnego czynu, i pierwsza zbrodnia. Topi *Ksenię*. — Dostały mu się od natury: uroda, dowcip, wspaniała ochota do wszystkiego i miłość ojezycznych swobód; ale razem tym zaletom przeciwne, nieukrócone namiętności: zawziętość w uprzedzonej myśli, duma, nie-

statek i burzliwość. Charakter niepospolity, na wpół dziki, gwałtowny. Taki jest bohater tój powieści. Lecz dodać winienem, że wszystkie te sprawy na lat kilka rzecz poematu uprzedzają.

Ksenia jednak nie zginęła. Szczęśliwym trafem prędko z wody wyratowana, powraca do życia; ale związane tym wypadkiem obłąkanie, w pospolitým u gminu rozumieniu nie zostawuje żadnej już wątpliwości co do związków tój kobiety z piekłem. Od tój to chwili można Ksenię uważać jako ofiarę wywołaną do życia dla dręczenia winowajcy najboleśniejszą kaźnią, to jest: przymileniami obrzydłój kochanki.

Tę topielicę pojął i wystawił autor w duchu miejscowych uprzedzeń. Nic się ważnego nie działo na Ukrainie, czegoby nadzwyczajne nie przepowiedziały jawiska. Bunt ukraiński, który tam zowią *koliszczyzną*, a szczególniej rzeź humańska miały być także nadprzyrodzonymi uprzedzone widziadłami, — między innymi przez dziwną, obłąkaną kobietę, która klaszcząc, hucząc i niezrozumiale bełkocząc, z rozwianym włosem, w podartój odzieży, jak Sybilla, przebiegała sioła Ukrainy. *Goszczyński* wplątał w powieść swoje takie mniemanie. Ksenia, jak w początkach swego obłąkania, tak i następnie to po lasach tułała się, to nad brzegami wód na noc całą siadała, myślą napowietrznego goniąc kochanka, z wzrokiem ku niebu na gwiazdy obróconym, wedle wyobrażeń ukraińskiego ludu, jakoby spadające gwiazdy były złemi duchami. Taką ona piosnką wzywa kochanka:

Wypłyn, wypłyn z za obłoku!

Po błękitném przeleć niebie!

Ja kochanka wzywam Ciebie!

W lasów ciszy, w nocy mroku,

Ho — hop! ho — hop! wzywam Ciebie, i t. d.

Lecz wróćmy się do osnowy poematu. — Czy to, że *Nebaba* chciał odjąć się niemiłym wspomnieniom, czyli téż, że mu srodze dokuczały przymówki szatańskich miłostek, bądź co bądź ojczyste porzucą siedlisko. Przypadek zaprowadza go do Kaniowa, gdzie męska postać i przymioty zjednały mu najprzód względy u starszych, a potem przełożęństwo nad przydworném kozactwem w zamku starosty kaniowskiego. Tam także młoda dziewczyna *Orlika* pociągnęła ku sobie serce *atamana* Kozaków; bo któryż Kozak nie położył wszystkiego starania, wszystkiój chęci i myśli swojej, żeby się podobać pięknej kobiecie? Ale już to tak przypadło *Nebabie* z przeciwnego losu, że miłość same nieszczęścia, nakoniec zgnienie przynieść mu miała. — Rządca tego zamku Polak powziął był równą skłonność ku *Orlice*. W nim miał *Nebaba* przemożnego, choć mniej szczęśliwego spółzalatnika, ponieważ rzeczywiście *Orlika* uczuć rządcy nie dzieliła. Rzecz poematu zaczyna się od następnego zdarzenia:

Bratu *Orliki* zlecono straż nocną około szubienicy. Według dawnych tamtejszych zwyczajów, gardłem karany bywał z pod czyjego dozoru zginął trup powieszono winowajcy. Szyldwach zwabiony śpiewem znajomój dziewczyny zbiega z stanowiska w pobliskie zarośle. Tymczasem porywają wisielca z szubienicy, za rozkazem rządcy zamku. W jakim zamiarze? Domyślić się można. Tak więc pan rządcą, umyślonym fortem, dostaje w moc swoje brata téj, która była przedmiotem i celem jego namiętnój skłonności. Zniewala ją do uczynienia wyboru między śmiercią haniebną brata i prędkim zamęściem. Nie długo wahała się *Orlika*; nie długo opierała się w samotnej rozmowie życzeniom obrzydłego rządcy. Przyrzekł przebaczyć mniemaną winę bratu, byle na ślubny związek zezwoliła. Przeto zostaje jego żoną dla ocalenia brata. Braterskiemu przywiązaniu poświęca miłość,

spokojność, szczęście. W tej okoliczności umieścił autor katastrofę poematu.

Wszystkich zdziwiły tak prędkie zaślubiny rządcy z Orliką, która tego samego dnia jeszcze, przed zachodem słońca umrzećby wołała, niż zostać Polką. — Chłopek wracający do zamku z torbanem uwiadomił Nebabę o całym zdarzeniu. Oburzył się ataman. Pozostaje mu tylko wzięcie zemsty z wiarołomnej kochanki i szczęśliwszego, jak mniemał, *Lacka*; gdyż nie znał skrytego powodu, którym ją rządcą zamku swojej woli posłuszną uczynił. Ówczesne niepokoje, i zawichrzenia wewnętrzne Ukrainy, toż bliskość obozu *Szwaczki*, który przodkował Kaniowskim powstańcom, nastęrczały mu do tej zemsty łatwą sposobność. Przeto ku wieczorowi, opuściwszy zamek, przeprawia się przez Dniepr na drugą stronę. Tu niepojęte dla mieszkańców Kaniowa, dziwne widmo *Kseni*, uważane od gminu jako znak bliskiej klęski, ukazaniem się swoim na scenie burzliwego życia Nebaby, wznawia w jego umyśle zapomniane od lat kilku wspomnienia; przydając do obecnych cierpień niepokoje trwożnego sumienia, gorycz i kaźń przeszłości. A jednak ta nieszczęsna kobieta jednego tylko żąda uściśnienia! Za jedne przymilenie kochanka dałaby życie swoje Krzyk i klaskanie opętanej, a prędczej myśl uwolnienia się od napaści nienawisnej *Kseni*, bodajby gwałtowną jej śmiercią, zatrzymują *Nebabę*. Szalona zbliża się, i odbiera od Kozaka uderzenie pięścią, co zdruzgotawszy jej skronie, powinno było położyć kres życiu mnięd nadwyzczajnej istoty. — Ale *Ksenia* żyje jeszcze! Zadana rana tylko odrazy jej przyczyniła. — *Nebaba* na drugiej stronie rzeki łączy się ze *Szwaczką*; następnej zaś nocy obóz powstańców znowu przechodzi na ziemię polską, gdzie w nadbrzeżnych *Rosi* lasach obrabują sobie stanowiska. — Opisanie obozu *Szwaczki* przypomina niektóre *Rembranta* malowidła.

Widok ten okazały dzikością silnie zajmuje imaginacją czytelnika. Grupy dobrze uszykowane, rysunek trafiany, koloryt zgodny z rzeczą; wiele prawdy, wiele talentu. Starość *Szwaczki* czyni go już ociężałym, a nałóg pijaństwa nieczynnym. — Dzbanek zazwyczaj nad marsową przenosił sprawę. Tymczasem położenie powstańców staje się coraz trudniejsze, krytyczniejsze. Zguba ich niedaleka, bo oddział Polaków, ściągnionych przez ostrzeżonego rządę kaniowskiego zamku, wtargnął już w przyległe lasy, i coraz bliżej ściska Kozaków. *Nebaba* znieczierpliwiony nieczynnością *Szwaczki* zgromadza powstańców, staje na ich czele, i porzuciwszy w lesie niewytrzeźwionego starca, posuwa się naprzód ku Kaniowowi. Lecz jeszcze dzień jeden odwleka zgubę zamku. Dla tém pewniejszego osiągnięcia zamiarów zemsty, umyślił był *Nebaba* zakraść się w cieniach następnej nocy pod mury Kaniowa, i dostać go przemocą, rozumiejąc, że ufność rządcy, położona w żołnierzach polskich, którym zlecił baczenie i śledztwo poruszeń w obozie *Szwaczki*, wszelką z téj strony bojaźń oddaliła. W czém tak dobrze począł sobie, że niepostrzeżony przemknąwszy się przez polskie czaty, rozsypał swoich Kozaków po zaroślach, tuż pod samém miastem, żeby, za nadejściem nocy, gotowi byli lecieć do szturm. Traf przygodny zrządził, że ten zamiar nie doszedł do skutku. Przeciwnie wszystko mściwemu *Nebabie* niepochybną zgubę niesie. *Orlika* rządczyni gnachu kaniowskiego, nie mogąc przewieść dłużej na sobie zmuszenia, co tak boleśnie najtkliwszą jej skłonność rozdzierało, nie mogąc się odjąć żalowi i rozpacy, uniesiona srogą dla rodu panów zwierchnich i gwałciciela nienawiścią, umyśliła zabić męża, i dopełniła tego czynu w nocy, krwawy zamiar osłoniwszy kłamliwém przymileniem niewieściej czułości. Wytrzeźwiony *Szwaczka*, gdy postrzegł, że go niewierne kozactwo porzuciło, co wskok leci do

Kaniowa, i uprzedzając Nebabę, nagradza swoje nie-dbalstwo podburzeniem tamtejszych chłopów. Nebaba tymczasem postrzeżony w ukryciu swoim od polskiego szpiega, który pod zmyśloną postacią starca, żebraka, czy dudarza, tajemniczém zjawieniem się i zniknięciem swoim, bardziej zaś jeszcze nieświadomą z minionych lat powieścią, serce jego tak boleśnie zakrwawił, już odtąd zostaje pod ścisłym Polaków dozorem. Ku wieczorowi zbiera swoich. — Wyruszają. — Dwaj żołnierze polscy przebrani po kozacku, świadomi języka, łączą się z niemi. Noc coraz bardziej ciemnieje. Jeden z przebranych szpiegów ofiaruje chęć swoją przewodniczenia po błędnych drogach. Naprowadza ich manowcami na oddział Polaków. Drugi wystrzałem znak daje. W okamgnieniu hufiec *Nebaby* otaczają liczniejsi nieprzyjaciele. Zaczyna się bitwa, w tém postrzeżono pożar zamku. *Szwaczka* już go był dobył, zapalił, i wewnątrz uganijając się za rządczynią, którą zbrodnia obłąkała, zginął razem z nią samą, i większą swoich częścią pod stropami przetłalego gmachu.

Szeroka na niebie luna czerwonego blasku płomieni przyświeca *Nebabie*. Rozpacz kieruje jego uderzeniami, i nowych sił mu przyczynia w pojedynkowych zapasach z mężnym Polakiem, który utraciwszy pałasz, zrazu ustępuje natarczywości przeciwnika, lecz po chwili kruszy jego szablę, i téj szczątkami liczne rany mu zadaje. Nurzający się we własnej krwi ataman Kozaków słyszy głos *Kseni*, która oddawna téj bitwie z boku się przypatrywała. Nie broni jój przystępu; owszém wedle przemożności swojej w takiém położeniu, zmyśla obojętność, dla ukarania zadaniem nowój rany, nienawisnego widziadła, zesłanego jakby z podziemnych krain na kaźń za przeszłe jego grzechy. Poczém sam utracą zmysły i dostaje się w moc Polaków. Oddział jego zniesiony. Polacy spieszą ku ruinom zamku. Żadna pomoc urato-

waćby go nie zdołała. Lecz zwycięzcy chcą, i mogą ukarać sprawców takiego spustoszenia, których wzięli w niewolę. Gruzy zamku przemieniły się w warsztat katorski. Do sprawiedliwości przydano okrucieństwo, wbiciem na pal ponad bramą zamku żywego jeszcze Nebaby. Innych uszykowano w biesiadujące niby grupy, żeby na placu łupieskiej sprawy swojej wśród wolnych płomieni konali. Nebaba na palu wbity tyle miał jeszcze przytomności, że mógł widzieć wszystko co się koło niego działo. Wówczas to nową oszpecona raną wysuwa się z gruzów *Ksenia*, przybliża się, wspina na pal, i całuje kochanka ostatniem, śmiertelnem pocałowaniem, któremu na wieki usta zamyka. *Nebaba* kona; nie długo skonać musiała i *Ksenia*, bo jej zwłoki widziano w bliskości tego miejsca.

Taka osnowa poematu Seweryna Goszczyńskiego. — Charaktery jego nie są tak szlachetne jak w powieści *Malczeskiego*, ani tak zajmujące *sytuacje*. Inna też rzecz, inny zawód. Wielkie jednak massy ogarnął! Zresztą: co tylko w scenicznem działaniu, w *akcyi* dramatycznej z pierwiastków swoich, przed naszymi oczami się rozwija, rozplata, niepochybnie utworem jest i sprawą prawdziwego artysty, prawdziwego poety. Piękny fragment, piękna scena, szczęśliwie skreślony charakter téj lub innéj osoby zajmą na chwilę, i chwilowe wzbudzą oklaski; lecz tylko całość głęboko pomyślana, głębokim rozmysłem artystowskim, nigdy zapomnieniu nie ulegnie. Nadać ruch massom, rozwikłać działanie, — w tém całe misterstwo geniuszu. *Genetyczna*, ruchoma bydz musi jak umiejętność, tak poezya. Ten *genetyczny*, rodzajowy charakter postrzegam w poemacie Goszczyńskiego; z téj przyczyny nie waham się policzyć je do rzetelnych ozdób literatury polskiej, nie zbijając bynajmniej słusznego zarzutu niepoprawności, owszém rozciągając go nawet dalej do samego téj powieści układu, gdzie rzecz, osobliwie ku

końcowi, nie tak jasno i zrozumiale wyluszczone, jakby zyczyć należało. Znać pospiech tu i owdzie, znać skwapliwość; a z tego zawsze rodzą się nieszykowność, ustérki, zboczenia.

Powie kto: „nie godziło się prostego Kozaka wysadzać na bohatera poematu!“ — W czém atoli niemasz nic przeciwnego zamiarom autora. Kozaków, jakimi byli w istocie stawia przed oczy nasze. To jedynie miał na celu, tego dokazał. Bohaterem poematu może bydź nie tylko Kozak, ale nawet żebrak, włóczęga. Komuż rzeška postać tego Nebaby w kosztownej burce, w wytwornym atamańskim stroju, komuż się nie podoba? Któż go wśród hajdamackiej czerni nie rozróżni z dumy na czole, po oblicza krasie? Jak sam zwierzchni Pan polski tak przed panem hardy, duszą był dziewcząt i *wieczornic*. Ten czarny wąsik jego co nad różowemi zwijsa się ustami, ten wzrok co przy brwiach ciemnych tak raźnie odbija, ten kształt postawy spiętej burką, co się tak wydaje w wspaniałym pochodzie jak maszt *bajdaku* lecącego w zawód z wiatrem po Dnieprze! Nie prawdziwyż to wizerunek? Nie zajmujące, nie trafne schwycenie rysów narodowych i charakterystycznej fizjonomii narodowej? — „Szczęśliwa, którą zaczepi uprzejmie; szczęśliwsza, którą uściśnie, najszczęśliwsza, której wstążeczkę w *seledec* zaplecie.“ To w milczeniu rozmyśla o zemście i miłości; to przygania *Szwaczee* ostremi słowy, że leniwy i opój, — wreszcie towarzyszków przeciwko niemu podburza, i w zapłacie za dzielną wymowę gnuśnemu starcowi przełożęństwo odbiera! Dzikie, leśne serce jego. Popędliwy, niesforny, zuchwały, mściwy, zakochany, w uniesieniu nie czyniący sobie żadnego zmuszenia, okrutny. Z duszą i ciałem taki sam jakimi byli rzeczywiście owi Kozacy, o których wiemy z wieści i dumek.

Żadną miarą, zdaniem mojem, niechaj kto mówi co chce, téj hajdamackiej czerni z literatury polskiej,

(jak niegdyś z społeczeństwa podnioslejszém zapewne sercem niż mądrą polityką) wypłaszać nie powinniśmy. To nieodrodne plemie dzikich stepów potrzebne zdaje się naszej poezyi, jak przedtém w usługach rzeczywospolitéj odganiało od dziadów naszych postrach tatarskich i nogajskich najazdów. — Ów *Szwaczka* z czarnym na twarzy szramém, u którego wąs długi zwiesza się na pierś obroszą, ów ociężały rozbójnik na *Siczy*, ów stary opój w powieści Goszczyńskiego źleż wydany, albo nie trafiony doskonale, kunsztownie? — Niechaj nas ten grób nie obraża. Bo to rzadki oryginał, i w pośród pierwotworów flamandzkiej szkoły zabrałby niepoślednie miejsce.

Wierne przeobrażenie, rysy, właściwość wydobyta z gruzów, trafione lica, postacie dosadnemi ciągami pędzla, bijące w oczy przeciwieństwa to pogańskiej Litwy, to chrześcijańskiego krzyżactwa, to zaporozskiego ludu, — owoż historyczne malownictwo poetyckiej literatury naszej, które takim wdziękiem jaśnieje w pismach *A. Mickiewicza*, *B. Zaleskiego*, *S. Goszczyńskiego*! Jest to, że tak powiem, podstawa, tło, grunt *realny* poetyckiego w tém systemie *idealizmu*. Cóż pomogą przepisy delikatnego gustu, jeżeli je przyłożymy do tych śmiałych u. p. wyrażzeń autora *Grażyny*:

Doznali męża Litwini z tych znaków;
 Więc cicho jeden do drugiego szepce
 To jakiś urwisz od psiarni krzyżaków
 Tuczny bo pruską krew codziennie chlepcę!
 O gdyby nie był nikt tu więcej z warty
 Zarazby w bagnie skąpał się ten plucha;
 Aż pod most pięścią zgiąłbym łeb zadarty,
 Tak oni mówią, on niby nie słucha;
 Lecz musiał słyszeć, bo się bardzo zdumiał,
 A chociaż Niemiec głos ludzki rozumiał.

Szymanowski tłómacząc przez siedm lat *Świątynię Wenery*, za żadne wieńce i mirty febów nie użyłby wyrażień: — *urwisz, chłepce, plucha łeb zadarty*. Delikatność i poprawność!! Cóż rzekną ci, co ustawnie wznawiają te maxymy zniewieściałego gustu, na owe silne, dobitne *beotyckie*, malujące wyrażenia, które z óny tak starych lat wychylają na widok powierzchowną ich szatę? — Zbierajmy rys za rysem, i słowo po słowie; każde odcieniowanie, każdy rzut myśli miejmy za godne uważania. Jakiż jest ten *Litawór*? Jakie jego chęci? Owe znowu kołpaki rysie, ta niedźwiedzia odzież litewskiej młodzi; a z drugiey strony ten Niemiec nieruchomy na koniu, co nabija strzelbę, i z różańca mówi pacierze, cóż to za widoki? — A też idylliczne, pasterskie figury *Brodzińskiego*? Te śliczne stroje w Wiesławie, ta mowa, tańce, gody weselne Krakowiaków i Krakowianek?

Obyczaje, ubiór, wysłowienie, wszystko na jaśnią wyciągnione. Wszystko w téj literaturze zziemiańało i polszczyje. Wszystko ma dzielność swoją, wrodzoną moc, powab, sworność. Wszystko się w pewien kształt składa. Z bezcielesnej myśli jednem wywołane tchnieniem postaci, obrazy, widma! Z różnych stron, z różnych części i okolic Polski zapomniane ozwały się głosy. Rodowitość nasza w nie jedneć ukazała się postaci. Wszystkie razem liście na drzewie tak długo skamieniałem i niemem ojczystej poezyi zaszumiały. Coś niem wstrząsnęło niewidomą mocą od ziemi do korony, że teraz szeleści, i rusza gałęziami w wiatru powiewie, i mruczy i gada jakby odczarowane. Piękny to instrument, — śpiewające drzewo! Różne wydaje tony od najniższego, najgrubszego przez pośrednie dźwięki skali do najwyższego, najcieńszego, jak w strojnój orkiestrze złożonej z wielu dud, piszczałek, dętych i rzniętych naczyń. Któż to wszystko wypowie? — Oto w téj dzisiejszej poe-

tyckiej literaturze naszej mamy westchnienie do Stworzyciela nieba i ziemi w hymnie *Woronicza*. Jest to modlitwa przed burzą. On wyliczał dobrodziejstwa opatrności dla narodu polskiego wyświadczone; kolejną przechodził dzieje nasze od początku do końca, jedną ale głęboką myślą rozerwanego przymierza Twórcy z miłym jemu ludem wszystkie swoje farbując utwory. On ustawnie mowę swoją podwoził ku tym słowom u Jeremia-sza zapisanym: — „klaskali w dłonie przechodzący drogą, poświstywali i wstrząsali głową mówiąc: bram waszych postać okopcona, i toż to jest miasto niegdy od tylu tysięcy oświeconychi użytecznych mieszkańców osiadłe.“ To najstarszy poeta w kościele pamięci narodowej. Wziął na to, zdaje się, poświęcenie, żeby przy ołtarzu przeszłych czasów służbę sprawował i czuwał, żeby płomień gorejący na nim nigdy nie wygaś. Dobrze pełnił powinność swoją; dla niego przeszłość nie była ani skorupą garn-carską, ani dymem gryzącym oczy. — Wtenczas kiedy inni szukając chluby z postronnego dowcipu odstrychnęli się od prawdziwej prostoty i piękności, on sam jeden rozmyślał o narodowym pieśnio-księgu; a wzniosłszy ducha wysoko, na sam wierzchołek Libanu, dawidową przestrajał arfę. Jest także inny mąż żywy, historyczny w tej naszej literaturze, którą ustawnie pomnażał i wzbogacał, która już w dziejach żyje jego życiem, — wieszcz z urodzenia i powołania, ze wszystkiego co bądź kiedykolwiek mówił, pisał i czynił, z samego nieledwie wej-rzenia swój sędziwej starości, z tych białych włosów, co skroń jego wieńczą i na ramiona spadają, z tych nar-reszcie nigdy nie wygasłych wspomnień ojczystej historii, które oblicze jego rozjaśniają i mgłą osnuwają poetycką, kiedy się po naszych przechadza ulicach. To Julian Niemcewicz! — Ta literatura ma świetne uniesienie li-ryczne, i najpiękniejszą idealność w nadobnym mister-stwie i indywidualnym talencie Adama Mickiewicza, ma

historyczne malarstwo w stylu porywającym Zaleskiego, w *Grażynie*, i powieści Malczeskiego. Ma nakoniec fantazmagoryczność swoją i prawdziwą poetycką alchymią w oryginalnym, dziwnym geniuszu Goszczyńskiego. Z różnych składa się atomów, z różnych pierwiastków, — realnego i idealnego, snycerskiego i muzycznego. Tłó jej różnowzorowe, różno-barwe.

O tej poezji naszej *obiektywnej i indywidualnej*, o tej jej wielkiej rzeczywistości i zamyśleniu fantastykiem, ledwo nie to samo rzeby można, co *Montaigne* starą francuzczyzną powiedział o mowie ludzkiej, jakoby była: *un art leger, demoniacle*.

Toć jest co nazwałem na początku tego trzeciego rozdziału: *architektoniką idealną efektów i wrażeń* w systemie naszej dzisiejszej poetyckiej literatury! Massy światła i cienia sprawują skutek zamierzony na malowaniu płótnie. Od stosunku między *realizmem* i *idealnością* zależy także skutek w systemie poetyckim literatury. Rzeczywistość i dumanie, realizm i idealizm sztukmistrzów polskich: — otoż wielkie masy, nierównie jednak w dzisiejszej literaturze naszej rozdzielone; ponieważ w *oscylacji* poetyckiego geniuszu postrzegam wyraźniejsze zboczenie na stronę idealizmu i melancholii. I to ma swoją słuszną przyczynę. Tak byź musiało w narodzie zawojowanym. Niechaj tak będzie. W poezji odbijała się publiczna niedola.

Wymieniłem takich tylko pisarzy, którzy zdaniem mojem, czynią największy zaszczyt dzisiejszej literaturze polskiej. W ich dziełach widzę *reprezentacją* imaginacji i fantazyi polskiego narodu. Powinienem był mówić także o pieśniach lirycznych *Goszczyńskiego*. Ale nie wyszły jeszcze z druku. Innych z tak zwaną *szkołą romantyczną*, — naśladowców to Goszczyńskiego, to Mickiewicza, to Zaleskiego uważam jako samosłańców ciśających się do powołania poetyckiego bez ducha i daru.

— Pisarze z tak zwanéj szkoły klassycznej nie wchodzą w obręb mojego dziełka; mają oni licznych stronników i wielbicieli; mają talent przyznany. Nie podaję tego w wątpliwość; lecz mówić o nich nie chcę, bo inne jest moje zdanie w téj mierze. Czytając ich dzieła nie zdaje mi się, jakobym odprawował z kosturem pielgrzymkim wędrowkę po téj ziemi, gdzie leżą kości i prochy dawnych pokoleń naszych. W krainie ich zmyślenia niemasz téj mocy niewidoméj, która nas ciągnie ku sobie telluryczną własnością każdego pierwotworu. Sądzę nawet, jakoby kolory ich poetyckie były takie same, jakie mineralogowie *naleciatemi* zowią; kiedy n. p. cząstki obce mineralne powierzchnią kopalnego ciała pokryją farbą odmienną od koloru rodziméj jego massy.

Taka jest nasza poetycka literatura. — Któż się chluba nie uniesie wyrozumiawszy ducha zamkniętego w tém systemie? — W czyjeż serce gorętsza iskra nie wejdzie? Dziwném zrządzeniem zjawiała się pośród nas taka poezya! Pierworodna, nie naśladowana, rodzinna, majestatyczna.

Wyniknęła-li z głębokich skrytości i tajemnych wzruszeń? — Cóż oznajmuje? Odrodzenie się na duchu.

To systema poetyckiej literatury naszéj w początkach swoich jest świetniejsze od systematu daleko liczniejszych tworów w wieku *Stanisława Augusta*; świetniejsze od systematu daleko sławniejszych tworów i głośnych w poprzek świata z wieku rzymskiego *Augusta*.

Teraźniejsza poetycka nasza literatura jest tak polska i tak pierwotworna, jak nigdy literatura poetycka w Rzymie, ani tak rzymską, ani tak pierwotworną nie była.

Niechaj nikt nie mniema, jakoby to zdanie czcza chełpliwość natchnęła. Gruntuje się w tém na fundamentalném założeniu pisma mojego. Ścisła tylko *konsekwencya* wiedzie mnie do takiego wniosku.

Nikogo nie chcę mieć paradoxami. — W teraźniejszym systemie naszych poetyckich tworów zaczynamy pojmować samych siebie. Systema to jest *objawieniem* się przeszłości historycznej w literaturze, i skarbnicą pojęć współczesnej cywilizacji. Do tego Rzymianie nigdy nie przyszli w naśladowanej poezji swojej.

Wracam do punktu, z kąd wyszedłem.

Znać siebie, jest to mieć grunt pod sobą i wewnątrz ujęcie.

Człowiek jako jednostka, jako osoba przychodzi do tego uznania skoro myśli zacznie.

Jednostka zbiorowa (naród) tym samym sposobem przychodzi do tego uznania, — to jest w wyciągnionej na jaśnią myśli ogólnej, — w systemie swoich działań i tworów umysłowych.

Takie systema jest *literaturą*, którą naród może mieć ujęcie samego siebie, i uznanie w swoim jestestwie.

Literatura reprezentuje jego władze intelektualne.

Imaginacja i fantazja umysłu ogólnego objawia się w dziele oryginalnych tworów poetyckich i kunsztownych. Pamięć w tworach historycznych. *Um* i rozum w filozofii, w umiejętności, w oderwanym myśleniu.

Na grze tych wszystkich władz, na ich bezprzeznaczonym działaniu zależy istota narodu.

Jeżeli którakolwiek z tych usposobień intelektualnych w nieczynności zostaje, i na zewnątrz się nie wyraża, wtenczas *jednostka zbiorowa* nie ma zupełnego i doskonałego uznania w jestestwie swoim. Jestestwo to nie zupełnie rozwinięte; albo jeżeli pierwój było rozwinięte, a następnie z pierwotnej wychodząc działalności chromieje, i traci używanie tej lub innej władzy: czas ten bywa zawsze czasem słabości, starzenia się, nikienia. — Roztrząsać literaturę jakiegokolwiek narodu podług tych psychologicznych względów, jest to poddawać

umysł publiczny, powszechny rozkładowi i niejako sekcyi anatomicznój.

To obróć do Rzymian. — Jako tragedia ciągnąca się przez wieki jest historia rzymska. Najrzeczniejsi aktorowie téj sceny starożytnego świata przechodzą wszystkie inne narody sztuką dziejopiską. Ku schyłkowi rzeczypospolitėj i później, nie dopuścili wielcy pisarze, żeby to co godne było przechowania w niezamierzone czasy, niepamięć zatarła. Rzym, ten polityczny Lewiatan starożytnych ludów, taki, jakim był różną koleją wzrostu swėj potęgi i zepsucia, maluje się w fragmentach *Sallustiusza*; w szlachetnym, prostym, jasnym stylu *Cezara*; w ozdobnėj powieści *Liwiusza*; w mocy, w głębokiém wejrzaniu na serce człowiecze i nigdy niezrównanych wysłowieniach *Tacyta*. Któryż naród w starym świecie miał taką literaturę historyczną? Grecy we wszystkiém inném wyżsi od Rzymian, z każdego innego względu trzymający przodek przed niemi, w téj jednak mierze im nie wyrównywają. Lecz to właśnie z przykładu Rzymian wiedzieć mamy, że pisane dzieje rzetelnego wsparcia nie niosą słabnącej w umyśle narodowym pamięci, jeśli téj nadobne sztukmistrzów dzieła i zmyślenia poetów, osnowane na ojczystych tradycyach i wyciągnięte z rozkorzenionėj głęboko wiary, wzajemnie się mocują i nie krzepią. Historia, szczególniej początkowych czasów, tym poetyckim nie ubarwiona wdziękiem, w tém przeobrażeniu artystowskiém przed oczy nie przełożona, im dalej tém bardziej ciemnieje i staje się niezrozumiała, — albo jako strumyk odcięty od pierwotnego zdrojowiska, schnie, niknie. Powieść kronikarska z wierzchu tylko rzeczy dotyka. Te gołe fakta mają przecież wielką wartość! Są to jako węglem, albo kredą z gruba narysowane kształty, które za staraniem malarza życie i ducha przywdziać mogą. Jakież stosunek zachodził między poetyckimi czasami historii rzymskiėj,

a poetycką Rzymian literaturą? Żaden prawie. Nie było związku między pamięcią i imaginacją tego ludu. — Mieli zapewne Rzymianie uznanie samych siebie w swoim jestestwie tak długo trwałem i nierozdzielniem. Ale to co nazwałem *uznaniem*, gruntem bytu, ujęciem wewnątrz było u nich, że tak rzekę, *empiryczne* tylko, nie *idealne*. Duch rzymski wyraził się samą rzeczą praktycznego życia, działaniem, przewagami; ale nie wyraził się w systemie idealnych tworców, oderwanych pojęć i myśli. — Nie mieli ani filozofii swojej, ani poezyi.

Jaka była rzymska cnota, jaki charakter, jakie obyczaje, jaka wielkość, pokazało się to w słynnych po wszystkie czasy podbojach i polityce Rzymian. Lecz tego nie znać w ich poetyckiej literaturze. — Mieliz Rzymianie własną imaginacją, jak Grecy? Mieliz jak dzisiejsi Polacy swoją poezią rodzinną, nie naśladowaną? — Ich systema poetyckiej literatury byłoz ugruntowane na odwiecznej posadzie historycznej? Odbilyz się w niem rysy poetyckiej przeszłości? — Mieliz choć jedną powieść tak ojczystą, i tak miejscową, jaką jest n. p. *Marya*, *Wiesław*, *Graczyzna*, *Rapsod rycerski*?

Nie stawało-li im wątku? Czy ochoty? — Najpewniej, że i nie pojowali w czém tkwi istota poezyi. Natura nie pochlebiła Rzymianom w udziale tego daru. Naprózno uśmiechały się do rymotworców, biesiadujących za stołem *Augusta*, wdzięczne postacie stariej *Italii*. Pasma zdarzeń samo przez się fantastykiem nawijało się zmyśleniu. To Romulus, — to Horacyusze, i Kuriacjusze, — dalej podniosły *Tarquiniusz* i *Lukrecya*, a dalej jeszcze nieprzerwaną koleją Porsena i Scewola, — nakoniec Koriolan! To wszystko przecież nie tknęło zimnej duszy łacińskich wierszopisów. Przez wieki podawał Regulus ulubieńcom Mecenasa bratnie, rozkrwawione dłonie. Wzruszyliż się losem tego bohatera? Woleli raczej cudze przekowywać *sagi*, podania. Nie pojęte krzywego sądu oma-

mienie! Na scenie rzymskiej wystawiano *Ifigeniję* i *Edypa*, *Prometeusa*, i *Atrydów*, — same cudzoziemskie, greckie sprawy; a *Kornel*, i *Kolin* rzymskich wskrzeszają bohaterów na scenie francuzkiej i niemieckiej. Pierwszy z *Liwiusza* napisał mierną sztukę: *Horacjusze* i *Kurjacjusze*.*) Drugi na wiedeńskim teatrze wystawiał *Regulusa* i *Korjolana*. Obadwa usiłowali wrócić poezyi to co było jej niezaprzeczoną własnością.

Wzgardzili Rzymianie swoją uczciwą, ojczyzną *tradycją*. Wzgardzili ojczyzną wiarą, i pierwotnemi *sagami*, dowcipy i rozумы swoje na helenizm wysilając. I im także, jak Francuzom za rządów *Ludwika XIV.*, przypadło do smaku greckie, klassyczne misterstwo. Jakże drogo to wyłączne przepłacili upodobanie! — Darmo przestrzegał stary Kato. Darmo powielekroć uchwalał senat rzymski wygnanie greckich sofistów, wykretników, retorów. Grekomania wzięwszy górę, wszystkich opanowała umysły. Wkrótce też ustał związek między pierwszemi, i pośredniemi rzeczypospolitęj czasami, *Postronne* obyczaje, obca rozwiożłość, cudze zepsucie, i zbytki skaziły początkową prostotę i uczciwość rzymską. Zerwała się nić wewnętrznego przypomnienia. Wreszcie niepamięć przywiodła umysł publiczny ku ostatniemu w rozterkach domowych obłąkaniu. *Ennius*z chełpił się, przechwalał jakby z wielkiej rzeczy jakiej, że pierwszy z Rzymian w niwecz obróciwszy starą italską poezją, greckie hexametry w łacińskiej mowie niezgrabnym, i kulawym naśladował wierszem.

Pisarze rzymscy odstąpiwszy od swojej narodowości rozmiłowali się w jałowym naśladowstwie. Ich poezya nie jest historycznym, jak helleńska, pomnikiem. *Fryderyk Szlegel* jak może usprawiedliwia to zboczenie. Spycha

*) Wprowadzał i Szekspir rzymskich bohaterów na scenę, ale te utwory nie są najcenniejszemi jego dziełami.

całą niemal winę na okoliczności. Utrzymuje, że nie mogło być inaczej, zdanie swoje popierając bacznyim względem na politykę. — „Rzecz godna uważania“ — są słowa tego uczonego krytyka, — „że Rzymianie potylekroć próbując sił swoich w poezyi dramatycznej, nigdy przecież do tego zdarzeń, jakie im ojczyste podania i krajowe nastęczyły dzieje, nie obierali; aczkolwiek te zdarzenia tak są poetyckie i dramatyczne, że je nowsi traicy wydobyszy z zapomnienia, na dzisiejszą wprowadzili scenę. Lecz kto pilniej wejrzy w charakter właściwy téj historycznej poezyi, łatwo postrzeże dla czego tak być musiało. Uczucia patryotyczne zamknięte w owych podaniach razilyby przypominaniem na scenie zbyt świeżych wypadków. Weźmy naprzykład historyą Koriolana. Któryż z poetów rzymskich byłby się odważył tego patrycjusza, takim, jakim był rzeczywiście, to jest, unoszącego się zawziętą przeciwko plebejuszom nienawiścią, wystawić na teatrze, w owym czasie, kiedy usiłowania Grachów zmierzwały ku ukróceniu téj samej dumy patrycjuszów, i obwarowaniu swobód ludu rzymskiego? Jakiż widok byłby stawał na scenie rzymskiej Kariolan, wygnaniec, w słuszném poniekąd oburzeniu miotający ostre, zelżywe słowa na swoich ziomków? Szczególniej pod owę porę, kiedy Sertorjusz, najzaciejszy z ostatnich Rzymian, sam także na wygnaniu tułał się po Luzytanii i Hiszpanii, tam rozmyślając o ocaleniu rzeczypospolitej, i założeniu nowego Rzymu? — Któżby był wreszcie zniósł widok Koriolana na czele zwyciężkich nieprzyjaciół grożącego zgubą własnej ojczyźnie, kiedy Sulla z zbrojnym wojskiem w rzeczy samej postępował ku Rzymowi?...“

Cożby się tym sposobem usprawiedliwić nie dało? — I któżby nie wyszedł taką obroną z najcięższego zarzutu? Lecz, zdaniem mojem, pozorniejsze są niż prawdziwe te przełożenia *Szlegla*. Nie idą w téj mierze jego wymówki. Właśnie też poeta dramatyczny w czasach *Gra-*

chów niczém niebyłby tak dogodził pospolitemu użytkowi (jeżeli tylko poezya co wspólnego mieć może z pożytkiem, i polityką), niczém nie byłby tak dobrze usłużył sprawie ludu, jak wystawieniem na scenie dumnego przywódcy stronnictwa patrycjuszów, człowieka podniosłego serca, bystrego rozumu, nieukróconej burzliwości. Zelzywe wyrazy Koryolana nie byłyby nikogo zgorszyły, gdyżby to nieukojonemu żalowi, i cierpieniom wygnańca przypisano. Wreszcie na widok Koryolana, niosącego zginienie rzeczypospolitój z nieprzyjacielskimi zastępami, byłyby się zatrzęsły filary i ściany kolosalnego gmachu od oburzenia i zgrozy słuchaczy. Duch mężstwa byłby wstąpił w prawe serca rzymskie, i Sulla byłby doznał większego oporu. — Niechaj co chce mówi *Szlegel*, rymotworcy rzymscy żadném usprawiedliwieniem nie wyjdą z tego obwinienia, że rzecz tak ojczyzną, tak rzymską, tak poetycką, dramatyczną, nie ukazaną na scenie narodowej, w niepamięć puścili. — Czyliż następnie wielka popularność Cezara Augusta, pochlebiającego miłości własnej Rzymian przestrzeganiem powierzchowném dawnych nawet form znikłej rzeczypospolitój, lubo rzeczywiście on sam nie ograniczoną sprawował władzą, i owę, w którą *Szlegel* ugodził, nie uprzątnęła przeszkody? Czyż Mecenas i August sami nie skłaniali ulubieńców swoich do pisania w rzeczach ojczyźnych, z podań dalekich, narodowych? Czyż ustawnie swęj mowy ku temu nie podwodzili? Czyż o tém sam Horacy potylekroć nie wspomina? — Albożto trzydziestoletnia wojna w Niemczech umysłów nie rozjątrzyła? Nie rozerwałż mniemań, pojęć, wiary, więćej jeszcze niżeli w Rzymie roztérki domowe? A przecież nie odwiodło to *Szyllera* od napisania trajedyi *Wallenstein*, którą wystawują po wszystkich teatrach niemieckich, w samym nawet Wiedniu; lubo *Wallenstein* o niczém szczerzėj nie przemyślał jako o wstrząśnieniu, wyciągnieniem ręki swojej po koronę czeską, monarchii austryjackiej.

Prędzėj podobno temu daćby wiarę można; że jak skoro Tarent, cała ziemia Italska, i Sycylia, Macedonia i Kartagena, Hiszpania i Achaja zawojowane zostały, panowie znanego wówczas świata, wstydziłi się może szczupłych początków swoich, nie chcąc zasięgnąć pamięcią małego Rzymu, który kiedyś walczył z Sabinami i przez dziesięć lat *Weje* oblegał. Przetoż odłożyli na stronę wieść swoją bohatyrską, i narodowe podanie. Podobni w tém owym ulubieńcom fortuny, tak zwanym od Francuzów *parvenus*, co przyszedłszy z ubóstwa do bogactw, i wielkiego dostatku, swego rodu się wyrzekają; a daliby połowę mienia za to, żeby go na wieki głucha zatarła niepamięć.

Nie odstąpiłem od rzeczy mojej tém wkroczeniem w literaturę łacińską, na której niemal wszyscy pisarze nasi zygmuntońskiego wieku, jako i powiększėj części za rządów Stanisława Augusta kształcili się, której ducha niejako w polską przybrali szatę. Owszem zajmując tę literaturę razem z naszą dzisiejszą pod jeden szczególny widok, i uważając ją z tego samego względu podpieram i mocuję myśl, na której wszystko stoj w tem piśmie; tę myśl: że naród jedynie tylko w porządku swoich działań, i tworów intelektualnych przychodzi ku uznaniu samego siebie w swoim jestestwie. Nie pobłądzi zapewne kto tę miarę przyłoży do każdego systematu estetycznego. Jest to szeroki obwód, gdzie wiele rzeczy zmieścić się może. W tém rozumieniu powiedziałem: że dzisiejsza poetycka literatura nasza jest tak pierwotna, tak ojczysta, tak polska, jak nigdy poetycka literatura w Rzymie za Augusta Cezara, ani tak rzymską, ani tak pierwotną nie była. Zaiste śmiałe zdanie! Ale nikt mnie nie zarzuci, jakobym przeszedł miarę w wysokiém mniemaniu o talentach i dowcipie zacnych rodaków i spółziemian moich, kto pilniėj wejrzy w to co położyłem za fundamentalną zasadę niniejszego wywodu. Nie idzie mi tu o liczbę, ani

o rozciągłość, ale o wewnętrzną, artystowską wartość szczególnych tworów, tudzież o ogólny kierunek i *expressyą* ducha w całym systemie poetyckiej literatury. Otóż we względzie tej *expressyi*, i tego kierunku, który tak pomyslnie rozwijać się zaczął w naszej dzisiejszej literaturze, mamy niewątpliwe pierwszeństwo przed liczniejszą daleko, i bogatszą literaturą łacińską. Odłożywszy na stronę cudzoziemsczyznę zaczynamy swoim rządzić się zdaniem, myśleć swoją głową, wynajdować swoim dowcipem, stwarzać własną fantazyą. Pisarze nasi poszli za natchnieniem własnego talentu! Z gruzów przeszłości wydobyli porządek poetycki, historyczny, ojczyzną rozbłyśniony nadzieją, i blaskiem. Tego nigdy nie dostąpili rymotwórcy łacińscy! — W ich najświetniejszych tworach pozostały ślady, na których nikt omylić się nie może, naśladowstwa obcych, greckich talentów. Jak mogli helenizowali imaginacyą swoją. Pisali wiersze na cześć obcych bożków, i rycerzy. Przejęli kształt, i rzecz obcą. — Dzisiejsza poezya polska wyraża myśli i ideje dziewiętnastego wieku; oddaje cześć miejscowym pamiątkom; natchnienie swoje zasila podaniem i wiarą ludu, tej nawzajem niosąc wspomnienie.

Ledwo nie w przysłowie poszło u nas, które z osobliwym upodobaniem, wciąż jedni za drugimi powtarzają: że Rzymianie zawojowawszy Greków, nawzajem od nich podbitymi zostali okrasą wymowy, dowcipem, sztuką. Zdaje się nawet, jakoby za zasługę zwycięzcom poczytywano, że po swojemu, to jest po rzymsku i myśleć i czuć przestali. Nie jest to jednak tak wielka zaleta! — Świetne przewagi, mnogie zabory, liczne podboje Rzymian takich na ród ludzki dobrodziejstw nie zwały, żeby późniejsza krytyka nie miała wytknąć rzetelnych przywar, i niedostatków tej ich cywilizacyi z kądinąd przeszczeptionej, z włożeniem na literaturę rzymską obwinienia anti-narodowej dążności. — Z pozostałych ułamków nie zbyt wysoko oszacowali krytycy tegocześni stratę dzieł

dramatycznych, jakie na teatrze rzymskim ku schyłkowi Rzeczypospolitej i później wystawiano. I w rzeczy samej, jakież mniemanie obznajomionym z grecką sceną wrażeń mogą sztuki Seneki? Nie musiałyż stępieć uczucia ludu, chciwego wszelkich widowisk, który z takim upodobaniem przypatrywał się krwi rozlewowi to lwów, to słoni, to szermierzy tysiącami ginących na scenie, nie udaną, ale prawdziwą śmiercią? Tkwił po wszystkie czasy, (jak mówi Wilhelm Szlegel, krytyk biegły od brata swego Fryderyka,) ten sęk w charakterze Rzymian, że pierwszy założyciel ich sławnego grodu, pierś macierzyńskich nie pożywał, ale drapieżną ssał wilczycę. Uczęszczali na amfiteatr, gdzie się zapaśnicy mogli byli wyćwiczyć w gimnastycznej zwinności, ale gdzieby się *Sofokles* nigdy niczego nie był nauczył. — Grecy nie lubili takich igrzysk. Gdy za cesarstwa chciano zaprowadzić podobne walki gladiatorów w Koryncie, rzekł któryś z mieszkańców tego miasta: — nim przywyknemy do tak nieludzkiego widowiska trzeba by pierwój zburzyć ołtarz litości.“

Nie lepiej wiodło się Rzymianom w innych oddziałach rymotworczej literatury. Największy poeta łaciński *Lukrecjusz* zabrnął w rzecz sofistyczną filozofii Epikura, która ani z jego twórczym geniuszem, ani obyczajami rzymskimi i stoickim ich charakterem w lepszych czasach, ani wreszcie z istotą nadobnego misterstwa do miary nie przypadła. Pisząc o dziwach przyrodzenia wedle zasad atomistycznej szkoły, chybił, zdaniem mojem, w wyborze przedmiotu; bo atomy, wulkany, wezbranie wód, natura organiczna i anorganiczna, same przez się nie mogą być materiałem poematu. *Horacemu* po smacznych obiadach u Augusta, stawały niekiedy w pamięci czasy rzetelnej wielkości i chwały rzymskiej. Wtedy najpiękniejszym unosi się zapalem! W tych tylko przemijających natchnieniach, w tych wylotnych błyskach swego ducha jest prawdziwie rzymskim poetą.

Nie wtedy kiedy oschłe prawidła sztuki gładkim wyklada rymem, ani kiedy przywary, które się zkądiną wśliznęły do Rzymu dowcipną satyrą nicuje; ani wreszcie kiedy układnością dworaka, i talentem przedpokojowego wierszopisa kadzi wonnemi pochlebstwy uzurpatorowi i swoim popiecznikom. Z przykładu Horacego wiedzieć to mamy, że najszkodliwsza atmosfera dla genialnego talentu jest w pokojach i względach władzy. — *Virgiliusz* chciał spalić *Eneidę*. Szczerze czy tylko na okaz autorskiej skromności? Cóżkolwiekby, naciągnięcie trojańskiego podania ku pierwiastkom Rzymu, nie czyni go jeszcze oryginalnym poetą. Wszędzie tuli się pod skrzydła Homera. Krok w krok za nim idzie, jak dziecię za matką. Nietylko istotę, ale i zewnętrzne formy przejął od swego mistrza. Zostaje mu przecież chwała z okrasz pióra, i gładkiego wydania. — Dla czegoż pierwsza część jego poematu w porównanie z ostatnią iść nie może? Bo w tamtej miał przed sobą piękną powiastkę, o którą się otarł dowcip grecki; w tej zaś, więcej rodowitej, italskiej musiał się wzbijać własnymi siłami. Dla tego też i nie podołał ciężarowi! — Lecz sami Rzymianie wiedzieli czego Eneidzie nie dostawało. Trudno i w tej mierze przystać na zdanie starszego *Szlegla* (Fryderyka), jakoby Eneida mimo wszelkie niedostatki i ułomności swoje, była przecież prawdziwym narodowym poematem rzymskim. *Makrobiusz* *)

*) Jest to nie podrobione, ale przeważne, bo pisarza rzymskiego świadectwo, mieszczące naszego *Marona* w poczet nie tylko naśladowców, ale poprostu *plagiatorów* literackich, którzy cudze za swoje udawają. Oto są słowa *Makrobiusza* (*Saturn. lib. V. cap. 2*):

„Quae Virgilius *traxit* a Graecis dicturumne me putatis, quae vulgo nota sunt? — Quod Teocritum sibi fecerit pastoralis operis autorem, ruralis Hesiodum? et quod in ipsis Georgicis tempestatis serenitatisque signa de Arati Phaenomenis *traxerit*? Vel quod everisionem Troiae cum Simone suo et equo ligneo, ceterisque omnibus

powiada, że żaki nawet w Rzymie tego zaszczytu Wir-

quae librum secundum faciunt a Pisandro pene ad verbum transcripserit? qui inter graecos poetas eminent opere, quod a nuptiis Jovis et Junonis incipiens universas historias, quae mediis omnibus saeculis usque ad aetatem ipsius Pisandri contigerunt, et unum ex diversis hiatibus temporum corpus effecerit? In quo opere inter historias caeteras interitus quoque Trojae in hunc modum relatus est. Que fideliter Maro interpretando fabricatus est sibi Iliacae urbis ruinam. Sed et haec et talia ut *pueris decantata* praetereo.“

To samo po polsku:

„Mniemacie-li, że szerzyć się będą w rzeczy tak pospolicie znanj, opowiadając co Wirgiliusz wziął od Greków? Że Teokryta w sielance miał mistrzem, a Hezyoda w ziemiaństwie? I jako w samych Georgikach znaki pogody i słoty powiciągnął z dzieła Arata o fenomenach? Albo też, że wywrócenie Troi, z Simonem swoim, drewnianym koniem, i innemi, które drugą księgę (*Eneidy*) składają z Pizandra prawie słowo w słowo przepisał? który (*Pizander*) ccluje między greckimi poetami dziełem w jednej zamykającym treści wszystkie, poczawszy od małżeńskich ślubów Jowisza i Junony ciągnące się przez pośrednie wieki, aż ku czasom Pizandra, wydarzenia? W tém dziele Pizander między innemi i upadek Troi tymże samym opowiedział sposobem. Co wszystko *Maro* wiernie przełożywszy (z greckiego na łaciński) uprządkł był sobie Ilionu ruinę. Lecz i to i temu podobne, o czém nawet żaki wiedzą, pomijam. — Zważamy, że wyraz *traxit* znaczy właściwie *ciągnąć, naciągnąć, przyciągnąć*. Trudno trafić dzieła Wirgilego ocenić. Naciągane to rzeczy z greczyzny! Nic rzymskiego, nic oryginalnego, pomyslanego w starożytnym duchu italskim. Powiada *Makrobiusz*, że całą drugą księgę *Eneidy* pene ad verbum transcripserit z poematu Pizandra, który jako się pokazuje z przywiedzionych słów krytyka rzymskiego był zbieraczem narodowych greckich podań. I o tém nawet żaki w Rzymie wiedzieli! Wyszło mi z pamięci com czytał przed kilku laty w przypiskach łacińskich jakiegoś niezmiernie uczonego glossatora *Eneidy*, który utrzymuje zdanie swoje podpierając świadectwami starożytnemi, jakoby i szóstą księgę *Eneidy*, równie jak drugą miała być tylko kompilacją z greckich pisarzy. — W tej zaś części *Eneidy*, którąby właściwie *italską* nazwać można czyż nie znać wysilenia i niemocy? A pod sam koniec, jakby zdrożony długą wędrówką czyż nie kuleje Pegaz *Marona*, i co krok nie potyka się i staje? W całym systemie rymo-

giliuszowi nie przyznawali. — „*Sed et haec et alia*“ — pisze Makrobiusz, — „*ut pueris decantata praetereo.*“

tworczącej literatury rzymskiej chybiony jest stosunek właściwy między kunsztownym misterstwem i inspiracją. Tamte przemaga, chociaż na proporcji między jednym i drugim tajemnica poezji zależy. — Zapewnie daleko lepiej wypracowane dzieło od *Eneidy* jest ziemiaństwo Wirgiliusza. Ale kiedy sobie wspomniemy, że i w tym utworze obcym porósł pierzem, czerpiąc nie lekki zasiłek z dzieła Arata o fenomenach, trudno nie dziwić się zżąd Wirgiliusz przyszedł do tak głośnej sławy w poprzek całego nieledwie świata? Ileżby podobnych plagiatów, ile przełacinionej gładkim piórem greczyzny wytknąć nie można w pieśniach nawet lirycznych tak wstawionego Flakka? Blumauer i Ferdynand Chotomski prznicowali *Eneidę*, *Anchizesowicza* to w kusym pokazując kubraku, to w peruce z arcapem. Czemuż dotąd nikomu jeszcze w myśl nie wpadło parodjować tym kształtem *Iliady*, albo *Odyssei*? Albo też wyzwołonej *Jerozolimy*, *Luziady* i utraconego raju? W rosyjskim nawet języku zdarzyło mi się czytać dowcipnie trawestowaną *Eneidę*. — Zawsze mi się dziwnym zdawał ten tak opaczny los wspomnianego poematu. Musi to być jakiś nieodgadniony fatalizm, srodze dotykający łacińską poezją podawaniem w coraz nową śmieszność, i jakby strojeniem żartów; coraz nowemi szyderstwa pośmiechami najcelniejszego jej utworu.

KONIEC.



1/10 - [illegible]

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

152500 L

L-P

Biblioteka WSP Kielce



0227413